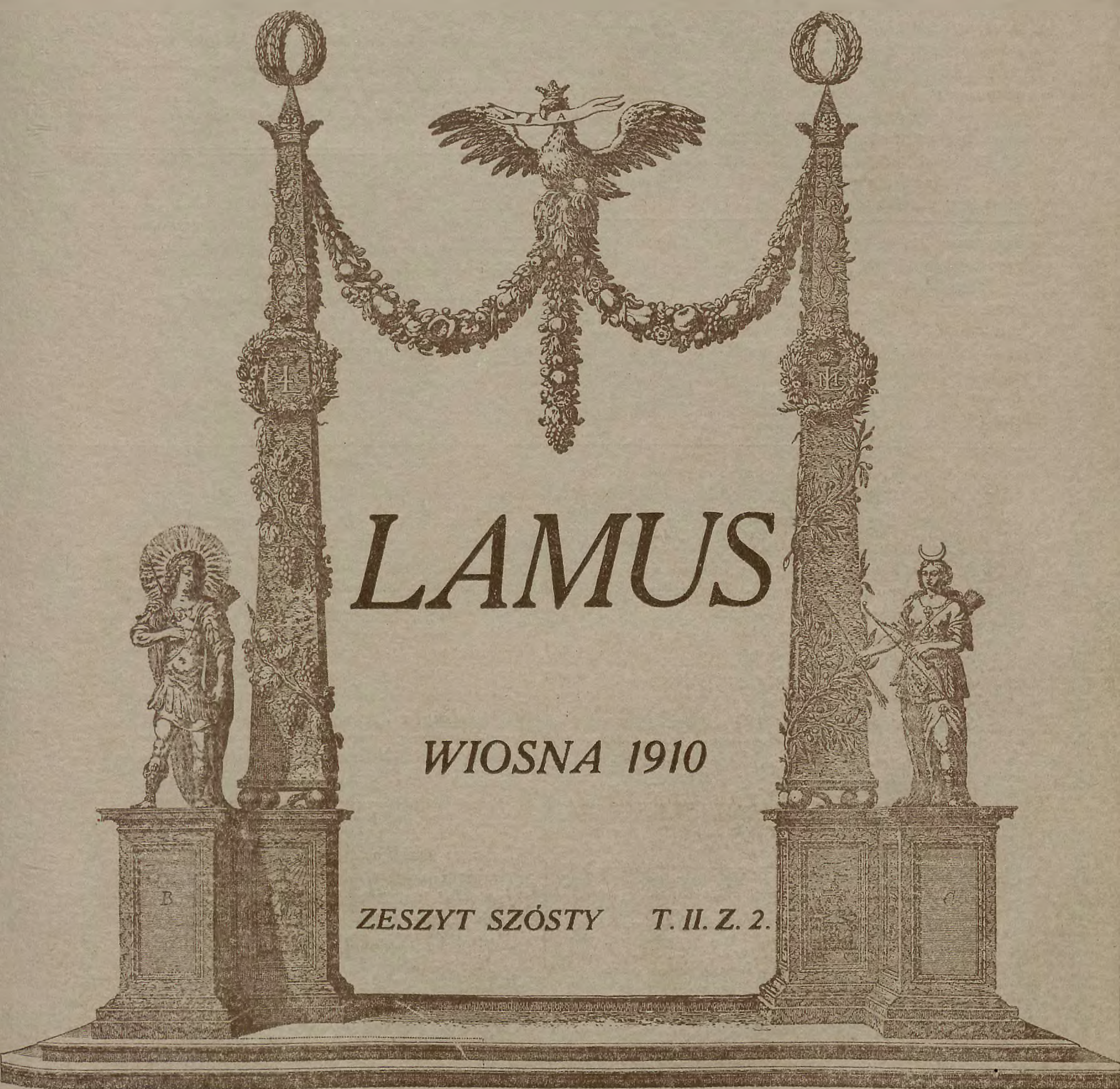


REDAKTOR: MICHAŁ PAWLIKOWSKI, LWÓW - TRZECIEGO MAJA 5. WŁASNOŚĆ REDAKCYI.

NAKŁADEM A. ALTENBERGA I J. MORTKOWICZA * SKŁADY GŁÓWNE: ALTENBERG LWÓW, CENTNERSZWER WARSZAWA.

TREŚĆ ZESZYTU SZÓSTEGO.

TREŚĆ ZESZYTU PIERWSZEGO.

TREŚĆ ZESZYTU DRUGIEGO:

Część pierwsza — Dzisiaj.

Świt.

Przedziwne są brzegi Leny — zwłaszcza w jej średnim biegu u wpadu rzeki Jelikty, gdzie jej wody przeczyste roztaczają się na wiorstę wszerz i więcej i mienią się olbrzymiem zwierciadłem na podobieństwo zatoki... Fioletowa ściana skał wapiennych obejmuje tę masę wód zakoleniem łagodnem od wschodu, a zasię na południe i ku zachodowi równo od zwierciadlanej krawędzi ściele się step nieprzemierzony: roztocza o bujnych trawach, łąki o wszystkich barwach jakie są na ziemi, wśród nich stawy trawskami zarosłe, jeziora lśniące na parę wiorst rozlane, mokradła z kępkami drzew, laski rzadkich brzóz i limb potraconych — rówień przerozmaita, błękitem oddalenia na zachodzie o fiolety skalnego pobrzeża rwącej Jelikty oparta, a na południu o stopy zmroczniałej, w omgleniu słonecznem szarzejącej tajgi...

Przedziwny kraj... Gdyby nie sroga syberyjska zima, która ścina w lód błękitne wełny Leny i śmiercią mroźną wszystko żywoistne na długie miesiące przysiada, obraz tej okolicy pozostałby niemącony we wspomnieniu zesłańca, gdy go od niej setki mil szczęśliwie dzielą, jako jeden z najcudowniejszych obrazów południa... Za to lato, choć krótkie, tem zawzięciej rozkuwa z kajdan zamrozu śpiące życie, wywołuje z ziemi nagle rozpalanej kwiaty o stroju niesłychanym, ciska na obudzone bogactwo barw, oswobadza na radość życia wszelkie stworzenie tej ziemi, ściąga chmary przeróżnostrojnego, różnymi głosy krzyczącego ptactwa... Krótki — między długimi letargami zim — krzyk i płomień życia.

W jedno takie płomienne popołudnie po wysokim, wschodnim brzegu Leny przeciw jej biegu niósł czarny konik tunguski Wacława, jednego

z owych wielu, którzy na tę Riwierę syberyjską podróżują „etapami“. Jeździec uzbrojony był w długą strzelbę i nóż, jakich myśliwi tunguzi używają. Dumnym był ze „swego“ konia, z nabytej od tunguza broni, i z przyjemnością prawdziwą myślał o tym zawodzie swobodnym, który od półtora roku z powodzeniem korzystnem uprawiał. — Jeden niedźwiedź, którego przy pięcio-osobnej obławie położył, trzy jelenie, łoś, pięć rogaczy, setki gęsi i kaczek jako też drobniejszego ptactwa, które czasu różnego ustrzelił, ugruntowały sławę jego myśliwską w „komunie“, jak ideowo zwali swoją grupkę, osiadłą na „czasowy pobyt“ w nadbrzeżnem tunguskiem siole. — Zważywszy, że z całej „komuny“ nikt prócz Wacława nie był sposobnym do myśliwskiego rzemiosła — próby, jakie przedsiębrało paru, miały nieszczęśliwe skutki — rada komunalna na niego włożyła obowiązek dostarczania zwierzyny i ptactwa do wspólnej kuchni. Zgodził się ochotnem sercem, jako że wałęsanie odpowiadało jego próżniaczej, a przedsiębiorczej naturze; mógł też przy tem zajęciu dniami całymi przebywać poza siołem i nie widzieć aż do mdłości uprzykrzonych twarzy towarzyszy.

Z początku „komuna“ zapowiadała się świetnie. Ludzie, wyrwani z samotnictwa, szczęśliwi już byli przez to, że się mogli wygadać. Do wspólnego dobra składali prócz materyalnego mienia swoje najlepsze strony: humor, uczynność, ustępliwość, nawet nierzadko delikatność uczuć. Wspólne obrady np. nad kwestyą obiadów odbywały się tak zgodnie, jakby wszyscy od urodzenia w komunie wyrośli. Wkrótce jednak harmonia poczęła się psuć. Za duże były różnice wyrwanych z różnych światów ludzi, iżby je podobieństwo losu mogło stłumić. Indywidualne zdania, przekonania poczęły się ze sobą ścierać i ze słownych utarczek poczęły się wyradzać kłótnie. Dopieroż gdy przyszły na stół programy i „principia“!... Partye, z których każda miała tu jednego przedstawiciela, znienawidziły się tak, iż ledwo obiad je łączył. W nienawiści pożywali każdy kęs daru bożego. Stronili od siebie, jakby jeden na drugim oznaki trądu odkrył.

Był przecie jeden moment... Wacław uśmiechnął się mimowoli na przypomnienie tej chwili. — Było za siołem nieopodal wzgórze, zkąd roztaczał się widok na daleki zachód. Tam to nieraz tęsknota go wywoływała. Stoi raz, zapatrzony na czerwień zachodu — słyszy szmer — obziera się — a tu się wlecze jeden z „komuny“, później drugi, trzeci... I tak, stroniąc od siebie, na jednem Wzgórzu Tęsknoty wszyscy się naraz znaleźli. Wstyd ich przed sobą przejął — każdy starał się jakiś bardzo racyonalny powód swojej obecności podać. Później już każdy inne godziny dnia na to wzgórze wybierał. — Był tam cmen-

tarz zesłańczy: kopców kilkanaście, brzózek parę i jeden krzyżyk drewniany na mogiłce, na ramieniu którego wycięty był dwuwiersz — słowa jak ten krzyżyk proste—:

„Spiej dietia — żyźń taska“ *)

Takie proste, a wszystko mówiące. Wryły się na zawsze w pamięć Wacława, jakby na sercu jego były wycięte. Coś blizkiego bardzo, ojcowskiego słyszał w tym cztero-słowie. Nieraz, upewniwszy się, czy żaden z towarzyszy nie nadchodzi, padał na tę mogiłkę i szlochał, jakby najmilsza jego dziecina była pod tym krzyżykiem schowana. A gdy zorze czerwone na zachodzie gasły, męką tęsknoty biegł za niemi przez ziemie-kraje aż ku Wiśle...

Ścieżyna nieznaczna wśród fioletu wapienia, odbita ledwo parę sążni od ściany prostopadłej brzegu, podnosiła się ku górze. Koń szedł przemyślnie po ślizkiem oskalu i umiejętnie omijał zdradliwe rozpady.— Wacław z czułością pogłaskał jego szyję. Zalety jego niezwykłe miał już sposobność poznać. Nabyto go przed dwoma laty od tunguza-sąsiada za pieniądze komunalne. Był więc własnością „komuny“. Na nim odbiła się najwięcej niezgoda jej członków, bo każdy rościł sobie na różnem uzasadnieniu jedyne prawo do niego, każdy chciał na nim jeździć. Koń biedny tracił czasem swoją oryentacyę, myśląc ze smutkiem, że jest osłem. Mimo to jednak, że dźwigał na swym grzbiecie różnymi czasy tyle kłócących się ze sobą niegramatyczności: es-erów dwóch, es-deków kilka gatunków, bundowca-Jozuę i oburęczną P. P. S.— nie stracił jeszcze rumaczych zapędów. Odkąd zaś Wacław z racyi swego myśliwstwa zaanektował jego grzbiet dla siebie, koń wracał prędko do swych cnót tunguskich. — Niósł lekko po trudnej ścieżce, jak za dawnych czasów. Wkrótce wydostali się na wzniesienie.

— Jakże pięknie! — wyrwał się głośny zachwyt z piersi jeźdźca, gdy rzucił oczyma na lewy brzeg... Wstrzymał konia i patrzał.

W międzywidlu przestrzennem, jakie utworzyła Lena z wpadającą do niej na północnym zachodzie Jeliktą, której wał piany srebrnej przy wpadzie ze wzniesienia widać było, rozścieliła się cała tęcza barw — od piasku różowego przy brzegu, aż do błękitu oddali... Słońce, wiszące na połowie zachodniego skłonu, zalewało całą dolinę pyłem świetlistym, który zamgliwał one pasma tęczy i zacierał granice barw... Kępki drzew i rzadkie laski wyglądały w tem omgleniu, jak

---

*) Śpij dziecię —
Tęsknotą bowiem jest życie.

zatopione w jeziorze różowem majaki drzew i lasków. Jedynie tafle bliższych stawów, smugi dalszych i linijki najdalszych jezior błyszczały na tej przestrzeni jako odstrzelenia słońca. — A zaś od stóp wzniesienia roztaczały się szeroko wody Leny, daleko widoczne na południe, jako jeziorna zatoka. Na ruchliwych, szerokich falach łamały się zwierciadła barw — od granatu ciemnego, aż do zieleni jasnej i opalu. Czasem ponad majestatem wód, niby słoneczny pocisk, przestrzeliła powietrze rybitwa. Zresztą prócz głębokiej, tajemnej mowy fal nic nie mąciło świętej ciszy światła. — Na dalekiej łące na południu widać było zdrobniałe oddaleniem stado pasących się swobodnie, połyskliwych koni.

Zachwyt Wacława, gdy wzrokiem ten obraz chłonął, zamącał jedynie żal, że nie ma obok siebie nikogo z najbliższych, z kimby mógł radość podzielić, ani dłoni drogiej, którąby mógł w milczeniu uścisnąć.

Nim ruszył dalej, pomknął jeszcze spojrzeniem wzdłuż lewego pobrzeża na południe, gdzie na krańcu równiny obok światła wód tlił się punkt czerwonawy, jak iskra przygaszona.

— Daleki jeszcze trud do chaty Jana. Dopiero połowa drogi. — Porachował w myśli wiorsty. — Przed wieczorem dojadę.

Ścieżka sprowadzała po schyleniu — brzeg się nieznacznie poniżał, i o parę wiorst dalej wychylał się jego przekrój dłużny zaledwie parę sążni ponad wodę. Natomiast na lewo od drogi wydźwigiwały się zbocza, pokryte przerzedzonym lasem, z których wyskakujące gdzieniegdzie skały i ściany wapienne spychały ścieżkę ku samej krawędzi lądu.

Droga wiła się znacznie; to zbliżała się ku wodzie na wapienne bruki, to odchylała się na trawiaste łączki, gdy zbocza stopy swe cofały i rozszerz czyniła się większa. Mimo to Wacław wciąż przed oczyma miał świetliste wody, zwężające się ku południowi, i różowy pas lewego brzegu.

Kotlinę tę przestrzenną na południowym zachodzie, gdzie gasło światło rzeki, zamykało zsiniałe pasmo gór, które dziwny cień rzucało na radość całej doliny; nawet przez gęstą śreżogę słoneczną przedzierał się zwycięzko czarny smutek tajgi... Nieznacznie jako mgła wdychana wsączał się w chwilą upojone serce — i duszy dziwnie się widziało, czemu gaśnie jej radość, dar słońca.

Napróżno Wacław mknął oczyma po barwach wód, mieniących się pod czerwieniejące już słońce tęczami, jak roztoczone skrzydło archanioła, napróżno włóczył spojrzeniem po spłomienionem pobrzeżu lub dźwigał je ku zorzom nieba — nie wróciła radość zagaszona.

— Żyźń taska... — dzwonił smutek tajgi. —

— Więc to jest ten ptak czarny, nieodłączny towarzysz zesłańca?... Przez sto zdradliwych sideł, misternie rozumem utkanych, jak przez pajęcze siatki się przedziera — z oddali szczęsnej zapomnienia gołębiem pamiętającym z wieścią okrutną niechybnie na czas przybywa — naprzeciw słońca i duszy darzonej chmurą trwożącą zawisa — każdą chwilę radosną skrzydłem czarnem jako liść wiatrem porywany zwiewa — jako krzyk mewy zbłąkanej we wichrze jest jego krzyk rozpaczny, wywołujący ze życia — jedynie na mogiłę zlatuje pełen współczucia, litośnie skrzydłem zimną darń ochładza, wiew jego jest jako szept matki:

— „Śpij dziecię“...

— O ptaku-smutku! O ptaku-tęsknoto! O duszo-tajgo szumiąca!... Zwoływał wszystką wolę, wszystkie potracone światła, aby nie dać serca w szpony smutku, który go nieraz na długie dni obezwładniał. Nawodził na pamięć różne przydarzenia, wyraźne sprawy, ludzi...

Począł w końcu z zajęciem myśleć o najbliższym na tej przestrzeni osobniku, o starym Janie-rodaku, który mieszkał w samotnej chacie na krańcu rozwidla, na lewym brzegu rzeki. U niego zwykle miewał nocleg, gdy w tych stronach polował. — Stary lubił myśliwych; sam nie mogąc dla starości używać z pożytkiem strzelby, radami doświadczonemi im służył: jakie wybierać miejsca na zasiadkę, którymi szlakami zwierz grubszy chadza, gdzie go najlepiej podejść itd. W zamian za życzliwe rady i gościnę myśliwi zostawiali staruszkowi zawsze jakąś część upolowanej zwierzyny.

Miesiąc już, jak starego nie widział. Jak go też przyjmie? — Stary dziwaczał czasem. Nachodziła go chandra — wtedy zamykał się w chacie albo zaszywał się gdzie w tajgę i tygodniami się nie pokazywał. Nie dziwota — w tej pustelni mógł zdziwaczeć na dobre. Wszakże i on sam, młody, miewał takie psie czasy. Było — gdy zima zdawała się w nieskończoność trwać (a mieszkał wtedy osobno w chacie starego przybysza-tatara) — kładł się na piec, naciągał skóry na siebie i leżał tak tygodniami bez nijakiej zgoła myśli. Nie miał nawet woli jeść — tyle, co go przymusili. Często gospodarz, poczciwy stary Osman, chcąc wyrwać go z tej martwoty, siadał na trójnożku naprzeciw z flaszką wódki w ręce i kusił go, namawiał oczami i giestem. Napróżno. Nie dawał się skusić. Osman już wtedy kiwał ze zwątpieniem głową i odchodził przygnębiony.

— Och ta okrutność zim!... Długoż to jeszcze?...

Uczuł, że znowu szpony po serce jego sięgają. Począł więc pilnie

myśleć o celu podróży. Jeleń napewno się trafi. Schodzą w tym czasie z tajgi ku jeziorom. Ptactwa moc. Posiedzi z tydzień w chacie Jana. — Pomacał się po kieszeniach. — Herbata, cukier jest — stary to lubi.

— Czemu on tu siedzi w tem odludziu? Nic go przecie nie więzi. Dawno już wolność ma. Chyba starość...

Zbliżył się tak, jadąc wciąż ponad wodę, że mógł już dach i ścianę chaty na przeciwnym brzegu, choć w oddali, rozeznać.

— Czy go tylko zastanę? — pomyślał. — Czy nie poszedł gdzie w górę rzeki za rybkami? Na sigę staruszek łakom, a ta się bardziej górnej wody trzyma.

To przypuszczenie strapiło go. Musiałby noc spędzić na prawym brzegu, co żadnego nie przedstawiało powabu. Łódek na tej stronie niema...

Wpatrzywszy się, zauważył pasemko dymu, wysnuwające się z przed chaty. Więc stary jest. Chwała Bogu. Popędził żywiej konia.

Słońce prawie spierało się na widnokręgu krwawem kołem, kiedy dojechał celu. Z brzegu widać było wyraźnie chatę naprzeciw i dwóch ludzi przed progiem, pomniejszonych znacznie oddaleniem.

Podniósł się na strzemionach, przyłożył dłonie do ust i huknął w stronę chaty. Lecz głos przepadł zaraz przy brzegu, jak plusk kamyka — połknęły go olbrzymie nurty. Chwilę stał, zawiedziony, myśląc, jaki dać znak o sobie. Wtem zauważył, iż jedna postać odrywa się od chaty, zdąża nad brzeg, przystaje i, przyłożywszy dłoń do czoła, patrzy ku niemu.

— Kochany stary — szepnął. Porwał czapkę i począł nią machać ponad głową.

Za chwilę łódka przecinała w poprzek fale Leny, kierując się w stronę jeźdźca.

Wacław tymczasem zlazł z konia, zdjął z niego siodło i poklepawszy go po szyi, puścił go na wolną paszę. Gdy zeszedł nad wodę, łódka już była blizko. Widać było wyraźnie postać przewoźnika. O twarzy spalonej słońcem i mrozami, o długiej, białej brodzie, z poważnymi ruchami ciała i rąk, gdy wiosłował, na tej szerokiej wodzie, krwawymi blaski zapalonej, wyglądał jak przewoźnik Charon.

Niezadługo Wacław znalazł się przy nim na łódce. Przywitali się serdecznie.

— Co słychać, ojcze Janie?

— Chwalić Boga. Wszystko po staremu. Rodak zapewne po zwierzynę?

— I to po duży zapas.

— Czas dobry. Może się udać. Wiem ja o jednem miejscu...

— Tam, gdziem był ostatnim razem?

— Nie, w innej stronie. Zwierz co jakiś czas zmienia drogę. Ma i on swoją rachubę.

— Miesiąc to już, jakeście mię, ojcze, przewozili. Nie zdarzyło się co tymczasem?

— Cóż się tu może zdarzyć? Ot, może być takie zdarzenie, że rodak stanie nad wodą, i nie będzie go miał kto przewieźć. Stary już nie wyjrzy przed próg.

— Czerstwiście jeszcze, ojcze.

— Duch spróchniały. Zatem i ciało się rozsypie.

Byli już na połowie wód. Chata się przybliżała.

— A któż u Was w gościnie?

— Moskal, posieleniec.

— Ach ten... Czegóż on?

— Wojenne prawo dla wszystkich. Czas dobry. Przybył zapolować.

— Ja chyba pójdę sam na zasiadkę...

— Lepiej razem: wiedzieć, gdzie on... Tunguzi mówią — zniżył głos — że on niby przypadkiem, trafiało się, i myśliwego ustrzelił. Jemu to nic. Jak ślinę przełknąć. Na zbrodniarza on patrzy.

Wkrótce znaleźli się na brzegu. Stary z pomocą Wacława wyciągnął łódkę na piasek. Podeszli ku chacie, gdzie przed progiem tlił się złożony ogień. Brodacz leżał na ziemi koło ognia. Za ich nadejściem podniósł głowę i odmruknął coś na przywitanie.

— Rozgośćcie się, — rzekł Jan — a ja pójdę popatrzyć w saki, czy się co nie złapało. Wędzona rybka na lecie nie ma smaku.

Wacław wręczył mu przyniesione skromne zapasy herbaty, cukru, soli.

— Ho! to dziś prawdziwe święto — ucieszył się staruszek i dziękował. Poczem udał się ku wodzie.

Wacław usiadł przed chatą na kawałku drzewa. Miał przed oczyma wody Leny i przeciwległe zbocza, płatami lasu i trawą pokryte z rzadkimi zciosami skał wapiennych.

Równinę cień począł zasnuwać. Światła na wodzie krwawe zagasały — fale na szerokich grzbietach poczęły przybierać szklące jak smoki połyski przy czarnych zgurbach cielsk.

Zbocza jeszcze były w promieniach słońca. Trawy i płaty lasu złociły się bogato, a łby wapieni płonęły, jak olbrzymie fioletowe ogniska. Wreszcie i od stóp zboczów począł cień nieznacznie a szybko

iść ku górze — niezadługo czubki jeno paliły się jak włosy płomieni — i te zgasły. Zmierzch począł szybko zapadać.

Wacław zbliżył się do ognia.

— Towarzysz na kaczki? — zagadnął leżącego, nie wiedząc, czemu go towarzyszem nazwał.

— Co się zdarzy.

— Pójdziemy razem o świcie.

— Jak wola pańska — odparł brodacz, kładąc nacisk wyraźny na ostatnie słowo.

Jan wrócił, niosąc na naręczu snopek gałęzi, w ręku pęk związanych ryb. Wkrótce ogień buchnął jaśniej, podsycony suchemi gałęziami. Gospodarz, ustawiwszy nad płomieniem kociołek z wodą, począł na odgarnionych węglach piec z powagą przyniesione ryby.

— Siga najbardziej lubi ogień — prawił. — Wędzona lub suszona nie różni się od innych. Te nieduże. Czasem trafi się na łokieć i więcej.

Obracał je umiejętnie, obwąchiwał, czy już mają dość, wreszcie układał je na skrzyżali cienkiej i stawiał przed gośćmi. Sam spożył jedną. Poczem herbatę rozlewał. Gościom podawał w szklankach, sam zaś pił w okrągłej chińskiej czarce, która prawie w dłoniach się mieściła.

— Do szklanki — mówił — nie mogę się przyzwyczaić. Czarka ma tę zaletę, że, choć gorący czaj, nie parzy. Chińczyki oni to wiedzą.

Po skończeniu wieczerzy, wycierając szklanki, zwrócił się do siedzących:

— No, panowie. Wojenne prawo. Czas spać. Musicie ruszyć, nim dnieć zacznie, chcąc być na miejscach przed świtem.

Brodacz odsunął się od ognia i, owinąwszy się w szynel, począł wkrótce chrapać.

Jan dawał rady Wacławowi:

— Pójdziecie brzegiem starego koryta, potem przez łąki i mokradła. Tak rozumem kierujcie, coby na groblę natrafić. Przechodziliście tamtędy. Jak staniecie pod lasem, wtedy Moskala na prawo, a sami przejdźcie przez wzniesienie na kraj doliny, nad jezioro. Tam raj na ptactwo. Tajga też zaraz na lewo. Jeleń o świcie rad zlatuje ku wodzie... a teraz niech się rodak przespi.

— Coś chciałem się was, ojcze, spytać... Czemu do kraju nie wracacie?

Stary cisnął ku niemu spojrzenie trwożliwe, przygarbił się i milczał. Dłoń mu tylko poczęła się trząść, w której trzymał wytartą szklankę.

— Przecie was tu nic nie więzi. Wolny przed wami szlak...

— Dużo rozpowiadać.

— Długoż wy tu już, ojcze?

— Czterdzieści lat.

— Kęs czasu...

Stary pomilczawszy chwilę począł:

— Do kraju, powiadacie... Czekał ja tej chwili, jak zbawienia. Tą jedną myślą żył. Lata mijały. Różnie było. Aż przychodzi wieść: amnestya. Jaki taki zbiera uciułany grosz, pakuje się i wraca. Wielu jednak tu się już zagospodarzyło, rodziny pozakładało, ba, profesye haniebne, ot, ludziska. Tęskni, tęskni — powiada — a potem wychodzi świnia. Jak na ten przykład ten... znacie — Kabak założył, handluje, wódką rozpaja ludzi, lichwiarzem się stał na okolicę. Mówię o tem ze smutkiem, bo i ja sam... Więc jak nadeszła ta wieść, tak ja dumam... Rodziny ja tu nie miał, nic mię tu nie trzymało, ale po prawdzie nie było o czem wracać. Co lepsze, to ucieka — ledwo samym na powrót starczy — a iść o pomoc do tych, co dobrowolnie tu zostają... Wiadomo, jacy. Nie — dumam — inny sposób znajdę. Wziął ja się do lepienia garnków. Zarobek niezły. Za jakiś czas uciułałem sumkę sporą. Myślę: wystarczyłoby. Wtedy zaczynam rozważać: do kogo ja wrócę, rodziny niema, nikogo, dawno wszystko już pod ziemią, od lat listu żadnego — obcy do obcych?.. Tak z tego poszedł ja w kabak i tydzień pił. Przepiłem wszystko, do kopiejki. Wytrzeźwiawszy, poczynam się karcić. Znowu do pracy, do lepienia. Zacinam się i składam. I znów po jakimś czasie tosamo. Przepiłem wszystko do ostatka — ubranie nawet, sprzęt kuchenny... Jużem kabaku nie opuszczał. Robotność odleciała. Począłem żebrać, rzekomo na powrót, i przepijałem użebrane grosze. Och, nizko spaść może człowiek, gdy go Bóg opuści. Aż raz — przyszło opamiętanie. Stanęło przedemną Sumienie — tak wyraźnie, jak was tu widzę. Och, groźne!.. Rzekło mi: „Żeś potrzykroć zgrzeszył przeciw duchowi, nie wejdziesz do ziemi obiecanej. Nie zobaczysz kraju swego, na wieczne skazan wygnanie". Jak kamień te słowa spadły mi na serce. Przestał ja pić, jak uciął — i tu od ludzi się wyniosłem, aby się ustrzedz pokus. Ot, i żyję, póki śmierć nie wybawi. Bóg może daruje winy i dozwoli choć duszy spojrzeć z góry na ziemię swoją...

— I możecie tu wytrwać? Zimy srogie...

— Bóg jakoś spomaga. Nieraz od wilków wybawi. Ot, ściany pazurami zdrapały, dobywając się. Rybek nawędzę, nasuszę — Tunguzi saniami po siano dojeżdżają, to za pomoc herbaty, soli zostawią...

Jakoś się trwa. Och, zima!.. Myślę: śmierć wkrótce wybawi... Miałby ja prośbę do rodaka — ozwał się po chwili przerwy. — Wrócicie wnet do kraju. Grudkę ziemi prześlijcie pocztą, ze ziemi mojej, płockiej... Niech się z prochem moim pomiesza. Prosił ja już wielu, przyrzekali, ale pewnie, wróciwszy do kraju, zapomnieli, albo też poginęli, zanim...

Milczenie długie nastało. Wacław, odchylony od ognia, patrzał przez mrok w twarz Jana, który siedział nieruchomo, zapatrzony w ogień — w przeszłość swoją... Twarz mu się pomarszczyła, przygarbił się, jakby dziesiątek lat przez tę chwilę wspomnień mu przybyło.

Ocknął się po chwili, poszedł do chaty, wyniósł książkę, rozłożył ją przy ogniu i na klęczkach, do ziemi czołem pochylony, począł się modlić... jak Wacław wnioskował. Gdy zamknął wreszcie książkę, Wacław wyciągnął rękę po nią.

— Nie śpicie? — zdziwił się Jan.

— Nie...

Przeczytał pod blask tytuł: „Poezye Mickiewicza". Książka była zniszczona, litery pozacierane, widać lata już była w użyciu.

— To jedyny mój skarb w chacie — tłómaczył Jan. — Nie oddałbym go za nic. Przez zimy jest mową moją, w chwilach zwątpień — otuchą. Mam jeszcze jeden tom. Z tych ksiąg wyszło do mnie wówczas Sumienie...

Nic już nie zamąciło ciszy. Dowiewała tylko czasem od brzegu głęboka mowa fal.

Zdało się Wacławowi, że tylko chwilkę się zdrzemnął, gdy go zbudziła dłoń Jana.

— Czas już. Kosy nizko.

Brodacz już stał gotowy. Pożegnali starego uściskami dłoni i ruszyli. Jan odprowadził ich za chatę.

— Niech Bóg poszczęści — szepnął Wacławowi. — Wracajcie wnet. Obiad przyrządzę.

Wacław puścił brodacza przodem. Szli w milczeniu. Noc jeszcze gęsta trwała. Jednak od iskier gwiazd czyniło się na ziemi źrocznawo, tak, iż można było kształty przedmiotów, topiących się w pomroku, rozeznać. Trzymając się wskazań Jana, szli brzegiem dawnego łożyska Leny, na dnie którego spała woda, płachtą mgły równo nakryta. Następnie wydostali się na łąki. Rosa gęsta przysiadła trawy powalone — brnęli przez nie, jak przez rzekę. Na prawo ku północy rozciągała się i ginęła w mroku równienna przestrzeń z rzadkimi majakami drzew i wizyami mgły, osiadłej na jeziorach. Na lewo niedaleko czerniły się

kępy i wznosiło się ciemne zbocze o roztopionych w zamroczy konturach. Ciszę zamącał jedynie daleki poszum wód — chwilami ledwoznaczny, to znowu wyraźniejszy — i szelest oroszonych traw, przez które brnęli.

Wacław, idąc w milczeniu w tropy za brodaczem, myślał długo, co może być w duszy tego człowieka, to z rozrzewnieniem przypominał historyę Jana. Przytem nie mógł się opędzić przykremu uczuciu, iż przez te ciche łąki przekrada się w towarzystwie zbójcy, aby zbrodnię jakąś pełnić. Stracił je dopiero, gdy się poczęły mokradła. Trzeba było całą uwagą baczyć, gruntować stopą powierzchnię, przeskakiwać z kopca na kopiec, wymijać, by nie uwiąznąć w młace. Trafili na groblę wązką i szli już bezpiecznie dalej.

Doszli wreszcie do miejsca, gdzie wał lesisty, zatoczony od południa, przecinał równinę i zniżał się jakoby łapą ciemną ku jeziorom.

— Towarzysz na prawo? — zagadnął Wacław brodacza.

— Można — odmruknął tenże.

— Szczęścia życzę.

— Wzajemno.

Skręcił z miejsca i poszedł skrajem lasu; a Wacław ruszył przez las, minął wzniesienie i gdy wydostał się z ciemni leśnej, znalazł się na brzegu doliny, wązką szyją od wschodu zatoczonej, na zachód zaś daleko rozwartej, gdzie się z równiną stapiała. Zaraz od szyi na wschód i południe dźwigała się zboczem i rosła w przestrzeń zmroczniałą czarna noc tajgi...

— To jest to miejsce — szepnął Wacław, nie mogąc się oprzeć drżeniu. Czuł na twarzy i sercu blizkie tchnienie tajgi, jako oddech żywego potwora. Opanował się przecie, wypatrzył na skraju kępkę wysuniętą drzew, podszedł tam, narwał gałęzi, zrobił siedzisko i usadowił się pomiędzy pniami. Strzelbę wziął na kolana...

— Tędy muszą z tajgi schodzić — pomyślał. — Może i parę sztuk się trafi...

Noc jeszcze trwała. Cisza taka nakaźna wisiała w powietrzu, że Wacław oddech przytłumił i zastygł w martwocie czekania. Gdy tak trwał w znieruchomieniu, a chwile ciszy jako sowy ponad nim na gałęziach posiadły, poczęły dowiewać od strony tajgi głosy dziwne — jęki — poszumy — westchnienia...

— Tajga mówi — przypomniały się Wacławowi słowa Tunguzów. I wsłuchał się całem czuciem wgłębionem w tę mowę...

Naprzód z dalekich — dalekich okrain jakieś echo... Ni to my-

śliwski róg, ni krzyk ostatni zwierza... Stłumione oddaleniem... Zgasło. Zaczem ze środka lasu, z piersi tajgi wydobywa się postęk — zrazu słaby... Nabrzmiewa bólem — potężnieje — jak młoty spadają na serce jego razy... Och! Och!... Czy nie ustanie? Czy się nigdy nie skończy? Wieczność trwa... O jęku ziemi!... Nareszcie... Postęk słabnie — przechodzi w ciche rzężenie... Ktoś w tajdze kona!... Cyt... Szelesty... Gdzieś górą... Jakby duch tajgi u szczytu prostował skrzydła... Cisza znów. Cisza straszna. Cisza-przerażenia. Czy wszystko zmarło?... Taka cisza ma być, gdy wszystko na ziemi zginie — i gwiazdy odlecą. Duch przestanie szeleścić. Nic tej ciszy wyrazić nie zdoła — słowo, myśl nawet szeleści. Młoty serca jak dźwięczą w tej otchłani!... Dokądże będzie trwać? Och przecie... Dźwiga się głos — jak senny pomruk obudzonego potwora. Potwór mruczy... Straszny być musi jego gniew. Któż jego głód zaspokoi? Ziemię pożre, gdy wstanie. Zasnął przecie... Śnił mu się tylko głód. Cóż to?... Z dalekich stron — organy... Ledwo słyszalne — wiatr przynosi... Nie — bliżej... Ton wyraźny... Och — jak nastraja duszę!... Czy to Ty, duchu tajgi?... Któż tak na ziemi może grać? Coś czarownego... Zkąd organy?... Przedziwna harmonia... Podnosi się ku gwiazdom i spada niżej pojęcia, w głąb ciemną... Czy to melodya zginionych ziem — czy mających się narodzić światów?.. Dusza drży z trwogi szczęścia... Więc jej przeczucia były prawdą? Jest muzyka, o której nie wiemy. O — jak się górą niesie... Odpływa... Wraca... Nie — to śpiew słychać... jaki wysoki! Czy to w koronach drzew — czy na gwiazdach?.. Och ty aniele śpiewny! zleć! zniż się! Niech dusza umrze szczęśliwa... Czyż to tylko echo było? Jak smutno... Płyńcie łzy — już nie wróci. Szum słychać... Nie — to czas się we wieczność przelewa... Więc i ta chwila jedyna... O morze wieków! na tobie my rozbitki... Pogasły gwiazdy nad nami... O wieczny, nieskończony Mroku!... Czas odpłynął... Pozostał tylko jeden ton... O jak ubogi! jak smętny!... Z czem go porównać? Chyba z duszą, na śmierć otrutą smutkiem. Niesie się górą tajgi. Ni to melodya, ni wołanie — coś dziwnie niepojętego...

I ten przepadł. Na niebie bowiem poczęło dnieć. Gwiazdy przygasały — niektóre już ponikły. Dolina jeszcze była w mroku — tyle jeno od nieba rozwidniała, że się odróżnić wyraźniej dawały: szara płachta mgły, zielono-mroczne płaty łąk i czerń majacząca lasu. Cisza drżąca, jak zatrzymany oddech, zawisła długo w powietrzu — oczekiwanie radosne i trwożne zarazem przejęło całą dolinę. Widziało się przez spełzłą zasłonę mroku, iż się podnosi piersiami, wstrzymującemi dech, naprzeciw dnienia... Dreszcz zimny, jako przeczucie oddania się

ziemi światłu, przebiegł wszystko żywoistne i rozemdlił się w tęsknocie czekania. Na ziemię począł padać z pojaśnionego już nieba szary, sinawy pył i osiadać na łąkach, na zboczach, iż wystąpiły oczom z mroku, który je zacierał. Lecz ledwo się to stało, poczęła się na niebie rozprószać oświetl różowa od wschodu, a szary pył, osiadły na ziemi, przybrał nieznacznie barwy fioletu.

Wtedy to ze mgły, leżącej w kotlinie, dobiegł nastrojonych uszu Wacława pierwszy odzew życia: kwak cyranki. Barwy na łąkach zadrgały, jakby potrącenie tego głosu zbudziło trawy, schylone pod rosą. Za tem poczęły się odzywać głosy inne. Były nieśmiałe zrazu, zbudzone ze snu, pytające. Niektóre dobiegały z dalsza, z kęp jeziora, jako grzechotania ciche, niektóre zaś odzywały się zwyraźniałe bliskością, tuż z przybrzeża. Wacław rozróżniał po głosie krzyżówki, edredonki i wiele innych, które znał jeno z barwy. Głosy mnożyły się — jedne wywoływały drugie — i pogwar zataczał coraz szersze koła na jeziorze. A to wszystko działo się pode mgłą, która zciężałą warstwą leżała na wodzie.

Dolina rozwidniła się już znacznie. Jeszcze fiolet ciemny nie spełznął ze ziemi, lecz już powietrzem jako płatki jabłonnego kwiecia spadało różowe światło i osiadało na trawach, na drzewach, mieniąc się z występującą zielenią i niknącym niby cień wiotki fioletem.

Odkryły się oczom łąki, ciężkim mieniącym się płaszczem rosy przysiadłe, o plamach kwietnych różnej barwy, przez owo rośne okrycie niby przez szybę omgloną majacznie przezierających. — Wysuwający z tajgi czarne łapy, cofnął się mrok, stępiony pobrzaskiem w czoło — i oszlaki mchów żółtawych, to rdzawistego piaru stały się widoczne naraz. Wyszły też na jaw z uboczy naprzeciwległej zielenie przerozmaite, kształty cudaczne drzew, wykroty, i idąca pomroką ku górze nigdy nietknięta gąszcz omszałych świerków i jodeł.

Pobrzask rozednił las i pobudził życie przyczajone. Z dalekiej gęstwi leśnej dobiegł tokot głuszca. W skraju trawiastym naprzeciw ozwał się cietrzew. Wreszcie i dzięcioł począł pracować. Z niedaleka słychać było jego miarowe kowanie. Zaczem i inne ptactwo leśne poczęło dawać znać o sobie.

Pode mgłą na jeziorze życie już wrzało... Kwaki, gęgania, turczenia rozszerzały się, jak jarmarczne fale i tworzyły dziwny koncert, tłumiony wełną mgły, która je czyściła, iż przebijały się przez nią jednym zespołem radości. Rozbudzone ptactwo wodne różnymi głosy chwaliło dzień, który przezemgłę czuło. Światło bowiem przeciekało przez gęste, zwełnione warstwy — i mgła, rzednąc powoli, stawała się ze sinej

liljowa. W onej liljowej rozpyli blizko brzegu ukazywały się barwne widma podlatującego ptactwa; nawet ich łyskliwe szyje i strojne harfy skrzydeł uznać było.

Wacław, siedząc nieruchomo na usłaniu gałęźnem między pniami, dolinę rozwidniałą mając u stóp, chłonął oczyma pilnemi i słuchem wyostrzonym rozbudzane po kolei życie. Słuchał uważnie tokowania głuszca, zajmował go odzew cietrzewia, pilnie śledził robotę dzięcioła — gdy ten począł kuć na pniu niedalekim, z zajęciem przyglądał się jego czarnej jak sadza opierzy o czerwonym, wywiniętym czepcu — lecz najwięcej uwagi dawał na jezioro, gdzie gwar przeróżnych głosów dzwonił. I pomału, nieznacznie, jako to światło prószące w dolinę, udzielała się mu radość rozbudzonego stworzenia, iż począł się czuć w zespole ze wszystkiem. W piersi, dziwnem, nieznanem wzruszeniem rozgranej, zrywały mu się jakoby radosne ptaki, świt dzwoniące. Nie znał dotąd takiej szczęśliwości. Przeto wdzięcznym był wszystkiemu dookoła, pozdrawiał sercem każdy odzew życia, rozbawionemi oczami śledził podlatujące we mgle liljowej ptactwo i duszę otwierał szczęśliwą naprzeciw radości barw. Zapomniał całkiem o celu, w jakim tu przybył. Czuł się w dolinie, jak wszystko dookoła — w jednym rozświcie radosnym.

Zapatrzonego we mgłę liljową uderzył szelest z boku. Obrócił oczy, i serce mu myśliwskie zadrżało... Na łąkę z tajgi wybiegł rogacz. Stanął przed nim niedaleko, prawie na strzał. Wacław, gotując strzelbę ostrożnie, przyglądał mu się. Wspaniały okaz, bezpiecznie w schronach tajgi ojczystej wychowany. Jeszcze na rogach rozłożystych i na czerwonej gładkiej sierści lśniła się rosa. Widać przedzierał się przez gąszcz. Spróbował trawy od niechcenia, uszczknął parę kwiatków, poczem podskoczył na miejscu i rozejrzał się wesoło. Wacław począł mierzyć doń, kierując muszkę pod przednią łopatkę, gdzie pod muskułem drgało serce. Miał pociągnąć za odwód, gdy rogacz zwrócił ku niemu piękną głowę. Oczy jego patrzyły prosto w oczy Wacława — tak jakoś bezobawnie, ufnie. Wacław opuścił strzelbę na kolana. W tym momencie bowiem przypomniało mu się zdarzenie jedno, gdy polował z Osmanem na kozły. Postrzelił kozła — i gdy przypadł ku leżącemu na ziemi, zobaczył wyraźnie, jak z dużego, łagodnego oka spłynęła łza i spadła na liść... Jak perła — została długo na liściu. Nieraz to przydarzenie wyrzutem go nachodziło. Czemu znów teraz? Sam zły był na się za to — jakby kiedyindziej powiedział — rozmiękczenie. Ujął strzelbę powtórnie, lecz znów ją opuścił. Kłóciło się w nim dwóch — wyraźnie dwóch ludzi.

— Zabij! Okazya się nie trafi...

— Poczekaj... trzeba pomyśleć...

— Ujdzie!

— Zaraz... przypatrzę się tylko...

I począł się przypatrywać rogaczowi, który, nic nie przeczuwając, baraszkował swobodnie na łące. Ślady jego lekkomyślne na siwym płaszczu rosy kreśliły ciemny ornament. W momencie pewnym stanął, nastawił ostre żłobki uszu na melodyę rozdzwonionego życia na jeziorze, i oczy jego jakoby uśmiech rozszerzył. Świetliła się w nich radość wielka, beztroskie szczęście istnienia. Potrząsł swą dumną, uwieńczoną głową i znów w zachwycie sposążał. Rogi jego zapłonęły w potężniejącem szybko świetle, jak ogniste latorośle. Po gładkiej, czerwonej sierści zbiegały złote połyski. Radość nadmierna nie dała mu chwili trwać w bezruchu. Podskoczył z miejsca jako płomień i zawiódł swój lekki taniec. W owej chwili na łąkę wybiegł z tajgi drugi... W podskokach tanecznych przypadł ku niemu. Poczęli się swawolnie szermować rogami...

W sercu Wacława trwała jeszcze kłótnia.

— Strzel teraz. Obu położysz.

— Zaraz. Niech się im napatrzę.

— Na co czekasz?

— Piękne są...

W tym momencie padł w dolinę z poza wzgórz tajgi pierwszy grot słońca... Równocześnie z kępy pobliskiej przestrzelił ku wodzie z krzykiem szary bekas — głos jego ostry, donośny, przeciął powietrze, jak świst cyrkularki. W odpowiedzi na to krzyk się na jeziorze podniósł. Rozgwar się wzmógł. Z poza wzgórz tajgi raz w raz groty padały ogniste — aż z niespodzianą szybkością stanęła na zębach lasu w krzyku płomieni lśniąca kula... Szał najwyższy ogarnął dolinę.

Wacław uczuł się olśnionym. Cisnął od siebie strzelbę — wstał — i wyciągnął ramiona do słońca, jak skrzydła. Najwyższem uczuciem serca radosnego dziękował za łaskę świtu...

Naraz wpadło w dolinę dalekie echo strzału... Krzyk grozy wzniósł się z nad jeziora. Wacław widział przed sobą w zamgleniu światła przerażone oczy dwóch rogaczów, które przestrach na moment znieruchomił — poczem zabrały się i, oglądając się na boki z trwogą, łukami pomknęły w tajgę. Jeszcze rogi ich świecące z drzewiny niższej widać było.

Słońce już było wysoko, mgła się rozpyliła i wsiąkła w błękit,

gdy Wacław opuścił dolinę. Idąc z powrotem do chaty Jana, czuł z dziwnie tkliwą radością narodzone w piersi nowe życie. Jak perła — błyszczała na liściu przed oczyma serca jego łza, spadła z żalu za życiem z ciemnego oka umierającego kozła.

WŁADYSŁAW ORKAN.

Z sonetów alpejskich.

Od „Dzikiej Pani“ tam — przez „Górne Dźwierze“
zeszedłem oto w zieloną kotlinę;
jeszcze mam w oczach śniegów biel i sine
zwały lodowca, chmur i nieb bezbrzeże, —

a choć mi pachną tu alpejskie róże
i las zielony szumi ponad głową,
ku szczytom oczy me biegną na nowo
i znów się serce wyrywa ku górze!

O, siły! siły! siły moje młode!
zali wy długo mi jeszcze starczycie,
by iść tak w pustkę na trud i swobodę

i nieść ku niebu grzmiące w piersi życie —
i szczytom karki stopą depcąc hardą,
na świat w dół patrzyć, z litością a wzgardą?!

W Griesalp, po zejściu z Wilde Frau, czerwiec 1909.

JERZY ŻUŁAWSKI.

Z Lukrecyusza xiąg

De Natura Rerum.

Gdyby nie miała każda rzecz swego nasienia,
jakże mogłyby powstać matek uroszczenia?
Lecz że z nasion właściwych wszelki byt pochodzi,
przeto każdy to jeno z swego wnętrza rodzi,
ku czemu w nim materyał i pierwiastki były.
Więc, że pewne są w pewnych rzeczach tajne siły —
by z wszystkiego powstało wszystko: być nie może.
Nadto — czemu na wiosnę róże, w lecie zboże,
na winnym krzewie grona widzimy w jesieni,
jeśli nie, iż zaiste w czasie swym się pleni
z połączenia zarodków rzecz zrodzona wszelka
w porach, gdy już bezpiecznie Ziemia żywicielka
wątłe kiełki wypuścić może na dzień biały?
Rzeczy — gdyby z niczego — to by powstawały
nagle i bez okresów, w nieprzyjaznej porze,
gdyżby brakło pierwiastków, którym zły czas może
przeszkodzić, by się zbiegły ku wydaniu płodu.
Gdyby wzrost nie wymagał czasu ni zachodu
ni złączeń nasion, gdyby rosło co z niczego,
nagle mógłby się młodzian z dziecka stać małego,
z ziemi drzewa by strzelać mogły już wyniosłe...
Lecz tego nie widziano. Owszem, rzeczy wzrosłe
zwolna wzrastały: każdy płód z nasienia
swego i w swym rodzaju, — tak do przeświadczenia
dojść trzeba, iż rzecz wszelka z swych składników rośnie.
A gdy deszcze te same, padające w wiośnie,

budzą różne wesołe potomstwo ogrodu, —
ten sam pokarm zwierzęta rozliczne od głodu,
żywiąc, zachować może i od śmierci bronić:
raczej ku zdaniu temu trzeba nam się skłonić,
że jest, jak głoski w słowach, w wielu rzeczach wątek
wspólny, niżeli przyjąć bez przyczyn początek..
A dlaczegóż to człowiek głową pod obłoki
nie sięga ani może okraczać zatoki
morza, ni ręką silną łamać twardą skałę,
ni długością żywota wieki przetrwać całe,
jeśli nie, iż materja, z której rzecz powstaje,
z góry pewną jej formę i czas trwania daje?
Jeśli pola uprawne lepszy niż ugory
rolnikowi plon niosą, gdy dbać o nie skory,
to jest dowód, że w ziemi są pierwiastki rzeczy,
które my, mając własne dobro swe na pieczy,
w płodnych skibach na światło pługiem dobywamy.
Gdyby nie to, tem wszystkiem, co przy pracy mamy,
ziemia mogłaby sama darzyć nas obficie...
Że nic niema z niczego, dowiodłem niezbicie,
bo nasion jest potrzeba wszelkiemu stworzeniu,
by się ku niebieskiemu mogło wznieść sklepieniu.
Tu widno, iż rzecz — ginąc — znowu się rozkłada
na swe części, nic zasię w świecie nie przepada.
Gdy w cząstkach to, co było znikome istotnie,
nagle mogłoby w oczach zginąć niepowrotnie,
ani byłoby trzeba siły jakiej, aby
ciał składniki rozerwać, związek niszcząc słaby.
Tak zaś — jako z wiecznego wszystko jest zarodku —,
póki siła nie działa z zewnątrz, albo w środku
związku drobin nie targa, wnikając do rdzenia:
nie zna Matka Przyroda śmierci ni zniszczenia!
Nadto, jeśliby prawdą było, że czas rzeczy
pokonawszy starością, doszczętnie niweczy:
zkąd istot coraz nowych pokolenia w dzienne
światło ciągle wstępują? czemże łono plenne
Ziemi ich żywi? zkąd im pokarm daje świeży?
jak ubytek mórz rzeki z dalekich rubieży
nagradzają? jak eter żywi gwiazd płomyki?
Gdyby w rzeczach znikome miały być składniki,

dawno byłby do cna już Czas zniweczył światy!
że jednak już istniały te ziarna przed laty,
z których dzisiaj się rzeczy składają widzialne:
są zaiste pierwiastki owe niezniszczalne,
by zaś co się nicością stało — trzeba przeczyć.
Wszakby siła ta sama każdą rzecz zniweczyć
mogła, gdyby cząsteczki wieczne nie tworzyły
ze sobą związku mniejszej albo większej siły;
owszem — wówczas dotknięciem możnaby rzecz zabić,
gdyby siłą jakową nie trzeba osłabić
i rozerwać łączności drobin niespożytych.
Ale wobec istnienia węzłów rozmaitych
wśród pierwiastków wieczystych, są nieskazitelne
rzeczy, póki ich siły nie dotkną dość dzielne,
aby zniszczyć natarciem ich wnętrzne sprzężenie...
Nic się tedy nie staje niczem! a zniszczenie
jest rozkładem na części przedwieczne jedynie.
Wprawdzie deszcz znika dla nas, gdy z ojcowskich płynie
eterów na spragnione łono Matki-Ziemi,
lecz za to zboża rosną plenne, pod bujnemi
owocami zielone drzew się gną konary,
z których znów pożywienie ludzki ród ma jary.
Ztąd się roją dorodną dziatwą nasze miasta,
ztąd brzmi śpiewem ptaszęcym lasów toń liściasta,
tęgie krowy na żyznym pasą się rozłogu —
a z ich wymion, jak gdyby z przepełnego rogu,
mleko białe się sączy, — a oto dokoła
skaczą młode cielęta przez pachnące zioła,
matek mlekiem obfitem nieomal pijane.
Tak więc rzeczy nie giną, przez nas tu widziane,
lecz tylko forma jedna wciąż w drugą przechodzi
i Przyroda ze Śmierci Życie nowe rodzi!

Przekładał Jerzy Żuławski.

O wolnem z duchami wielkich obcowaniu.

DYALOG.

Dyalog toczy się na terasie pałacu królów macedońskich. Dokoła kolumnada z białych marmurów, pośród słupów posągi.

Z terasy widok na jaśniejący w pysze rozkwitu i blasku słońca ogród, srebrne wodotryski, aleje żwirem sypane, a wpobok i wzdłuż nich hermy. W dali bezbrzeżny przestwór morza: woda spokojna, zielonawa, lśniąca. Od wód napływa lekki wiew, kołysząc zielenią sadu i chłodząc przechadzających się po terasie Arystotelesa i Aleksandra, królewicza macedońskiego.

Aleksander: Powiedz mi, mistrzu, czemuś komnatę naszą jadalną przyozdobić kazał tyloma posągami sławnych umarłych, a na ścianach czemuś zawiesić kazał maski z wosku i złota i portrety Heroów?

Arystoteles: Mówisz tak, jakobyś wyrzut mi czynił, że ci mężów owych towarzystwo, zwłaszcza w komnacie jadalnej, niemiłe.

Aleksander: Nie na Zeusa! ale nieswojo mi jakoś sycić żołądek strawami doborowemi i winem z Chios się raczyć, gdy Oni na mnie patrzą.

Arystoteles: Tedy-że Pitagoras krzywdę czyni żołądkowi twemu?

Aleksander: Nie, mistrzu. Przestrzega jeno przed nadmiarem, który muzykę organizmu kłóci.

Arystoteles: Widok Pitagorasa przywodzi ci zatem na myśl naukę jego? — przypominając zaś naukę, działa tak, jakobyś ducha jego na czas w siebie przejmował?

Aleksander: Bez wątpienia.

Arystoteles: Acz niezupełnie. — Bo żali zdołasz, choć na chwilę, zagubić duszę swoją, własną? — tyle tedy, zda się, przejąć możesz w siebie, ile w tobie już jest. — A tak nie doznałbyś wcale żadnego przyrostu sił ducha ni umysłu.

Aleksander: Miałbyś słuszność, mistrzu, gdybym był człowiekiem już dojrzałym, to znaczy: gdyby władze ducha mego doszły pełni rozkwitu. — Przykład zaś i nauka działa przedewszystkiem na tych, którym wychowanie potrzebne, to jest na tych, których, poznanie ograniczone, a dusza nie cała jeszcze ze snu obudzona.

Arystoteles: Mówisz więc, że tylko umysły wychowanków niedojrzałe u Wielkich Umarłych uczyć się mogą? A przecież nie są oni wyłącznie nauczycielami prawdy. — Wśród posągów i obrazów kogóż krom Pitagorasa widzisz?

Aleksander: Zaiste! wielka ich liczba, a nazwiska święte: oto Talesa widzę mędrca, Anaksimenesa, Anaksimandra, Heraklita „ciemnego“, Ksenofanesa, Empedoklesa, Anaksagorasa; ówdzie sofistów Gorgiasa, Protagora, boskiego Sokratesa, mistrza twego Platona i wielu innych, którym bogowie mniejszy wyznaczyli udział w poznaniu prawdy; najszlachetniejszych widzę owych mędrców siedmiu, śród nich Solona, arcydzielnego w słowie i czynie; poetów, ulubieńców Apolla i Dyonizosa, co z mowy muzykę tworzą lub krzeszą pioruny, a duszę ku bogom wznoszą: złotoustego Homera, wtórnego Zeusa, który słowem świat żywy wyczarowuje i dusze zażega płomieniem, jego, co raczej, niż Peleus, jest ojcem niedoścignionego w męztwie i przyjaźni Achilla, — mądrego Herzyoda, budzicieli-mocy: Tyrteja, Kallinosa, Teagenesa, a obok smętnego Mimnermosa pieściwą a palącą jak ogień, Safonę, jak wicher potężnego Alkaja, chórzystów Alkmeja, Stesichorosa i w. i., a szczególnie Aischylosa co moc gromów dzieli z Piorunowładcą, Sofoklesa, którego mowa jak lazur, Eurypidesa żywego jak płomień i płomieńmi dyszącego, Arystofanesa, czuwającego nad harmonią i wszelki błąd karcącego śmiechem, — zaś wpodle znowu mocarzy, co świat swą dłonią i rozumem przekształcali, wśród nich ojca mego Filippa.

Potrzebujęż ich wszystkich wyliczać? znani są tobie lepiej, niż mnie.

Arystoteles: Czy tych wszystkich widok i towarzystwo nie oddziałuje na ciebie wcale, acz ni Achilles, ni Aischylos prawdy nie wykładali w Akademiach?

Aleksander: Przeciwnie! gdy wchodzę pomiędzy nich, podnosi się

dusza moja, jak kiedy wchodzę w progi świątyni! bogom się czuję blizkim i świętość spływa na mnie.

Arystoteles: Więc nie przez głoszoną prawdę jeno działają Wielcy ale każdy inaczej; sam sobą, przez ducha swego obecność. Czy sądzisz Aleksandrze, że uczyć znaczy tylko: nowych dostarczać wiadomości, a uczyć się: nowemi naukami zapełniać umysł, jak spichrz ziarnem?

Aleksander: Bynajmniej; raczej nie spichrzem ma być umysł, lecz glebą, a żniwo nauki nie w worach leżeć powinno, a owszem jako w glebę padać, kiełkować a rozwijać się.

Arystoteles: Tak, dusza sama czynić się powinna. Lecz odpowiedz: zali nauka to poznanie samo? — A oto znasz Aristofila: chodzi po ulicach miasta i gajach z głową ku ziemi opuszczoną, albo podniesioną ku niebu; wie wszystko, zna dzieje przeszłości, zna filozofię, poetów umie na pamięć, a przecie ku pośmiewisku jest innych. Czemuż to przypisujesz?

Aleksander: Temu, że niedołężnym jest Aristofilos.

Arystoteles: Niedołężnym: to znaczy, że w nawale wiadomości istotę swoją zatracił; wziął na swe bary ciężar i ugina się pod nim a uwolnić się już nie może czy nie chce. Każda wiadomość nabyta jeno, nie wypracowana z ducha, jest ciężarem; jeśli je gromadzić będziemy, jako ziarna one we wory, przygniotą nas, że się staniemy jako muły objuczone.

Musimy pozbawić je ich ciężkości a uczynimy to, jeśli je przeistoczymy w pierwiastki lotne i swoiste, w krew je niejako i miąższ wchłoniemy. Ku temu zaś potrzeba sprawności umysłu. — Gdyby umysł nie trawił swojej karmy, byłby jako żołądek, nie trawiący straw mu dostarczanych. — W Aristofilu przeważa pamięć, która, że bez pomocy innych władz jest martwa, wreszcie stało się jako ten żołądek przeciążony niestrawionymi pokarmami. — Należy tedy ducha w stanie ciągłego życia i nieustannej czynności wstrzymywać; niechaj w nas żadna cząstka jego nie będzie jako trup, martwa, inak poczniemy gnić od wnętrza.

Aleksander: Odbiegłeś mistrzu od naszej sprawy i odchyliła się myśl twa od kierunku naszych rozważań.

Arystoteles: Pozornie jeno, królewiczu. Owa galerya Wielkich w naszym narodzie stawia ci przed oczy niezmierzone bogactwo możliwości ducha ludzkiego. Każdy człowiek, jako tego Ducha cząstka, posiada w sobie różnorakie możliwości, formy.

Otóż wychowanie zasadza się na ujawnianiu i rozwijaniu owych

możliwości ukrytych. — Na słusznym unaocznię ci to przykładzie: nie jest dusza człowieka ziarnem, noszącem w sobie jedną tylko możliwość, lecz glebą, która różne nasiona przetworzyć zdolna i różne rodzić płody; lecz jako i gleba różną ku różnym płodom ma skłonność, tak i duch człowieka możebności ma wiele w sobie, choć tylko jedną naczelną.

Jest obowiązkiem wychowawcy umiejętnie one formy pielęgnować, przez badawcze i próbne doświadczenia je poznawszy. — Skład swoisty bowiem form tych, właściwych pewnemu człowiekowi, tworzy człowieka tego formę ogólną czyli jego osobistość. Otóż kształcić osobistości uważam za najszczytniejsze zadanie wychowawców. — Ponieważ jednak owych form swoistych z góry przewidzieć nie można, aby świadomie i celowo je kształcić, przeto próbnych doświadczeń potrzeba. — Przypuszczam u wychowanka z początku nieograniczoną liczbę i rozmaitość możebności; oczywiście nie kształcą ich równomiernie; są pewne ogólniejsze władze, rodzajowi ludzkiemu właściwe: od tych należy zacząć; innym pozostawiam swobodę, doświadczam podsuwając im sposobność do ujawniania się. W tem i w chwytaniu w lot symptomów — sztuka pedagoga. — Dzieje się to nie tylko w wieku dziecięcym, ale przez całe nieomal życie człowieka; wprawdzie z wiekiem nierozwinięte formy kostnieją, ale człowiek nigdy siebie nie zna: żywi ciągłą nadzieję, że jest bogatszym w możliwości, niśli nim jest w istocie. — Winien tedy człowiek sam siebie doświadczać, przelewając ducha swego w formy najrozmaitsze.

Kupiec winien nie zasklepiać się w formie kupieckiego jeno myślenia, ale wedle możliwości wyzwalać ducha swego z tej niewoli, utrzymując i ćwicząc w nim wolność innych form. — Wybór zawodu powinien owym przyrodzonym formom odpowiadać; każdy zawód bowiem wymaga pewnych form ducha odrębnych: jeśli te przedmiotowe formy z podmiotowemi się zgadzają, mówimy o człowieku, że poszedł za głosem powołania swego. — Zdolności dyalektycznych np. wymaga przedewszystkiem zawód rhetora lub logografa i w tym zawodzie ludzie zdolności owe posiadający są „powołani“. — Często jednak zdarza się, że człowiek o silnie rozwiniętych formach tego rodzaju myślenia odda się — filozofii, i szukać będzie prawdy za pomocą tej właśnie formy dyalektycznej to niewłaściwej. — Ztąd różne rodzaje filozofii, zależne od różnych rodzajów umysłowości filozofię uprawiających. — Wśród filozofów znajduje się wielu „powołanych“ obrońców prawnych i wielu kupców.

Albo: człowiek, obdarzony fantazyą, to jest: zdolnością zmysłowego oglądania rzeczy, człowiek ten „powołany“ na to, by być twórcą, poświęca się — jestto rzeczywiste poświęcenie się — znowu dzięki nieprzystosowanym okolicznościom n. p. zawodowi kupieckiemu, wymagającemu, form myślenia i czucia zupełnie innych. Powstaje w ten sposób kupiec-fantasta, przedsiębiorca genialny, podróżujący w kraje kimeryjskie, odkrywca nowych lądów.

Owa tedy niewspółmierność form z zawodem, nie zawsze jest rzeczą złą; przez kombinacye stwarza nowe formy, rozwija naturę ludzką, wzbogaca zasób możliwości. Najczęściej jednak sprowadza nieszczęście, gorycz, ruinę.

Aleksander: Rozumiem cię, mistrzu, a raczej domyślam się, w jakim to związku pozostaje z owymi bohaterami ducha i czynu, od których nasza rozmowa się poczęła. — Obcując z duchami ich, rozszerzamy niejako ducha własnego, zmieniamy jego kształt, ćwiczymy jego polot i tak go utrzymujemy w pożądanej sprawności, lekkości i wszechmożliwości, czyli wyzwalamy się.

Arystoteles: Znalazłeś, Aleksandrze, wyraz odpowiedni: jest to wyzwolenie ducha: albowiem czynne już formy w zakresie i treści wzbogacamy, a nadto budzimy inne uśpione. Człowiek przeciętny zostaje pod przewagą lub wyłącznem panowaniem jednej głównej formy i wedle niej działa i żyje. A toż jest wszystko niewola. — Owo zaś obcowanie z duchami Wielkich wyzwala nas i to jest najważniejsza ztąd płynąca korzyść.

Aleksander: Masz słuszność, mistrzu! Owo uczucie, które poprzednio opisałem, jako uczucie świętości i podniesienia duszy, gdy wchodzę pomiędzy posągi ich i wizerunki, jest właśnie uczuciem nieograniczonej możebności ducha ludzkiego, uczuciem zupełnej wolności i potęgi nieskończonej, oraz pokornej czci dla tej niewyczerpanej w bogactwie swem boskiej mocy twórczej, uplastycznionej w obliczach owych posłanników, a zarazem radosnem przeświadczeniem, że się jest ich bratem i uczestnikiem owej mocy.

Arystoteles: Oto jest wolne z duchami Wielkich obcowanie; wolnę, bo niezależne od treści i wyzwalające w nas ducha osobistego. Nazywają to także moralnym wpływem Wielkich. — Lecz tak obcować mogą li tylko duchy możne z możnymi.

Aleksander: — ?

Arystoteles: Nietylko bowiem wpływ ów wyzwala, ale i niewoli duchy. Wyzwala duchy możne, niewoli zaś słabe, które starszych form pozbawione kształtują się wedle formy naczelnej jednego

z Wielkich. — To jest narzucanie pęt przez duchy bohaterskie na duchy słabe. Że zaś z takich w większości ludzkość się składa ztąd owa przewaga gniotąca i jarzmiąca owych; Tak tedy, o ile geniusze są zarazem głazami — znaczącymi postęp ducha ludzkiego, o tyle są zarazem głazami — zawadą, o którą duch ludzki w postępie się potyka. — I to jest wpływ ich ujemny.

Aleksander: Zaprawdę, mistrzu! otwierasz mi oczy na rzeczy, których nie oczekiwałem. Widziałem dotąd w bohaterach wyzwólców ludzkości a teraz wykazujesz mi, że są równocześnie i niewólcami. —

Arystoteles: Nie jestto takie zło, jak sądzisz: że owe bezforemne duchy słabe zapożyczają się u Wielkich, toć obraza wolnego ducha ludzkiego, ale przynajmniej znośnymi stają się duchy takie dla naszego zmysłu estetycznego, nie cierpiącego bezkształtności. Czuwać jeno nad tem trzeba, żeby wybór był stosowny.

Aleksander: Nowe otwierasz mi i wytyczasz zadania, jak władcy: bo któż inny czuwać ma nad tem?

Arystoteles: Sądzisz, że rząd? — tak, gdyby nim była rada najmądrzejszych w narodzie, — Duchy słabe bowiem są przecie poniekąd dziećmi, wychowania potrzebującemi. Taka rada byłaby im nauczycielem i wychowawcą.

Aleksander: Kiedy uważasz wpływ Wielkich za zły?

Arystoteles: Strzeż się słów, bo przez nie i myśl się mięsza i mąci. W dziedzinie Wielkości niema zła i dobra, jest moc i wolność. Staje się ona taką lub owaką dopiero w sferze słabości ludzkich. I tylko w odniesieniu do owych duszek maluczkich mówić można o złym wpływie Możnych. U słabych bowiem jest tylko bezwolne przyjmowanie i samojarzmienie się, u Wielkich zaś odbywa się ciągle stawanie się, to jest: tworzenie i natychmiastowe znoszenie tego, co już jest, na rzecz tego, co dopiero stać się ma czyli wieczne samozniszczanie się, ruch, wolność. — Przez niestosowny zaś wybór dla wychowanków rozumiemy wybór Wielkości o formie myślenia zaprzeczającej życie.

Aleksander: Nie wiem, co znaczy: zaprzeczać życie. Wszak życie — to dar najświętszy, to największe dzieło, jakie z rąk bogów wyjść mogło. Czuję, że kocham życie, że je wdecham każdą porą mego ciała, żebym rad z powietrza — z łąk z skał i z zdrojów, nieba i ziemi wczerpnął w siebie wszystkie moce życia, aby je potem znów wetchnąć we wszystko to, co bez życia, bez ruchu, bez kształtu. — — Życie jest piękne, dobre i mocne!

Arystoteles: Rozumiem, dlaczego trudno ci wniknąć w tych, któ-

rych forma myślenia i czucia wręcz jest twojej przeciwna. A oni właśnie życie owo odzierają z wszelkich piękności a życie człowieka z prawd wszelkich i nadziei i zostawiają rozpacz, któraby doprowadzić ich musiała do zniweczenia siebie, gdyby nie silniejsza nadewszystko miłość życia, którą matka — natura w nich tchnęła. Tacy tedy nie nadają się na Wychowawców Ogółu, którego jedynem dobrem i wskazaniem: Życie. — Dla obcowania zaś duchów możnych z możnymi zastrzeżenia takiego nie potrzeba, albowiem duchy te nigdy nie zniżą się do materyalnego z sobą obcowania, jeno się zawsze w sferze formalnej unoszą.

Aleksander: Że znam twoje poglądy, mistrzu, przeto, gdyś mówił tyle o formie, przypomniałem drugą stronę rzeczy: materyę, ale nie umiałem pojęcia tego do twoich wywodów nawiązać. A oto tyś sam to uczynił, mówiąc o materyalnem z duchami obcowaniu. Lecz jeszcze dłużen mi jesteś wytłómaczenia, co przez to zamierzasz powiedzieć.

Arystoteles: Wejdźmy w sad, Aleksandrze! Patrz: seledyn zieleni purpurowy okwiat pomarańcz, różane kwiecia migdałów, złote cytryny, wszystkie drzewa w dojrzałej krasie zlewają się z sytym błękitem nieba w harmonię, bawiącą oko i radującą duszę. I chodzić będziemy po alejach, wdechując w siebie wonie słodkie, zdrowe, świeże a wzrok nasz napawać się będzie świetną grą cudnych kolorów i kształtów i podnosić się będzie dusza nasza ku przeczuciu olimpijskich rajów a ręce nasze będą spokojne a pożądliwość nasza spać będzie i nie będzie łaskotało nas podniebienie nasze i dusza spokojną będzie czcicielką piękna. —

A oto wprowadźmy weń człowieka gminu i rzeknijmy mu:

„Wejdź a czyń bez bojaźni i wedle woli twej, bowiem ci dana wolność zupełna," i spoglądajmy z okien pałacu: oto rozbłysną mu oczy chciwością i pożądliwością, oczy ślepe, choć widzące, dłoń jego wyciągnie łapczywość i patrz: oto niby dłonią Afrodyty, najpiękniej ukształcone, całunkiem Heliosa zarumienione a ręką Heby zawieszone jabłko zerwie bez krzty lęku, bez drżenia palców, bez skurczu sumienia, — patrz! usta otwiera i z żarłocznością głodnego zwierzęcia wgryza wargi i zęby w miąższ jego i niszczy ten cud piękna, na który może wszystkie siły natury harmonijnie się złożyły. — —

A wczoraj byłem świadkiem ohydnego widoku: przed posągiem Afrodyty stał niewolnik z chucią w oczach i gorące wargi przyciskał lubieżnie do nagich jej kształtów w zimnym marmurze. —

Czy ci jasną różnica między obcowaniem materyalnem a formalnem?

Aleksander: W przybliżeniu tylko, mistrzu, o ile odnieść ją mam z stosunków estetycznych do obcowania duchów.

Arystoteles: Nigdy mali z Wielkimi bezpośrednio obcować nie mogą; pomiędzy nimi stoi cała rzesza duchów pośredniczących, którzy ów związek ułatwiają: każda mądrość przez ich mózg i wprzód przejść musi, nim ją najubożsi duchem dostaną, ale jaką? — spowszedniałą, świeżości i mocy pierwotnej pozbawioną, przystosowaną. — To, co było formą pierwotną tej mądrości, zatem najistotniejszem, zginęło po drodze... Ci — pośrednicy — obłuskwili ją z niej i tę przygotowaną i przegotowaną naukę podają odbiorcom. Tamci zadawalać się muszą tą najmateryalniejszą treścią, którą też sobie natychmiast przyswajają i której w życiu używają — ku celom rozmaitym: jako normy życiowej, jako ozdoby dla swej mowy, jako środków do zyskania ludzi i urzędów...

Ich dusza nie ociera się o dusze Wielkich, — by, jako dyament szlifowany, błyszczeć. Do Wielkich oni albo nie dochodzą z powodu owych pośredników, którychby czemprędzej usunąć należało, gdyby ci, ubodzy duchem, mogli znieść obcowanie bezpośrednie, — a nadto z powodu zbytniej pożądliwości, która w nich żywie a która w dziedzinie ducha jest taką samą, jak w dziedzinie ciała a nazywa się pospolicie: ciekawością. Ciekawość jest lub stać się może namiętnością. Nic zaś, cokolwiek namiętnością stać się może, nie jest z ducha czystego, którego znamieniem: harmonia i wolność.

Aleksander: Oto wiem ci już teraz, dla czego mię, mistrzu, otoczyłeś gronem Najdostojniejszych.

JÓZEF MIRSKI.

Trzy wiersze.

Brzóz liściem pachnie noc i czeremszyną,
Gdzieś na pogodę daleko się błyska...
O życia dziwna, rozstajna godzino,
O śnie dośniony, żalu bez nazwiska!

Łzy mi gorące z ócz po ciemku płyną,
Narcyzów bije młoda woń od grządek...
O życia późna, o nocna godzino!
Wieczystych rzeczy pełni się porządek...

*

Czas jest zdrożony i wiatr się zmienia,
Z sierpami idą od pola żeńce,

Tak ci mam wiele do powiedzenia,
Tak dużo... Wszystko... Może i więcej...

Odmianę czuję w powietrzu... Błyska!
Burza dziś będzie w nocy po skwarze —

W duszę chcę twoją poglądać z bliska,
A w twarz się oto spojrzeć nie ważę...

Deszcz... Pierwsza kropla już padła... Kwiaty
Lipowe pachną znużone spieką,

W oczach twych widzę nieznane światy,
Obietnic bożych ziemię daleką!

*

Dusza moja na zawsze zostanie dziewczyną,
Co w las poszła o świcie z dzbankiem na jagody,
Krasą śmiała i ufna, że choć lata miną,
Ona przetrwa w urodzie lic swych wiecznie młodej.
Dusza moja na zawsze zostanie dziewczyną...

Dusza moja w zielonym na warkoczach wianku,
Ścieżką idzie samotną, wolna jak ptak w lesie,
W pas się słońcu jasnemu kłania o poranku,
Niby wicher swobodna nad życiem się niesie,
Dusza moja w zielonym na warkoczach wianku...

Dusza moja nikomu wziąć się nie da w ręce.
Własna swoja, niczyja, nieznana nikomu,
W zaświat boży swe serce poniesie dziewczęce,
Niby jagód wieczorem pełny dzban do domu.
Dusza moja nikomu wziąć się nie da w ręce...

*
* *

MARYLA WOLSKA.

Antologia młodych pieśni.

I.

NIECH MYŚL TWA...

Niech myśl twa, jak puszczona z łuku strzała chyża,
Wzleci w górę i tam już zostanie na wieki,
Pamiętaj — niech nic nigdy jej lotu nie zniża!
Bo jeśli myśli wskażesz horyzont daleki,
To możesz się nie lękać o serce — i śmiało
Pozwolić, by przy ziemi — bijące — zostało.

. . . .

Najdroższych twoich nadziei kwiaty
Pieść w słońcu marzeń: niech bujnie rosną
I niech ci w duszy pachną rozkosznie
Wieczystą wiosną...

Bo kiedy wkoło smutno i szaro,
A pod stopami głóg i pokrzywy —
Trzeba mieć w sobie ciche schronienie,
Kącik szczęśliwy...

ŚWIAT PRZEZ TRAWY.

W upalne jedno popołudnie,
Traw zielonością przynęcona,
Padłam na kwiaty i na trawy...

Wnet fala wonna i zielona
Objęła postać moją całą.
Nademną błękit był jaskrawy,
Słońce mi prosto w twarz się śmiało.
...W upalne jedno popołudnie
Tak jasno było — i tak cudnie!

W upalne jedno popołudnie
Widziałam świat przez trawy... Boże,
Jakie ja dziwne, niewidziane
Rzeczy ujrzałam przez traw morze,
Poprzez wysokie źdźbła i zioła,
Przez tę przeźroczą wonną ścianę
Co otoczyła mnie dokoła,
Jak w to upalne popołudnie
Inaczej było — i jak cudnie!

W upalne owo popołudnie
Byłam w przedziwnym jakimś lesie,
Gdzie biegną w górę, prosto z ziemi,
Wiotkie łodygi. Każda gnie się
I chyli podług wiatru wiania,
I miękko splata się z innemi,
Błękit zasłania i odsłania...
...W upalne owo popołudnie
Patrzyć na świat tak było cudnie!

W upalne letnie popołudnie,
W trawach zgubiona i w błękicie,
W bezdennej czystej toni nieba,
Czułam jak można kochać życie,
I jakie ono dobre bywa,
I jak do szczęścia mało trzeba,
Byłam spokojna i szczęśliwa
Jak świat — co jaśniał tak przecudnie
W upalne letnie popołudnie.

* * *

MARYA ZNATOWICZÓWNA.

II.

SKRAWEK NIEBA.

Codzień z mojego łóżka przez to szare okno
Patrzę na skrawek nieba, co nad dachem lśni —
Jednak i on posmutniał wśród jesiennych dni,
A szyby coraz częściej w mgle wilgotnej mokną...

Długie, gorzkie godziny plotą się w miesiące —
Znów noc jedna minęła i dzień jeden znów...
— O smutku mój bez pragnień — tęsknoto bez snów...
O cicha dolo oczu — łzy nieustające...

A przecież — gdzieś za oknem kwitło bujne lato
I radością beztroską tchnął przesłodki wiew —
Później jesień złociła mgły i liście z drzew...
— Cóż za lato i jesień będzie mi zapłatą?...

Tyle dni beznadziejnych, tyle tępych dni
Patrzę z mojego łóżka przez to szare okno —
A szyby coraz częściej w chłodnych kroplach mokną
I skrawek nieba — mętny — ponad dachem lśni...

SŁAWA PRÓSZYŃSKA GWIŻDŻOWA.

III.

NIE WIEM.

Jak łąka słońcu złotemu pod chmurę,
Ciskam wam uśmiech gorący w źrenice,
Aby rozwidnić te wasze ponure,
Od grzechów ciemne, nazbyt ludzkie lice.

Nieraz, gdy w walce śmigają pociski
I godzi we mnie wasza ręka twarda,
Tak bywam w sercu przebaczenia bliski,
Że nie wiem: miłość jest-li to, czy — wzgarda?

NUDA.

O balustradę mostu wsparty, widzę
Blade majaki oparów nad rzeką,
Co z niebem w nurtach ciemniejącem w lidze
Rozkołysana płynie hen — daleko...

W wód bruzdy patrzę i na fal gonitwę,
Jak wieńczą pianą zwierciadlane grzbiety
I łkam jak fale, szepcąc ich modlitwę,
Gdy wiatr nad brzegiem targa wierzb szkielety.
— — — — — — — — — —

Na pola parny zwlókł się zmierzch, jak starzec
Z bajki, co w sinej mgle zamawia czary;
...Gdyby tak dobrych dni i złych się zarzec
I cicho wsiąknąć w własny cień swój szary!

ŚLADEM MAR.

Więc grzechem miłość, grzechem jest nienawiść? Powiedz
Duszo, czy znasz ty z tego labiryntu wyjście?
Wywlokłem cię na pytań bolesnych manowiec,
A tobie z oczu lecą łzy, jak zwiędłe liście...

Krok w krok za nami idzie wina i przed nami,
Miarą oddechów naszych swoje trwanie liczy;
Przez nas samych rzucany cień ścieżki nam plami:
Sobowtór nieuchwytny, cichy, tajemniczy.

A gdy niebaczni do tej zbłądzimy czeluści,
Kędy pod wiecznie czujną mroków ślepych strażą
Zakuty w srebrny pancerz smok sumienia drzemie,

To tłumiąc krzyk przerażeń z obłąkaną twarzą
Grzechy najkrwawsze, których nikt nam nie odpuści
Skryjmy w pierś swą, jak ziarno nasienne pod ziemię!

DO * * *

Nikt mi już ciebie odebrać nie może,
Bom cię marzeniem uwięził na wieki
I zamknął w serca najskrytszej komorze
I nie wypuszczę cię z pod swej opieki,
Choć wszystko we mnie w ogniu własnym zgorze.
Moje na życie zamknięte powieki —
Lecz świecić ma mi, póki sam nie zgasnę
Twa dusza jasna, jak oczy twe jasne.

Zda się, iż wszystką tobie światłość skradłem
I ona dziś mi blask na czoło rzuca,
A łzy po licu mem płyną wybladłem
I nic mnie bardziej chyba nie zasmuca
Niż to, gdy mętnem odbijam zwierciadłem
Ciebie, patronko mej doli! Lecz płuca
Głębszym i czystszym falują oddechem,
Gdy głos twej duszy dzwoni we mnie echem...

Idę za tobą, jak za drogowskazem,
Bo wiem, że dla mnie serce twoje bije,
A że jest pełne tęsknoty, więc razem
Jest ono tylko boże — i niczyje...
Ztąd nieraz korzę się przed twym obrazem
I jak włóczęga z źródła, z ust twych piję
Rzeźwiący napój łaski, by mnie srogi
Znój nie powalił przed końcem mej drogi...

* * *

JAN LIPSCHITZ.

IV.

W ZMIERZCHU.

Idę w zmierzchu wieczornym, bez celu, bez drogi, —
Nie wiem, dokąd mię kroki zawiodą tułacze...
Wszystko mi jedno!... Żadne gościnne mię progi
Nie czekają, odejścia mego nikt nie płacze!

Nikogo nie zostawiam w moim pustym domu,
I nikt na mnie u kresu podróży nie czeka.
Obojętny dla wszystkich, nieznany nikomu —
Idę w świat, — wszędzie obcy, przychodzień zdaleka...

Cienie się kładą zwolna na umarłe niwy,
Czepiają się przydrożnych drzew nagich gałęzi,
Gdzieś w oddali psy wyją, rwąc się na uwięzi,
Wszystko dokoła niknie, w zmierzch się stapia siwy,
Niebiosa nad mą głową coraz bardziej bledną...
A ja wciąż idę... Dokąd? Wszak to wszystko jedno!

BRONISŁAW BOROWSKI.

V.

WSZAK MOGŁEM...

Psia krew!
Wszak mogłem też mieć złoto
A mam garść pełną plew,
Gdy oto,
Tam w pobok, kapie, kapie złoto
Z zaczarowanych drzew...
Psia krew!

K. L.

W Karpatach.

Wśrodku Europy, jak wielki łuk napięty ku wielkiej równinie północno-wschodniej leży łańcuch Karpat. Na ich stokach rozłożyły się od Alp Siedmiogrodzkich po ostatnie krańce Beskidu ludy słowiańskie, na wschodzie ruscy Huculi, pośrodku i na zachodzie Polacy, za granicą węgierską na całem południowem zboczu Słowacy zmieszani z Rusinami i Polakami. Życie tych ludów swobodne i wolne tchnie żywiołową siłą i pierwotną kulturą. Zanim będziemy mogli bliższą tej dziwnej okolicy i tym ludom poświęcić uwagę, rzucamy na papier nasze pierwsze impresye.

Między łagodne wzgórza, coraz wyżej pną się drogi ku górom, spina się ciężko kolej. Gdy zaczynamy wznosić się ponad niezmierną plażę łanów iskrzących aż po piaszczysty a błękitniejący horyzont, na widok wyłaniających się wielkich fortec karpackich pogarbionych i po stokach miękko trawą porosłych, zdaje nam się że Wogezy otwierają długie doliny na Gérardmer. Zbocza kop pocięte na pola jasne nad któremi czuwają, w gajach złotych kasztanów, szare dzwonnice niby gołębniki. Stada owiec, siwe jak mech islandzki, ciągną drogami białemi wzdłuż krętych rzek, które spadają po stopniach skał, a szumu ich nie słychać. Stoki białe jak śnieg, od rumianków w świetle słonecznem. Gdzieniegdzie na tle nieba zarysowuje się na wzniesieniu łąk jakaś stara rudera z drzewa sosnowego, zczerniała od niepogody, jakby z szarego łupkowego kamienia, potem zagrody chłopskie rozrzucone, na jasnych podmurowaniach, ze ścianami bielonemi, poprzerzynanemi czarnemi belkami, w cieniu wielkiej lipy, które przypominają swoim kolorytem pół-żałobnym chaty bretońskie. Do pociągu przejeżdżającego cisną się dzieci obdarte, jasne jak len, i podając kwiaty domagają się centów od podróżnych. W miarę jak pociąg spina się w górę ukazują się drogi leśne, skaliste, pełne wybojów, spadające ze stoków między płoty z ociosanych świerków całej długości. Na zielonych murawach igrają piękne, bosonogie chłopki. Na brzegu lasu kobiety odpoczywają siedząc przy drodze w spódnicach zielonawych, w chustkach żółtych i krasych na głowach, podobne do kobiet w Tyrolu. Zdala szerokie, wezbrane potoki na płaszczyznach łąk podmulają mostki z pali okrągłych, któremi brzegi ich są połączone. Przerzynamy nieskończone lasy świerkowe, których wysokie kolumny zwie-

szają ponad gęstwiną mchem podszytą długie gałęzie, a od nich opuszcza się jasna frendzla młodych gałązek i ciemna zieleń jakby draperya czarnego aksamitu. I nagle, na tle szerokiego nieba odkrywamy w głębi płaszczyznę o łagodnem wzniesieniu, i w promiennej jasności obłoków, jakby w przepasce z kamienia mglistego, szarą, starą koronkę Karpat, haftowaną śniegiem.

Letniska wielkie jak miasta powstały od lat kilkunastu w głębi tych kotlin wdzięcznych, zasłoniętych od wiatru. Z nich Zakopane najbardziej typowe. Ludy równin sarmackich w tych wyżynach krzepią temperament, tu czerpią zdrowie i podnietę dla dusz. Twardą odporność i zaciętą odwagę symbolizują te góry. Muzycy [1]) tworzą tu opery natchnione życiem ludu i charakterem tych Alp środkowych, poeci współczesni sławią je dla zdrowej i szorstkiej prostoty. Nawet myty ludowe górali dostarczają tematu harmonijnego dla marzycielstwa Goszczyńskiego w jego ślicznej „Sobótce", tu Tetmajer rozsnuwa „Melodyę mgieł". U wód kryształowych dzikich potoków górskich, wszystkie umysły czerpią natchnienia; poeta woła: „W całej mej rozległej ojczyźnie o świątynio skał, w tobie tylko są ołtarze wolności". (Nowicki).

Wszystko tu podnosi wychowańca miast i umacnia życiem pełnem prostoty i hartu. W wielkich domach, podobnych do jodłowego żłobu, można widzieć przez okno zastawione doniczkami kwitnącego geranium, mężczyznę przy warsztacie heblującego, i z drzewa białego, leśnego, powstają krzesła, laski kształtu siekierek, skrzynki, czerpaki o rączkach niby rączki skrzypiec, wszystko kształt ma jakiś odrębny, jakiś styl jednolity, a bogaty; kobieta haftuje szarotki zielone i niebieskie na plecach kaftanów ze skóry. W uliczkach widzisz tylko górali, jak pustelnicy ubranych w skóry zwierzęce, plecy pochylone jakby pod skorupą żółwia pod „serdakiem" ze skóry brunatnej lub wełny żółtawej, twarze schowane w kapelusz z czarnego sukna. Z dalekich wsi, ukrytych w szczelinach Karpat, ciągle schodzą czarni i obdarci orlogłowi górale. Wozy, o koniu ledwie że zaprzężonym, spuszczają się z góry, starając się wyprzedzić lokomotywę; życie przybiera porywczy, radosny pośpiech wody, która dopiero co wytrysnęła z pod ziemi. Koło drogi gonią się młode chłopaki, a młoda dziewczyna przed domem, jak wielka lalka w szerokiej krasej spódnicy, kwitnąca młodością w swym różowym, srebrem wyszywanym gorsecie, z twarzą hożą i świeżą przegina w tył swą pełną kibić i śmieje się rozbawiona do tych młodzieńców, którzy mijają jak wicher. Wozy podłużne, kryte budą płócienną, podobne do wielkich koszów z łoziny, któremi powozi góral o dumnem obliczu, odbijają klienta za pomocą wesołego żartu i puszczają się z wycieczką w góry, tam gdzie czarne tafle jezior leżą zamknięte w ciemno-fiołkowych skałach. Tutaj to ludność równin, ciągle niepokojona burzliwym czasem, tu niedobitki wojen, chroniły się podczas wieków całych, tutaj umiano stawiać opór obcym najeźdzcom, tu dochowała się skarbnica języka i podań na tych szczytach karpackich, gdzie podług słów legendy, zasiadł ptak polski sięgając jednem skrzydłem morza Czarnego, drugiem Bałtyku. W naszych czasach górale tych okolic są najwierniejszymi przedstawicielami dawnego świata polskiego.

Ku północy spuszczają się Karpaty tarasami o łagodnym spadku. To

---

[1]) Stefani, Żeleński, Paderewski etc.

płaskowzgórze jest z istoty swej poważne i łagodne. Co za powietrze, co za światło! Pamiętamy jeden wieczór niedzielny u stóp Tatr. Słońce zaszło za niebieskawe lasy, które okalały świat na widnokręgu. Przed nami równina bezbrzeżna pod nagiem sklepieniem była jednem polem zboża dościgłego, różowiącego się lekko od spokojnej czerwieni nieba. Nad tą równiną, uprawianą od wieków, panowało milczenie pustynne, ani ptasiego śpiewu usłyszeć, ani dostrzedz żywej istoty, tylko jakieś ciche, niewinne, niezmierne, szczęście o ciepłej barwie zboża zaległo ziemię, jak okiem sięgnąć i jak gdyby zasiane było na wieczność przez lazur niebieski wzniosło się ku niemu wyżej niż wszelkie istnienie. A my, którzyśmy nie z tego kraju, a tylko przechodnie aby odetchnąć wilgotną wonią zboża życia, w świetle kojącem zmierzchu uczuliśmy jakby upojenie żniwem płodnem w cierpliwość i nadzieję, którego nie dają winnice podczas winobrania. Jakże nie zrozumieć że ów lud przez wieki prawie wyłącznie hodujący pszenicę, upojony wonią swych kłośnych pól, zamarzył że jest jedynym posiadaczem fermentu życiowego, przeznaczony by zostać tym ludem rolniczym, który zasieje szczęście na całej powierzchni kuli ziemskiej.

Czuliśmy się w szczerem odludziu wśród obszaru pól, a jednak nagle odkryliśmy miasto. Było całkiem blizko, tak ciasno otoczone ziemią uprawną jak jakaś wiejska zagroda. Liczne jego wieże, dzwonnice, kopuły metalowe drżały jeszcze w czystych polach światła, jak dzwonnice wiejskie wydzwoniwszy Anioł Pański. Idąc ku miastu napawaliśmy się pięknością ewangieliczną tego życia, śród wonnego otwartego powietrza. Łagodny wietrzyk równinny, pachnący ziemią, poruszał wdłuż fortyfikacyi zarośla strączkowe biało kwitnące, pod któremi bawiły się gromadnie dzieci, a na zielonych wałach starego miasta, piękne dziewczęta jasnowłose posiadały na trawie; patrząc ku polom z modlitwą na ustach rysowały na widnokręgu rasowe profile złocone cichym wieczorem.

Słowianina szczęśliwego posiadaniem swej ziemi, cieszącego się poetycznem uczuciem pewności i bezpieczeństwa, swoim domem, swą rodziną, swem niebem, nie widzieliśmy ani na Pomorzu, ani w Poznańskiem, ani w Królestwie Polskiem, ani na Litwie lub na Ukrainie, ale jedynie w Galicyi. Tu zakwita krajobraz ojczysty jak szczęście ludzkie jakimś wdziękiem niewinnym, którego nigdzie indziej nie widzisz w takiej jasności. Nic nie ma rozkoszniejszego jak wsie we wszystkich tych ziemiach.

O kilka godzin od miast najznaczniejszych, równina, która naokoło dzwonnic mniejszych osad, wydaje się jedną wielką żyzną zielenią, nagle zwęża się i zbiega w drogi wydrążone między szkarpami porosłemi dziką różą, biegnące pod biało kwitnące akacye. Po kamienistych wądołach z których spadają kaskadami potoki, spuszczają się drogi te na łąki zielone, zaciszne, gdzie konie wolno harcują w pośród gęsi, chłopki w chustkach na głowie zielonych, pomarańczowych, czerwonych, podobne do niewiast perskich siedzą na murawie jak pstre kwiaty, w cieniu jabłoni. Droga, która jakiś czas ciągnęła się wzdłuż żywo płynącej wody, teraz prowadzi nas koło progów chat wiejskich. Chaty te niskie, niektóre zielone, prawie wszystkie niebieskie, jakiejś barwy lazurowej, jasnej, srebrzystej jak z bajki. I przed temi mieszkaniami, które wśród akacyi i wierzb zadziwiają nas swym wschodnim

kolorytem kobiety, mężczyźni, dzieci jasnowłose o turkusowych oczach, siedzą ugrupowani, a ich przepyszne różnobarwne stroje czynią wrażenie baśni o wieczystej wiośnie. Wschodni wygląd tych wsi chrześcijańskich, gdzie w jakiemś małem okienku ukazuje się jak w ramce łagodny profil dziewczęcy, sprawia dziwnie egzotyczne wrażenie, unosi umysł daleko, między temi domami pomalowanemi na ów nieprawdopodobny niebieski kolor, zdaje się że trwa tu wesoła dusza jakiejś bardzo dawnej Anatolii.

Ze wszystkich tych wsi i wiosek tłum ludu spieszy do miasta w dnie targowe.

Pod wyniosłym kościołem gotyckim z czerwonej cegły na bruku krakowskiego rynku, tego forum dawnej historyi polskiej, okryte szalami podobnemi do indyjskich, stare przekupki sprzedają grzyby, a siedzące na koszach wywróconych, stare kwieciarki o oczach jeszcze bardzo niebieskich układają na swoich kolanach stokrotki, bławatki i maki, zwykłe trójbarwne przybranie ołtarzów wiejskich. Gospodarze w kaftanach długich wyszywanych czerwono koło szyi i na rękawach, w czapach z wełny białej i szerokich pasach ze skóry czerwonej wybijanej miedzią, zeskakują ze swych wózków kształtu długiego kosza z łoziny i chodzą śród tłumu paląc fajki. Bose niektóre, drugie w wysokich butach, z koszykiem jarzyn na ręce, dzban z mlekiem trzymające w drugiej, z tobołkiem na plecach żywo kroczą kobiety hoże i mocne, jak żołnierze, z szyją wyprostowaną, okazałe w swych czerwonych spódnicach. Frendzle ich chustek żółtych jak słoneczniki, cytrynowych, szkarłatnych, które zawiązują pod brodą, chusty duże w pasy zielone i purpurowe, które zarzucają na siebie, unoszą się z powiewem wiatru. Za sukiennicami stoją dwa rzędy chłopek w koralach na szyi, z haftem koralowym na rękawach, ze srebrnemi półksiężycami w uszach, sprzedają mleko i masło. I ciągle te same chustki koloru maku polnego, szale koloru maku ogrodowego, spodnice barwy pomidorów, wśród tej czerwieni, która przytłumia świeżość ich cery blondynek, włosy zblakłe i twarde od słońca, czoła opalone i pokryte piegami, źrenice siwe, i szorstkie, ale pogodne twarze żniwiarek.

W rzędach przekupniów kręcą się i uwijają chustki szmaragdowe, gorsety barwy geranium, spodnice z aksamitu mchowo zielonego, surowy i jaskrawy zespół kolorów wśród tupotania butów i wrzenia głosów. Mężczyźni i kobiety potrącają się łokciami niezgrabnie, idąc w słońcu.

I bardzo możnaby pokochać tę pełną siły życiowej gromadę rolników, która w tej pstrokaciźnie kolorów doznaje dziecinnej przyjemności, jakby na jakimś wielkim jarmarku barw różnorodnych.

Z tego wszystkiego zrodziła się sztuka ludowa, w krakowskiem przeważnie wycinanki z kolorowego papieru i malowanie na drzewie, u wschodnich Hucułów tkactwo, hafciarstwo, wybijanie w mosiądzu i garncarstwo, a na podhalu tatrzańskiem potężny odłam sztuki: rzeźba i budownictwo drzewne stanowiące dziś dumę Polski.

MARIUS - ARY LEBLOND.

Kilka ustępów z nadesłanego łaskawie rękopisu wolno przełożyli B. W. *i* X. Y.

François br. Gérard
i portret jego pędzla w Muzeum im. X. X. Lubomirskich we Lwowie.

Wielka Rewolucya francuzka, jak w całem zresztą życiu ówczesnem, tak i w sztuce, zupełnego dokonała przewrotu. Sztuka francuzka ośmnastego wieku była jakgdyby misternie wypolerowanem zwierciadłem, w złote, barokowe, pysznym ornamentem zdobne ramki oprawnem, na którego powierzchni drgał obraz powabny jasnego i barwnego życia, życia bez trosk i udręczeń, pełnego uśmiechów szczęścia i uciech wszelkiej kategoryi, różnej intenzywności, lecz używanych zawsze ze smakiem wytwornym, wyrafinowanie subtelnym.

Społeczeństwo francuzkie tej doby wychylało zwolna aż do dna samego puchar rozkoszy w tę długą upojną noc Baltazarową, bez wytchnienia i opamiętania, bez oglądania się na grożącą nieuchronnie zagładę i straszną krwawą pokutę. Artyści francuzcy byli może w stopniu wyższym, niż kiedykolwiek, świetnym wyrazem tej osobliwej chwili dziejowej, w której żyć im było danem i środowiska, z którego wyszli. Sztuka czerpała żywotne swe soki z bujnego życia tych czasów.

Był takim malarzem — galanthomme pełen gracyi Antoine Watteau i Nicolas Lancret, malarz słynnych francuzkich salonów Jean Baptiste Pater i elegancki J. B. Leprince, biegły portrecista Jean Marc Nattier i twórca małych wdzięcznych portrecików Robert Tournières, byli takimi zwłaszcza spadkobiercy techniki Rosalby Carriery, świetni pastelíści, jak Peronneau, Maurice Quentin de Latour i Jean Etienne Liotard.

Powab ciała kobiecego, osłoniętego z lekka strojem, złożonym z miękkiej, przejrzystej czasem materyi i sutych prześlicznych koronek, prawdziwe święcił tryumfy w niewielkich obrazkach kilku zwłaszcza

artystów, którzy jak Pierre Antoine Baudouin, a przedewszystkiem François Boucher i Jean Honoré Fragonard, podpatrywali niedyskretnie z niczem niekrępowaną swobodą tajemne schadzki i ciepłe sceny miłosne pięknych par ówczesnych.

Nie tak daleko znowu od tych malarzy, jakby się zdawać pozornie mogło, stoi miękki i czułostkowy Jean Baptiste Greuze... Jest w jego obrazkach dużo elementu moralizatorskiego, to pewna, ale też głównym jego celem jest zawsze przedstawienie wdzięku kobiecego, uroku, jaki wywiera postać niewinnego młodego dziewczęcia, w okresie gdy z dziewczynki staje się już kobietą. A i to pewna, że te śliczne, słodkie twarzyczki dziewczęce, łzawią się na tylu jego obrazkach i trwożą nie tylko z powodu stłuczonego dzbanka lub lusterka...

Sztuka i kultura estetyczna stała bardzo wysoko. A tak, jak sztuka była spokojna, pogodna, tak spokojne, choć bynajmniej nie ciche, było życie, swawolne wprawdzie i swobodne, lecz pozbawione zwykle silniejszych, bardziej żywiołowych wybuchów temperamentu i namiętności. Jedyna zacięta walka jaką toczono podówczas z uporem, wybuchła po wystąpieniu na widownię publiczną Jana Filipa Rameau z operą, opartą na francuzkim, narodowym pierwiastku. I toczył się długo spór o to, czy wyżej stoi opera włoska, czy francuzka, Buffoniści walczyli z anti-Buffonistami, potem znowu zwolennicy Glucka z wielbicielami Picciniego, tak, że powstały dwie wrogie sobie partye, jedna królowej Maryi Antoinetty (au coin de la reine), która była za Gluckiem, i partya króla (au coin du roi), który popierał Picciniego.

Pozatem życie płynęło spokojnem korytem, niezamącone, równe, a ciekawe i piękne. Poziom tego życia nie był co prawda zbyt wysoki, napięcie niezbyt intenzywne, aspiracye nie zawsze daleko idące. Ale człowiek ówczesny czuł rozkosz życia i brał z niego to wszystko, co było dla niego ponętne.

I każdy mógł w Paryżu szczerze wyznać wraz z Kajetanem Węgierskim:

„Kocham się w zbytkach, pieszczoty lubię,
Kunszta i życie wygodne;
Porządek chwalę, gustem się chlubię
I to mi ładne — co modne;
Niech to gust będzie złośliwy,
Tak myśli każdy uczciwy,"

(„Mój świat").

Lecz tak być mogło do pewnej tylko chwili. . . .

*

Przepyszne Rococo zakończyło się nagle przebudzeniem ze snu złotego do strasznej, krwawej rzeczywistości. Marsylianka i „Ça ira“ dziwnie brzmiały w wydelikaconych uszach, przywykłych do rozmów dowcipnych, lekkich, do szeptów miłosnych, do pięknych a łagodnych dźwięków pieszczotliwej muzyki ulubionych gawotów i wytwornych menuetów. Głuchy odgłos spadającego noża gilotyny, wrzaski i ryki rozbestwionego motłochu, zdawały się wróżyć śmierć niechybną tym wszystkim, którzy dotąd dla owej „canaille“ mieli tylko grymas wzgardliwy na twarzy.

Rewolucya położyła kres stanowczy tak wybitnie arystokratycznej sztuce epoki Rokoka.

Wiele pięknych dzieł sztuki padło ofiarą rewolucyjnego, ślepego wandalizmu; wielu malarzy rzucić musiało swe farby i miękkie pastele, a ująć broń do dłoni. Wytworny portrecista, Aleksander Kucharski, w mundurze oficera gwardyi narodowej pełni straż w więzieniu Temple, a następnie w Conciergerie! W jednej niemal chwili zmieniło się wszystko: rząd, ludzie, moda codziennego stroju, sztuka i upodobania estetyczne, o ile zrazu w ogólności mogła być o nich mowa.

Pseudoklasycyzm, zataczający już przedtem [1]) coraz szersze kręgi, zaczyna panować w sztuce, a nawet w życiu publicznem, prawie niepodzielnie. Republikańscy przywódcy, ze sztucznym patosem słów i gestów stawiają za wzór starożytną Grecyę, rządzącą się bez królów i władców, śmiercią karzącą srogich tyranów. W Grecyi upatrywano historyczne usprawiedliwienie rewolucyjnych zbrodni, z greckich bohaterów usiłowano brać dla siebie przykład.

Pseudoklasyczne utwory Davida, od „Horacyuszów“ począwszy, stają się wyrazem nastroju, dążności i usposobień całego rewolucyjnego ogółu, staje się oficyalnie uznawaną przez rząd republikański sztuką.

Autor Przysięgi Horacyuszów, Brutusa, malarz Lepelletier'a na łożu śmierci i zamordowanego Marat'a, deputowany konwentu, obywatel Jacques Louis David jest pierwszym malarzem we Francyi w dobie rewolucyi. Ze szkoły tego malarza wychodzi wnet cały zastęp utalentowanych uczniów, jak Girodet, Isabey, Granet, Léopold Robert, Ingres, Gros, a w ich także liczbie urodzony w r. 1770 François Gérard.

*

W czasie tego huraganu dziejowego stawiał Gérard pierwsze kroki na drodze swego artystycznego rozwoju. Urodzony w Rzymie, w trzy-

---

[1]) W Niemczech J. Winkelmann wydaje w r. 1755. „Gedanken über die Nachahmung der griechieschen „Werke“, a w r. 1764. „Geschichte der Kunst des Alterthums“.

nastym roku swego życia przybywa z ojcem do Paryża, uczy się najpierw u rzeźbiarza Pajou, poczem przerzuca się do malarstwa, studyując z zapałem tę sztukę zrazu u Brenet'a, a następnie u Davida. Był uczniem Davida... Określenie to mówi w tym wypadku ogromnie wiele, bo silna indywidualność Davida wywarła na umysł, talent artystyczny i całą późniejszą nawet działalność Gérarda wpływ bardzo silny, i co podkreślić należy, dodatni. „Soyons vrais d'abord, nous serons beaux après“ — mawiał David i w myśl tej zasady sam tworzył i innych do przestrzegania jej zachęcał. Był bowiem David mimo wszystko, pomimo kompozycyi historycznych, tworzonych w duchu pseudoklasycznym, w sztuce swej realistą, a nawet naturalistą, zwłaszcza w portretach i kilku scenach zaczerpniętych ze zdarzeń rewolucyi. Pod koniec swego życia zapatrzył się na rzeźbę klasyczną, na niej starał się wzorować i był przekonany, że szukając prawdy za pośrednictwem sztuki klasycznej znajdywał tę prawdę w istocie. Nie był jednak jeszcze takim wówczas, kiedy młody Gérard pobierał u niego naukę, bo wtedy życie, wrące wokoło, w którem sam jako gorący rewolucyonista gorliwy brał udział, było też podstawą jego sztuki, zrywającej o ile możności wszelkie więzy dotychczasowej tradycyi.

Gérard należał do najzdolniejszych uczniów Davida i cieszył się przyjaźnią i poparciem swego mistrza, aż do chwili, kiedy jako portrecista stał się groźnym antagonistą swego nauczyciela. Już w r. 1789 otrzymuje Gérard drugą nagrodę Akademii Rzymskiej za swoje prace; w Rzymie jednak zabawić mógł tylko dwa lata, poczem musiał wracać do Paryża, gdyż wpisanoby go na listę emigrantów. Powrócił więc, nie przyjął miejsca przysięgłego w trybunale rewolucyjnym, które wyrobił mu David, gdyż od całej polityki stronił całkowicie i poświęcił się pracy. Jego „Belizaryusz“ to jedyny obraz malowany w duchu rewolucyjnym; miał jeszcze zamiar malować detronizacyę Bourbonów, lecz pomysłu tego nie uskutecznił. Gérard nie miał być malarzem rewolucyi; w r. 1798 wystawia obraz p. t. „Psyché recevant le premier baiser de l'Amour“, obraz, który pomimo swej nieaktualności w Paryżu bardzo się podobał. Wcześniej jeszcze, swym portretem pani Brongniart odniósł sukces zupełny i zyskał rozgłos utalentowanego portrecisty.

W niewielkich odstępach czasu maluje szereg kompozycyi, jak „Les quatre ages“, „Bitwa pod Austerlitz“, a później dwa głośne obrazy „L'entrée d'Henri IV. à Paris“, za który otrzymał tytuł „premier peintre du roi“ i „Le sacre de Charles X.“ Podczas gdy jednak „Wjazdem Henryka IV.“ osiągnął tryumf zupełny, drugi jego obraz „Koronacya Karola X“ ogólnie się niepodobał, a wyrazem tego nie-

zadowolenia była osobna broszura, która się ukazała w Paryżu p. t. „Le peuple au Sacre, critique de tableau de Mr. Gérard par A. Jall.“ Zarzucano mu tam, że w większych swych kompozycyach był dotąd zawsze zimny, suchy i sztywny, a teraz, kiedy daremnie usiłował ożywić swój koloryt, jest jeszcze gorszy, aniżeli przedtem. Ta ostra, za surowa może nawet, krytyka, musiała niezawodnie bardzo boleć Gérarda. Te 80.000 jednak franków, które za obraz ten otrzymał, były mu ulgą niemałą w tem zmartwieniu i najlepszem pocieszeniem.

W ogólności Gérard nie miał nigdy powodu skarżyć się na brak powodzenia. „Nul n'a été plus adroit courtisan de la fortune que Gérard“, zauważa jeden z historyków sztuki [1]). Pod względem finansowym stał bardzo dobrze, a ponieważ był człowiekiem wysoko wykształconym i w obejściu nadzwyczaj miłym, pożądano go bardzo w wyższem towarzystwie, zwłaszcza od czasu, gdy i ze strony oficyalnej posypały się odznaczenia w postaci krzyża legii honorowej i baronostwa, które mu nadał Ludwik XVIII. Salon jego, w którym się zbierały na pięknych przyjęciach najwybitniejsze osobistości ówczesnego Paryża, należał do pierwszych i najchętniej odwiedzanych.

Dziś, w siedmdziesiąt kilka lat po śmierci Gérarda († 1837), owe wielkie kompozycye, które mu taką sławę i rozgłos przyniosły, najmniej do nas przemawiają. Jeśli i teraz jeszcze talent Gérarda w podziw nas wprawia, jeśli on sam bezpośrednio do nas z płócien swych przemawia, to przyczyną tego są nie owe wielkie „machines“, lecz niezwykłej piękności jego portrety, zwłaszcza kobiece, których wymalował ilość ogromną. Gérard był głównym, najbardziej wziętym portrecistą epoki Empire'u; to też przez jego atelier przesunęły się nieledwie wszystkie wybitne osobistości owych czasów, od Napoleona i jego rodziny począwszy. Na oeuvre Gérarda w dziedzinie malarstwa portretowego składa się niewiele mniej, jak sto portretów en pied i ponad dwieście popiersi lub wizerunków do połowy postaci. Ta świetna i tak bujna na tem polu działalność Gérarda zjednała mu u ludzi współczesnych zaszczytny przydomek „le peintre des rois et le roi des peintres“. Sam Gérard zdawał sobie dobrze sprawę z tego, jak ważną jest jego działalność jako portrecisty, przechowywał skrzętnie szkice do wszystkich portretów, jakie kiedykolwiek malował, notował sobie czasem rysy twarzy i tych osób, które nie siedziały mu do portretu, a w r. 1826 zaczął wydawać na podstawie tych szkiców i no-

---

[1]) La Peinture Romantique — Essai sur l'Évolution de la peinture française de 1815 à 1830 par Léon Rosenthal. Paris, L. Henry May, 1900, str. 263.

tatek zbiór wizerunków p. t. „Collection des portraits historiques de Mr. Le Baron Gérard, premier peintre du Roi, gravées à l'eau-forte par M. Pierre Adam, précedée d'une notice sur le portrait historique".

Dopiero na podstawie i tej strony jego artystycznej działalności, można sobie wyrobić sąd o tym artyście i słusznie go ocenić, scharakteryzować jego twórczość. Bo Gérard, jako twórca „Belizaryusza", wspomnianych wyżej wielkich kompozycyi i innych tego rodzaju obrazów, jak n. p. „Louis XIV. déclarant sont petit-fils roi d'Espagne" lub „Louis-Philippe acceptant la lieutenance générale du royaume", byłby tylko utalentowanym, choć nieco nudnym, naśladowcą Davida i niczem więcej. W malarstwie portretowem jest Gérard sobą, uczniem zaś Davida tylko o tyle, że przestrzega jego zasady szukania prawdy, na swój odrębny jednakże sposób.

Odrębne charaktery indywidualności tych obu malarzy, Davida i Gérarda, ujawniają się najlepiej przy zestawieniu znanych powszechnie ich portretów pięknej pani Récamier, przechowanych w Galeryi Luwru.

David dał na martwem tle postać półleżącej, wspartej na wezgłowiu, wysmukłej, o szlachetnych liniach ciała, boginki, a obok niej ustawił wysoki archaiczny kandelaber ze starożytną lampką oliwną. Zresztą pusto i zimno wokoło tej postaci. Całość bardzo stylowa, ale bardzo chłodna zarazem.

Gérard natomiast dał rzeczywisty, pełen naturalnego wdzięku, portret pięknej i nie tak znowu poważnej Julietty. Ciało jej z lekka tylko osłonięte, biust nieco obnażony, postać cała swobodnie i niedbale nieco spoczywająca na wygodnym miękkim fotelu. Tło piękne i urozmaicone konwencyonalną trochę kolumnadą, odpowiednią zasłoną, widokiem na sylwety drzew i wysokiej jakiejś budowli. Doprawdy, przyznać należy słuszność uroczej pani Récamier, kiedy niezadowolona z portretu Davida, Gérardowi właśnie oddała z uznaniem pierwszeństwo.

Gérard miał specyalny dar łączenia sprzeczności, wyrównywania szorstkości i zaokrąglania wszystkiego w piękną wdzięczną całość, tak, że sztuka jego podbijała sobie serca wszystkich. Pięknie charakteryzuje całą twórczość tego artysty Léonce Bénédite, konserwator Muzeum Narodowego w Luksemburgu, kiedy mówi o nim[1]: „...savant sans pédantisme, élégant sans affectation, séduisant, fécond, souple,

---

[1]) Léonce Bénédite: Histoire des Beaux-Arts, 1800—1900. Peinture, Sculpture, Architecture, Médaille et Glyptique, Gravure, Arts Décoratifs en France et à l'Etranger (Paris, E. Flammarion) str. 26 i n.

cultivé et mesuré, habile aux compromis distingués, annonce déja tous les Delaroche et tous les Cabanel; type parfait d'école, il réunit sans excès les tendances les plus contraires et sait s'assimiler evec prudence et avec goût jusqu'au plus compromettantes nouveautés".

*

Zdarzyło się też Gérardowi w ciągu długiego jego żywota portretować kilka pięknych Polek. Jeden z tych portretów malowany w najlepszym okresie artystycznego rozwoju Gérarda, kiedy nietylko sława jego ale i zdolność i sprawność malarska znajdowały się u zenitu, zdobi galeryę obrazów w Muzeum im. X. X. Lubomirskich we Lwowie. Jest to naturalnej wielkości, olejny portret Katarzyny z hr. Jaworskich hr. Starzeńskiej, secundo voto Pawlikowskiej, ofiarowany do zbiorów muzealnych przez rodzinę hr. Starzeńskich [1]).

Ten kobiecy wizerunek z pierwszych lat XIX. wieku, to obraz cenny niezwykle także jako wierny dokument epoki. Tak, jak Starzeńska na tym portrecie, wyglądały mniej więcej wszystkie wytworne i piękne damy tego czasu, takie same lubiały przybierać pozy i podobnie się stroiły. Przedewszystkiem tak się ubierały i to tylko między r. 1800 a 1805... Mody bowiem, zwłaszcza stroju kobiecego, przechodziły podówczas szybkie, ustawiczne, a gwałtowne zmiany [2]). Rewolucya, która zmieniła wszystko do gruntu, zmieniła też w zupełności i stroje głównie kobiece.

Zmieniła się forma, zmieniła się też, a raczej zanikła barwa świetnych dawniej sukien damskich. Kolor czarny, przyswojony przez demokracyę, zyskał sobie wtedy prawo obywatelstwa i trwa aż po dziś dzień, tak, że niestety nieda się już chyba nigdy wyrugować. Pod wpływem rewolucyi rwano wszelkie więzy, a więc nie tylko te, które uciskały duszę, ale i takie, które ciało krępowały. Gorsety uciskające pas i biodra, zarzuca się zupełnie, podobnie jak wszystkie korki u bucików, utrudniające chodzenie. Strój ma być możliwie prosty, naturalny, a wobec panującego powszechnie ducha pseudoklasycyzmu najlepiej na starożytnych szatach wzorowany. Równocześnie nadchodzą mody z Londynu i urabiają smak nowy. Talia staje się krótką, biust podwiązuje się wysoko przepaską, tak, że piersi zostają tem silniej uwydatnione. Zresztą suknia i talia są z jednego kawałka; suknia

---

[1]) Portret jest oznaczony z prawej strony obrazu, na kamieniu. *F. G.*

[2]) Cfr. Die Mode. Menschen und Moden im neunzehnten Jahrhundert nach Bildern und Kupfern der Zeit, ausgewählt von Dr. Oskar Fischel, Text von Max von Boehn. 1790—1817. (München, F. Bruckmann A.-G. 1908).

okrągła, niezbyt szeroka, bez trenu, rękawy długie, zakrywające ramiona aż po dłonie, kołnierz koronkowy, biały, a tak plecy, jak i biust zupełnie prawie zakryte.

Forma więc odzieży rzeczywiście prosta, o liniach skromnych, wyraźnie wzorowana na antykach, na których wzorowano też sposób uczesania głowy. Dawne wysokie, aż do niemożliwości wysokie fryzury znikły całkowicie i już nie deformują ani nie kryją kształtów głowy; peruki stają się, przynajmniej na czas pewien, zbyteczne, bo włosy zaczesuje się gładko i płasko na głowie, a zostawia się tylko parę kręconych loków, błąkających się z urokiem na czole. Takie uczesanie włosów widziano na bronzach i marmurach starożytnych, takie więc starano się naśladować.

Stroju dopełniała jeszcze rzecz jedna, londyńska specyalność, t. j. miękki i cienki szal wełniany, t. zw. cashmereshawl, który o tyle więcej był poszukiwany i przepłacany, że jako towar angielski, zakazany przez Napoleona, z trudem tylko wielkim mógł być sprowadzanym do Francyi. Noszenie takiego szalu, drapowanie się nim, stanowiło osobną sztukę, podobnie jak dziś n. p. trzymanie fałdów z lekka uniesionej sukni.

Biżuteryi nie noszono zbyt wiele; modne natomiast były bardzo antyczne, lub na antyczny wyrabiane sposób, kamee, zawieszone na złotych łańcuszkach.

Stosownie do wymagań tej mody ubrana jest hr. Starzeńska, dla temperamentu swego „Hajduczkiem“ przez współczesnych zwana, na portrecie Gérarda. Smukła jej kibić tem smuklejszą się wydaje w czarnej aksamitnej dosyć wązkiej sukni, od której jaskrawo się odcina niedbale, a wdzięcznie na kamieniu porzucony szal miękki, czerwony, z delikatnym ornamentem i drobnemi frendzelkami na brzeżku, porzucony niby mimowolnie i przypadkowo, jak i ów piękny kapelusz z białej wiązany słomki, z przyszytą do niego atłasową wstążeczką, u nóg leżący. Kształtna głowa wychyla się lekkiem poruszeniem szyi z ładnego, koronkami zdobnego kołnierza, jakgdyby z kwiecianego kielicha. Siedząc na kamieniach zieloną murawą pokrytych, wsłuchuje się w szmer biegnącego u stóp jej strumyka, odłożyła na bok gitarę i wsparła na niej białą dłoń. Siedzi tak zadumana, rozmarzona może trochę zasłyszanemi już gdzieś pieśniami Osyana, siedzi na tle zachmurzonego nieba, drzew i ruin jakiegoś zamku, słowem na tle pejsażu, który już wyraźnie świeży powiew romantyzmu zwiastuje. Na ładnej młodziutkiej jej twarzy maluje się lekki sentyment, który i ustom pewnego nieokreślonego wyrazu nadaje i z czarnych, lekko powiekami przysło-

niętych oczu smutno trochę wyziera. I dziwnie spokojnie i cicho zachowuje się ów „Hajduczek“ wśród romantycznego otoczenia, i dziwnie jest słodki i niewinny.

Szczęśliwym trafem zachował się do tej pory szkic olejny Gérarda do tego portretu; znajduje się on wraz z ośmdziesięcioma trzema innemi w Muzeum Versalskiem pod Paryżem [1]). Konserwator tego Muzeum, p. André Pératé opisał niedawno ów niezwykle cenny zbiór szkiców Gérarda w pięknym, bogato illustrowanym artykule [2]), gdzie opisuje także szkic z r. 1803 do portretu hr. Starzeńskiej, a myli się tylko, kiedy podaje, że oryginał znajduje się u hr. Tarnowskich („en Galicie, chez le comte Tarnowski“), gdyż w posiadaniu hr. Zdzisławowej Tarnowskiej, w Górze Ropczyckiej pod Sędziszowem, znajduje się tylko dobra kopia z tego portretu [3]).

Dzięki niezwykłej uprzejmości p. Pératé'go, który nadesłał mi łaskawie umyślnie w tym celu sporządzoną fotografię ze szkicu wraz z dokładnem objaśnieniem (w liście z dnia 25. lutego b. r.) mogę podać w reprodukcyi ten ciekawy szkic, dotąd nigdzie nie publikowany i zestawić go z portretem, wykonanym przez Gérarda na podstawie tego szybko z modelu zdjętego szkicu. „Ce petit portrait de la Comtesse Starzeńska“ — pisze w wyżej cytowanym liście p. A. Pératé — est une chose charmante; très rapidement et librement peint, dans les tons mêmes du grand portrait. Il mesure: H. O,[m] 32, L. O,[m] 20. Il est peint à l'huile sur une toile à grain assez fort, comme on peut d'ailleurs s'en rendre compte par la photographie“.

Zestawienie szkicu z portretem daje ciekawe bardzo wyniki; na pierwszy rzut oka zachodzi pomiędzy nimi prawie identyczność. Dopiero po uważniejszem przypatrzeniu się można spostrzedz zachodzące różnice. Przedewszystkiem w twarzy: na szkicu ujawnia się wyraźnie ów charakter bezpośredniości w utrwaleniu rysów pięknej modelki na płótnie, jakiego brak na samym portrecie. Twarz na szkicu jest więcej owalna, kąciki ust mniejsze, mniej też owej sentymentalnej słodyczy, jaką z twarzy na portrecie czytamy. Niewątpliwie też twarz portretowanej więcej jest zbliżona do rzeczywistości w owym szkicu, aniżeli

---

[1]) Wiadomość tę zawdzięczam Prof. Jerzemu hr. Mycielskiemu..

[2]) André Pératé: Les esquisses de Gérard (L'Art et les Artistes, Revue d'art ancien et moderne des deux mondes, Paris, 1909, Octobre, no. 55, p. 9—13) — z szesnastoma reprodukcyami w tekście.

[3]) Oprócz tego szkicu do portretu hr. Starzeńskiej, są tam jeszcze dwa szkice, a mianowicie; do portretu hr. Zamojskiej z dziećmi (z r 1805) i hr. Walewskiej (z r. 1812). Wiadomości o tym ostatnim udzielił mi p. Dr. Zygmunt Batowski.

na portrecie, rozmyślnie wygładzonym, eleganckim, opracowanym sumiennie nawet w niektórych podrzędniejszych szczegółach.

Na portrecie ma hr. Starzeńska grecką kameę, w złoto oprawną i na złotym zawieszoną łańcuszku, czego jeszcze nie było na drobnym szkicu, ma też kołnierz koronkowy związany pod szyją białą wstążką z frendzelkami, który to szczegół na szkicu również został pominięty. Że w ogólności portret jest dokładniej i lepiej wykończony, rozumie się samo przez się. Widać to zwłaszcza na dłoniach, które wraz z palcami daleko lepiej i piękniej są wymodelowane, mianowicie dłoń lewa. Starał się też Gérard na portrecie swobodniej jeszcze ustawić obie założone na siebie stopy, odziane w zgrabne wązkie pantofelki i ażurowe pończoszki, które jednak namalowane są dość słabo.

Pod względem kolorystycznym portret Gérarda nie jest zbyt skomplikowany. Na tle zieleni, szarych chmur i skąpego lazuru nieba surowym kontrastem odcina się czarna suknia i szal cynobrowo-czerwony. Pejzaż za tło do portretu służący, który w czasach porewolucyjnych Gérard właśnie pierwszy napowrót do malarstwa francuzkiego wprowadził, nie odznacza się również wielkiemi zaletami, ale też artysta nie miał w tym kierunku daleko idącej ambicyi.

Wytworny ten, wdzięczny i piękny portret, dzieło wybitnego francuzkiego malarza, u którego i jeden z lepszych polskich artystów Antoni Brodowski (około r. 1809), się kształcił, należy w bogatej kollekcyi portretów Muzeum im. X. X. Lubomirskich we Lwowie do utworów najcenniejszych, jest też jednem z tych dzieł pędzla, które zająć i zatrzymać przed sobą na dłuższą chwilę potrafią nie tylko krytycznie, a chłodno usposobionego historyka sztuki, ale każdego estetycznie wyszkolonego widza.

MIECZYSŁAW TRETER.

Z powodu sprzedaży „Lisowczyka“.

Arcydzieła sztuki, jak wszelkie objawy geniuszu ludzkiego nie mogą być tajoną własnością jednostki; z czasem mimo wszystko przechodzą one na własność zbiorową.

Jestto już nieuchronnym losem zbieracza, że z chwilą gdy zbiory jego dojdą do pewnej wyżyny, społeczeństwo zaczyna niepostrzeżenie przystępować do nich w roli idealnego współwłaściciela. Musi się też ów posiadacz godzić z tem wspólnictwem zwłaszcza z chwilą, gdy mu miłość własna, jeżeli nie wyższa pobudka, każe otworzyć drzwi zbiorów tym, którzy je pragną poznać, znawcom, miłośnikom i naukowym badaczom. Ale nawet gdyby zrazu nie chciał ich okazywać oczom obcym, zdarza się, że rozstając się z ukrywanemi skarbami pod koniec życia nie znajduje lepszej rady niż darować społeczeństwu, spadkobiercy najpewniejszemu, włożony w swe dzieło kapitał wielki i niemały czasem trud życia. Niejednokrotnie znów wartość zbiorów będąc zbyt wysoka nie da się nawet spieniężyć bez straty i, rzecz szczególna, wtedy tem pewniej powiększa majątek publiczny. Więc też o znakomitych zbiorach prywatnych mówi społeczeństwo jako o własności kraju, chlubi się niemi jakby własnemi i troszczy o ich losy, stara się za pośrednictwem oficyalnem zabezpieczyć całość ich przeciwko ubytkowi (lex Pacca we Włoszech).

Z tego punktu widzenia jest przejście w ręce obce obrazu Rembrandta ze zbiorów dzikowskich hr. Zdzisława Tarnowskiego, o której wiadomość za obcemi rozgłosiły pisma nasze z początkiem maja b. r., faktem ogólniejszego znaczenia i nie może pozostać obojętnem dla szerszych kół. Nie wchodząc w motywy, które w pewnym wypadku mogłyby u kogoś przeważyć na rzecz wyzbycia się dzieła, chcę wyrazić zapatrywanie, jakie powinien podzielać historyk sztuki. Jeżeli bowiem jedni z wyrozumieniem wobec oferty nadzwyczaj korzystnej i pozo-

stającego z tem w związku zakupna dóbr nazwą ową sprzedaż „zamianą Rembrandta na ziemię“, drugim może się to wydać słusznie uszczerbkiem kulturalnego bogactwa kraju, uszczerbkiem nie dającym się na nowo wypełnić, bo kupić czy wykupić gdzieś Rembrandta na Zachodzie ani nie będzie mogło żadne nasze muzeum, ani nie łatwo znajdzie na to środki prywatna osoba. Jeżeli się doda, że dzieło przez 120 lat było w rękach polskich, można je nawet śmiało zaliczać do zabytków przeszłości na naszej ziemi i z tego także stanowiska ubolewać nad uszczupleniem jej pamiątek.

Jak bardzo powyższe słowa wydają się uzasadnione względem stosunków w Polsce tak niebogatej dzisiaj w dzieła wielkiej sztuki i względem sprzedaży za granicę „Lisowczyka“, o którym można było marzyć, że kiedyś jako depozyt (nie koniecznie dar) rodziny Tarnowskich ozdobi ściany Muzeum Narodowego w Królewskim Zamku na Wawelu, składając przed zwiedzającym cudzoziemcem świadectwo o kulturze narodu i jednego z rodów znaczących w historyi i życiu umysłowem — niech daje pojęcie kilka zebranych faktów z dziedziny badań nad tem dziełem, które w literaturze naukowej już od dawna zapewniły obrazowi z Dzikowa poczestne miejsce wśród dzieł Rembrandta i które zawodowym badaczom nie są zupełnie obce, z wyjątkiem może szczegółów muzeograficznych, które w tym celu wypada wysunąć na plan pierwszy.

W inwentarzu galeryi Dzikowskiej, założonej przez pradziada obecnego właściciela, kasztelana Jana Feliksa Tarnowskiego i prababkę Waleryę ze Stroynowskich, uzdolnioną malarkę-miniaturzystkę, zapisany jest obraz następująco:

> „Lisowczyk na koniu prez Rembrandta obraz duży na płutnie w ramie złotey nabyty przez Ogińskiego i w Amszterdamie dla króla Stanisława Augusta, a w Łazienkach nabyty przez Hrabię Stroynowskiego, Biskupa Wileńskiego — za # 500“.

Był więc pierwotnie w galeryi Stanisława Augusta, wszedłszy w jej skład gdzieś między r. 1790 a 1793, gdyż w tym czasie Michał Kleofas Ogiński, bardziej znany muzyk-kompozytor niż polityk, posłował z uchwały Sejmu 4-letniego do Holandyi i Anglii. Tak należy wnioskować z przytoczonej zapiski, nie sięgającej wprawdzie swem pochodzeniem wstecz poza r. 1844, w którym inwentarz zbiorów Dzikowskich sporządzono, ale której wiarygodność się sprawdza na czem innem, bo w rzeczy samej odnajdujemy obraz w katalogu królewskiej galeryi pochodzącym z r. 1793 (rękopis w Bibliotece w Suchej), zapisany tamże pod numerem 1734 jako *„Rembrandt Cosaque à cheval“*

haut, 44, larg, 54 pouces — odpowiada to podawanym wymiarom w dzisiejszym systemie: 1·15×1·335 m — z ceną, jaką widocznie kosztował: 180 dukatów.

Określenie czasu pojawienia się obrazu w Polsce może wskazać komuś źródło jego nabycia w jakim katalogu zbiorów Amsterdamskich, współcześnie rozsprzedawanych, katalogi licytacyjne drukowane pojawiają się już bowiem w XVIII. wieku, przynajmniej we Francyi.

W biskupie Hieronimie Stroynowskim, światłym i zasłużonym rektorze Uniwersytetu Wileńskiego obraz znalazł nabywcę, zapewne zaraz w r. 1795, gdy zdetronizowany król pozbywał się swych zbiorów, z rąk jego przeszedł na brata, a od niego na bratankę biskupa Waleryę, właśnie ową wyżej wspomnianą żonę Jana Feliksa Tarnowskiego i w ten sposób przekazany rodzinie Tarnowskich znalazł umieszczenie wśród cennych jej zbiorów, budząc zazdrość zagranicy, upowszechniając nazwę Dzików we wszystkich nowszych pracach o mistrzu holenderskiem.

W świecie naukowym dobrze znany od czasu wystawienia w Amsterdamie w r. 1898 na Wystawie Rembrandtowskiej, na której wzbudził ogólny podziw, uznany za „jeden z najbardziej uwagi godnych obrazów ręki Rembrandta" (Bode) posiada obraz oprócz wybitnych cech trzeciej, ostatniej epoki mistrza, — w której w szczególności wyznacza mu się chronologiczne miejsce między rokiem 1655 a 1659 — jeszcze początek obciętego podpisu artysty: *Rembr... pinx...* (po prawej stronie na kamieniu).

Autentyczność Rembrandta zakwestyonował tylko Wurzbach, przypisując dzieło Aertowi de Gelder (1645—1727), jednemu z najpóźniejszych uczniów Rembrandta.

To jedno będzie mąciło satysfakcyę szczęśliwego nabywcy.

Wartość dzieła tego polega na tem, że jest ono tematowo odmienne od innych utworów Rembrandta, ma zaś równocześnie wszystkie cechy kompozycyi jego dojrzałych lat, cechy jego pendzla w szerokiem traktowaniu i palety w skali barw. Jeździec ten odcinający się na tle fantastycznego krajobrazu o głębokim tonie uderza junackim gestem i malowniczym charakterystycznym ubiorem, Interes dla obrazu podwyższa obecność konia w kompozycyi, który należy do rzadkich wyjątków w twórczości mistrza. W tym wypadku koń ten wskutek uderzających niezwykłością kształtów (jak szczupłość zadu), przy szczególnie prawdziwie oddanej, szlachetnej głowie, mógłby się zdawać zagadkowym płodem wyobraźni mistrza realizmu.

Monograficznem zbadaniem dzieła zajął się był u nas prof. J. Bołoz

Antoniewicz, przedstawiając przed 6 laty w obszernym referacie na posiedzeniu Lwowskiego grona Komisyi historyi sztuki Akademii Umiejętności ważne spostrzeżenia krytyczne [1]) — do których później prof. J. hr. Mycielski dołączył interesujące informacye, między innemi o szkicu rysunkowym do krajobrazu (w król. Gabinecie rycin w Berlinie [2]). Zaprzeczając, jakoby obraz przedstawiał kozaka-Lisowczyka z czasów Zygmunta III-go, a wykazując natomiast, że w dziele tem dał Rembrandt portret jakiegoś młodzieńca z kół sobie blizkich, może nawet swego syna Tytusa w ubiorze polskiego jeźdźca, związał prof. Antoniewicz powstanie tego kostyumowego portretu z sztychami i rysunkami współczesnego Stefana Della Belli (1610—1664), jako wzorami dla ubioru młodzieńca i oryginalnych kształtów konia, gdyż Rembrandt nigdy nie widział żadnego żołnierza z zaciągu Lisowskiego i nie mógł widzieć. „Lisowczykiem" ochrzczono obraz w Polsce, nazwy tej użył drukiem pierwszy Kajetan Koźmian w 1842 r., a za nim zaraz wprowadził ją do literatury historyk Maurycy hr. Dzieduszycki. Będzie ona i nadal długo jeszcze trudną do wyrugowania pozostając po zmianie właściciela i miejsca jedyną pamiątką czasowego polskiego posiadania.

*

Gdy los przeznaczył już „Lisowczykowi" zawisnąć w najbliższej przyszłości w galeryi H. C. Fricka w Nowym Jorku, obok dwóch innych dzieł portretowych Rembrandta, które ten amerykański milioner (największy w świecie producent koksu) i ambitny zbieracz dzieł sztuki posiada, nie od rzeczy będzie dać krótki przegląd obrazów Rembrandta, znajdujących się w polskich rękach obecnie, lub takich, które do ostatnich lat jeszcze do nas należały. Taka konskrypcya najlepszych obrazów muzealnych, które mamy, choć przeprowadzona w ograniczeniu do jednego nazwiska artystycznego, wyprowadza nas z przesady ogólników, jak również z niedostatecznego oceniania bogactwa dzieł sztuki w naszych zbiorach, daje pojęcie w jakim stosunku stoimy do Europy na tem polu i nasuwa mimowoli porównanie stanu dzisiejszego z przeszłością.

Zacząć wypada przedewszystkiem od Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, gdzie Rembrandt jest reprezentowany charakterystycznym, fantazyjnym krajobrazem, pełnym dramatycznej siły i mocnego

---

[1]) Sprawozdania Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce, T. VIII. str. CCCLIX i następne. Posiedzenie z d. 17/VI 1904.
[2]) Tamże, T. VIII. str. CCLXIII i następne.



efektu świetlnego. Jest to t. zw.: Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem. Widok o wieczornej porze, wśród burzy, z kilku drobniutkiemi figurami, któremi Rembrandt naznaczył opowieść ewangeliczną potęgując tym motywem przejmujący nastrój przyrody, a naodwrót scenie z przypowieści dając tajemnicze, podniosłe tło. Po „Lisowczyku" będzie to najrozgłośniejszy w Polsce obraz mistrza, tak jak dotychczas był najlepiej znany, przeszedł bowiem jeszcze w XVIII. wieku do przodków obecnego właściciela, będąc poprzednio, do r. 1779 w francuskim zbiorze Vassal de Saint Hubert, wisiał później w Domu Gotyckim w Puławach i od założenia Muzeum znajduje się w Krakowie, przeszedłszy znane losy zbiorów ks. Czartoryskich. Należy do nader cennych, a jako malowany krajobraz do rzadkich dzieł mistrza. Niewątpliwość jego co do autentyczności, wynikającą z wszystkich cech wewnętrznych, stwierdza dodatkowo podpis: *Rembrandt f. 1638.* Natomiast, co do drugiego obrazu galeryi Czartoryskich „Starca czytającego" nie przeważają zdania na rzecz autorstwa Rembrandta. Mniej znaczący ten obraz, zbliżony do „Pustelnika" z Luwru, odnosi jednak prof. M. Sokołowski i E. Schaeffer do wczesnej epoki Rembrandta. Jest on również puławski.

Utwór wczesnej młodości, portret własny artysty, tak zw.: Rembrandt z otwartemi ustami, znaczony monogramem splecionym *RH* i datą *1628,* znajduje się w posiadaniu ks. Andrzeja Lubomirskiego we Lwowie. Dzieło to, pamiętne z tamtegorocznej „Wystawy mistrzów dawnych" we Lwowie, gdzie ponownie podziwiało się śmiałe kontrasty magicznego światłocienia i subtelność techniki, nabył przed 60 z górą laty Adolf hr. Hussarzewski, pradziad ks. Andrzejowej Lubomirskiej. Zasługę wprowadzenia obrazu w świat naukowy ma Bredius, który we Lwowie przed kilkunastoma latmi stwierdził w nim dowodnie oryginał, poszukiwany przez badaczy Rembrandta na Zachodzie, portret ten bowiem był im znany jedynie z ryciny.

Z kolei należy wymienić obraz, będący jedną z głównych ozdób galeryi znakomitego miłośnika sztuki Edwarda hr. Raczyńskiego w Rogalinie (w W. Ks. Poznańskiem). Jak „Rembrandt z otwartemi ustami" jest jednym z najpierwszych utworów wielkiego Holendra, tak Popiersie Chrystusa z laską pielgrzymią w Rogalinie, dzieło o 30 lat przeszło dojrzalsze, należy do najpóźniej malowanych jego obrazów (podpis: *Rembrandt f. 1661*). Ale jest ono najmłodszym Rembrandtem w Polsce, jako nabyte już przez obecnego właściciela i — rzecz znamienna — jest nabytkiem z inwentarza Anglii, która

wspólnie z Ameryką zagarnęła i dzierży jakoby w wieczystem już posiadaniu przeszło trzecią część wszystkich obrazów Rembrandta. Obraz jest bardzo charakterystyczny przez dość znaczny w stosunku do późnej daty efekt światłocieniowy zamiast panującego w ostatniej epoce oświetlenia bardziej równomiernego i zastanawia przedewszystkiem idealizowanym typem postaci Chrystusa, o wyrazie, o rysach tak miękkich, że prawie niewieścich. Bredius zwraca uwagę na interesujący koloryt, znajdując w obrazie mniej już bogatą w farby paletę.

W polskich rękach, ale poza krajem istnieją jeszcze 3 Rembrandty niepośledniej wartości. Karol hr. Lanckoroński posiada w Wiedniu: Mężczyznę piszącego opartego o pult i Dziewczynę w szerokim bonecie patrzącą na wprost. Półpostacie, jednej wielkości, wyobrażają zdaje się ojca i córkę, sportretowanych równocześnie w r. 1641. jak świadczy tu i tam umieszczona sygnatura. Obydwa te dzieła przedstawiają dla polskiego widza jeszcze i tę wartość, że pochodzą z galeryi króla Stanisława Augusta i genealogia ich od r. 1770. do obecnych czasów jest dokładnie znana. Po królu był właścicielem ks. Józef Poniatowski, potem Kazimierz Rzewuski, pisarz polny koronny, a po zaborze członek Stanów galicyjskich z grona magnatów, potem Kazimierz Lanckoroński, urodzony z Rzewuskiej, córki Kazimierza, którego synem jest hr. Karol.

Pierwszorzędnego Rembrandta, „który czyniłby zaszczyt najsławniejszym galeryom“ — jak się wyraził dyrektor Muzeum Boijmansa w Rotterdamie F. Schmidt-Degener — Portret starszego brata artysty, Adryana, dzieło mające również pochodzić z galeryi Stanisława Augusta, posiada Feliks Mikołaj hr. Potocki w Paryżu. Będąc przez kilka lat zdeponowany w Luwrze w sali Rembrandtowskiej uderzał portret pomimo współzawodniczącego sąsiedztwa innych dzieł, mistrzowskim wyrazem i czarującą plastyką, czysto po malarsku oddaną. Nie zapomnianym wzrokiem smutku i niezadowolenia mierzy widza ta postać pochmurna, sterana ale dziarska o srebrnych z fantazyą podgarniętych włosach, postać jakoby hardego marzyciela, gdyż tak wypadł pod poetyckim pędzlem brata portret zwyczajnego sobie rzemieślnika lejdejskiego. Jestto rzecz zrozumiała, że wypożyczanie obrazu Luwrowi daje właścicielowi pełne zadowolenie za cenę czasowego rozstania się z dziełem i że z drugiej strony Francuzi odwzajemniają się uprzejmością za przydawanie największemu zbiorowi tak pociągającego okazu, lecz z o ile większą wdzięcznością i chlubą przyjęłoby depozyt taki każde muzeum w kraju! — lecz dowiadujemy się, że w ostatnich czasach obraz wrócił znowu do apartamentów hr. Potockiego.

Wymieniając rzeczy dochowane w polskiem posiadaniu, nie można przemilczeć dwóch cennych obrazów, które w ostatnich dziesiątkach lat wywędrowały od nas zagranicę, ale które dla tego nie powinny przestać nas obchodzić. Już mało komu jest wiadomem, bo tego rodzaju ślady rychło się zacierają, że Portret starej kobiety, domniemanej piastunki syna Rembrandta, dobrze znany z ilustrowanych wydawnictw, poświęconych Rembrandtowi, jako własność prof. G. Martiusa w Kiel — był poprzednio w rodzinie jenerała Ludwika Kickiego i przez pośrednictwo jego pierwszej żony Matuszewicówny nawiązywał pochodzenie swe ze zbiorów Czartoryskich w Puławach, a wedle tradycyi podobno i z galeryą Stanisława Augusta. Po śmierci jenerałowej Kickiej w r. 1888. odziedziczyła go drogą działów majątkowych pani Władysławowa Przybysławska i obraz przeszedł do Galicyi do Uniża, ale już w następnym roku niestety wykupił go antykwarz z Kolonii Steinmeyer, za 17.000 marek, by go za 30.000 marek odstąpić wnet obecnemu posiadaczowi.

Wreszcie druga strata: Portret kobiety w białym czepcu i z kryzą, który w swoim czasie wypłynął jako Rembrandt u Cypryana Lachnickiego w Warszawie, a pochodził z Nieświeża, nie dostał się do miejskiego Muzeum sztuk pięknych w Warszawie, które zapisem posiadło przed paru laty jego zbiory artystyczne, ale go Lachnicki sprzedał na parę miesięcy przed śmiercią († 27/12 1906) agentowi francuzkiemu handlującemu obrazami za 100.000 franków, a tenże w kilka tygodni potem odsprzedał nabytek za podwójną cenę do zbiorów jednego z rodziny Rothschildów.

Dzieło to, gdy było jeszcze u szambelana Lachnickiego, miało pendant w „Portrecie własnym Rembrandta", ten jednak nie tak już dobry obraz, mogący się w najlepszym razie okazać repliką portretu u lorda Leconfielda w Petworth, nie opuścił zbioru Lachnickiego i jest wcielony do Muzeum Warszawskiego, które się szczyci jeszcze jednem malowidłem, może i słusznie przypisywanem Rembrandtowi, „Portretem tak zw. jego siostry", podpisanym i datowanym [1]).

Oczywiście przytaczam tu tylko takie dzieła, które wytrzymały ogień poważniejszej krytyki, bądź to faktem przyjęcia ich na światowe wystawy Rembrandtowskie w r. 1898 i 1899 w Amsterdamie i Londynie, oraz na skromniejszą, mniej wymagającą w Lejdzie w r. 1906, bądźto i przedewszystkiem przychylnem wypowiedzeniem się o nich znawców

---

[1]) Biblioteka Warszawska 1910. T. II str. 564—5. P.(oznański Cz.) i T.(atarkiewicz Wł.) Uwagi o Muzeum Warszawskiem.

w specyalnej literaturze. Wszystkie te obrazy w liczbie dziewięciu (razem z „Lisowczykiem") są reprodukowane, opisane i opatrzone wiadomościami bibliograficznemi w pomnikowym katalogu obrazów Rembrandta, złożonym z 8 tomów f^{0}, wydanym w Paryżu u Sedelmeyera w 1897—1905 r. przez W. Bodego przy współudziale C. Hofstede'a de Groot.

Innych „Rembrandtów", znajdujących się u polskich zbieraczy i w polskich muzeach, któreby mogły o wiele powiększyć jeszcze liczbę tamtych, nie wymieniam; albo są one bardzo dalekie od pendzla wielkiego mistrza i roszczenia ich do jego autorstwa odpiera pierwszy rzut oka, albo wymagają jeszcze krytycznego zbadania. Jedne już zostały kompetentnie osądzone, jak n. p. licha „Głowa młodzieńca" Zdz. hr. Tarnowskiego w Dzikowie, lub podejrzana malowaniem „Głowa starca" Ksaw. hr. Branickiego w Warszawie, które z wystawy lejdejskiej powróciły bez potwierdzenia przywłaszczonego miana Rembrandtów — inne pozostają wątpliwe, jak obraz po pułkownikowej Czosnowskiej [1]) albo rewindykuje się je na korzyść innych Holendrów, lub zapomnianych Rembrandtystów XVIII. wieku. Jak wiele znanych obrazów mistrza, a nawet i tych parę, które zostały objęte ramami niniejszego artykułu, istnieje równocześnie w starych, łudzących, po świecie rozprószonych kopiach, tak i drugi egzemplarz obrazu sprzedanego przez Przybysławskich, sobowtór, pojawia się w Warszawie u Wiktora Floryanowicza, pretendując do uznania za oryginał [2]).

W liczbie niezbadanych, którym jednak studyum krytyczne tylko przysporzyć może wartości, pierwsze miejsce zajmuje jedno dzieło, które znajdując się od dziesiątek lat w wyjątkowych warunkach umieszczenia, wraz z całym świetnym zbiorem dzieł sztuki, do którego należy, nie było niemal dotychczas oglądane przez znawców i pozostało światu naukowemu — krajobraz z podpisem Rembrandta i datą. Na razie o niem tylko wspominam, jest bowiem moim zamiarem poświęcić mu osobną notatkę przy najbliższej sposobności.

Lwów, 1. czerwca 1910. *ZYGMUNT BATOWSKI.*

---

[1]) Lamus, T. II., str. 44 — 48

[2]) Świat, Warszawa 1907. Nr. 49.

Jeszcze „Leonardo da Vinci“ galeryi Czartoryskich.

Potrącając o artykuł hr. Leona Pinińskiego w czwartym zeszycie „Lamusa“ o portrecie kobiecym z łasicą w galeryi Czartoryskich, chciałbym zwrócić uwagę na pewien szczegół, mogący rzucić nowe światło na kwestyę modelu tego pięknego wizerunku.

We wspomnianej rozprawie przytoczone jest mniemanie kilku historyków sztuki, wypowiedziane i przez prof. Bołoza-Antoniewicza, że w płótnie Leonarda da Vinci u Czartoryskich mamy przed sobą podobiznę Cecylii Gallerani, damy dworu i kochanki księcia medyolańskiego Ludwika Sforzy. Hr. Piniński jednak nie bez słuszności zaznacza, iż hipotezę taką do pewnego stopnia obala obecność na portrecie łasicy-gronostaja, t. j. zwierzątka służącego zwykle jako symbol niepokalanej czystości dziewiczej. W istocie, w danym wypadku emblemat „castitas“, tak mało zresztą harmonizujący z wyrazem subtelnym, lecz bynajmniej nie cnotliwym niemłodej już twarzy, byłby konceptem niezbyt smacznym, na który z pewnością nie zgodziłaby się osoba portretowana. Ale zachodzi pytanie zasadnicze, czy tu wogóle łasica była użyta w tem symbolicznem jej znaczeniu? Pamiętać należy, że emblematy symboliczne ze świata zwierzęcego przeważnie były stosowane do obrazów treści religijnej jako określone atrybuty postaci świętych. Na wizerunkach tych ostatnich spotykamy je przeto bardzo często, w portretach zaś realnych rzadko je widujemy, a nawet trudno byłoby wskazać na dodatek tego rodzaju w którymś z portretów szkoły Leonarda, lub innych artystów włoskich jego epoki. Wątpliwem przeto jest, czy intrygująca nas łasica wogóle tu odgrywa rolę owego dogmatycznego symbolu, „castitas“. Cała kompozycya obrazu, ujętego w charakterze tak zwanego „portrait intime“, oraz pieszczotliwa pozycya łasicy zdaje się temu przeczyć. Mamy raczej wrażenie, że wytworna pani dla kontenansu, a może i dla uwydatnienia swej wielce wyrazistej dłoni przytula do siebie ulubione zwierzątko domowe. Co prawda, wybór niezbyt miłej łasicy jako przedmiot dla pieszczot kobiecych świadczyłby o niezwykłym bardzo guście, lecz fantazya ta osobliwa poniekąd objaśnić się daje.

Przed niedawnym czasem — jeśli mnie pamięć nie myli, w angielskiem

czasopiśmie „The Burlington Magazine" — ktoś wskazał, że łasica-gronostaj po grecku się γαλεή nazywa. Wiemy wszyscy, jak wielkiem było zamiłowanie do łaciny i greczyzny wśród kół humanistycznych epoki odrodzenia, a nawet wśród ówczesnych kobiet światowych. Wiemy również z historyi, że na tem tle powstał zwyczaj zaopatrzania nazwisk w końcówki łacińskie i greckie, lub też całkowitego ich tłómaczenia na języki starożytne. Być więc może, że Cecylia Gallerani umiłowała łasicę gwoli pokrewieństwu fonetycznemu z jej grecką nazwą i przy sobie trzymała. Bądź co bądź podobne przypuszczenie nie zupełnie jest pozbawione prawdopodobieństwa. Oczywiście, mogły tu wchodzić w grę jeszcze inne czynniki, n. p. aluzya do jakiegoś wspólnego rysu charakteru lub też zwyczajny pociąg kobiety do czegoś niezwykłego, ale owe dziwne podobieństwo nazwiska Gallerani z grecką nazwą zwierzęcia chyba nie prostym jest przypadkiem.

Co się zaś tyczy samego mistrza, to jako stały członek dworu medjolańskiego pewnie wiedział o fantazyi kochanki swego księcia i malując jej portret, uwiecznił zarazem jej łasicę. Zresztą szczegół tak oryginalny musiał przypaść do gustu wielkiemu artyście, czującemu zawsze pociąg do pomysłów niepowszednich, do rzeczy odrębnych. Mało się natomiast wydaje prawdopodobnem, by Leonardo w wizerunku kobiecym użył symbolu „castitas", najzupełniej nie licującego z owym wyrazem tajemniczego kuszenia, który stanowi oznakę charakterystyczną postaci niewieścich mistrza nawet w jego malowidłach religijnych.

Ostatecznie zatem jestem zdania, że łasica-gronostaj bynajmniej nie obala a raczej zdaje się potwierdzać hipotezę co do Cecylii Gallerani jako modelu obrazu Leonarda da Vinci w galeryi krakowskiej. Sam przez się szczegół ten, zapewne, nie posiadałby dostatecznej siły przekonywającej, lecz w połączeniu z innemi materyałami dowodowemi w danej kwestyi zyska na wartości i nabiera szczególnej wagi.

PAWEŁ ETTINGER.

Ad acta.

J. Gw. Pawlikowski, autor artykułu „O prochy Słowackiego“ zwrócił się do Redakcyi Lamusa z prośbą o przedrukowanie odpowiedzi St. Żeromskiego zamieszczonej w Nowej Reformie. Czynimy zadość temu życzeniu. (Vide Lamus Z. Vy str. 49 „O Prochy Słowackiego“).

Pisma codzienne przedrukowały artykuł p. Jana Gwalberta Pawlikowskiego w sprawie sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego do kraju, pomieszczony w kwartalniku lwowskim p. t. „Lamus“. Przeczytawszy w tej chwili dopiero ów artykuł, zmuszonym się czuję do zabrania głosu, ponieważ, wyznaczony przez grono inicyatorów projektu przeniesienia zwłok poety w Tatry do napisania odezwy, jestem autorem, jeśli nie samego projektu, to odezwy właśnie, podpisanej później przez 61 osób.

Zabieram głos bynajmniej nie na skutek brutalnego wezwania w zakończeniu artykułu p. J. G. Pawlikowskiego, lecz dlatego jedynie, ażeby zniewagi i drwiny, ośmieszające tę sprawę, nie obryzgały którejkolwiek z szanownych osób, podpisanych pod odezwą i nie przyczyniły którejkolwiek z nich moralnej krzywdy. Jako autor tej odezwy biorę na siebie wszelkie napaści, któremi jeszcze obrzucony być może pomysł sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego w Tatry. Przedewszystkiem muszę zastrzedz tutaj, że w niniejszem wyjaśnieniu nie podejmuję tonu, jakiego p. J. G. Pawlikowski użył dla sponiewierania inicyatywy może błędnej, ale powziętej w celu oddania czci naszemu poecie, podjętej w dobrej woli i przez uczciwych ludzi. Nie podejmuję zaś tego tonu przez szacunek dla samej sprawy i dla druku polskiego. Upraszam jednak sprawiedliwego czytelnika, ażeby raczył w słowach tutaj użytych dojrzeć opanowanie poczucia swej krzywdy, powściągliwość i rozwagę, jakie sobie nałożyłem.

P. J. G. Pawlikowski autora projektu i odezwy w sprawie przeniesienia zwłok Słowackiego w Tatry radzi nagrodzić wyliczeniem mu dwudziestu pięciu kijów w Barbakanie, tam właśnie, gdzie odezwa projektowała spokojny i dostojny akt czci dla poety. Szczodry magnat! Prawo bicia kijem na własnem podwórzu wydarte zostało z ręki przez obce prawo, ale pozostał przecie w duszy pierwszy odruch uczucia, pierwszy pęd myśli i pierwszy argument logiki: dwadzieścia pięć kijów! Nie można już bezkarnie bić

kijem... ale został w mózgu i sercu popęd do argumentowania starym argumentem, gdzie jeszcze można, przynajmniej względem „literata“ za podanie pomysłu, który nie przypadł do smaku. A smak i wola p. J. G. Pawlikowskiego decyduje o wszystkiem. Co do mnie, to nie dla zmiany tego smaku i woli, lecz dla wyłuszczenia istoty rzeczy w obliczu bezstronnego czytelnika muszę przypomnieć pochodzenie owego tatrzańskiego projektu.

Należałem był swego czasu do warszawskiego komitetu obchodu rocznicy Juliusza Słowackiego i solidaryzowałem się z grupą zwolenników uczczenia poety w jego roku jubileuszowym za pomocą postawienia w Warszawie monumentalnego teatru dla tragedyi i dramatu, wydania krytycznego, kompletnego, zupełnego i nie obliczonego na zyski zbioru dzieł wieszcza, a wreszcie sprowadzenia zwłok jego do Warszawy. Komitet warszawski został rozwiązany przez władzę i wszystkie jego funkcye upadły. Cały ideowy spadek po tym komitecie warszawskim objął wiec krakowski — i komitet na tym wiecu wybrany. Umieszczono moje nazwisko na liście jego członków, gdy byłem poza granicami kraju. Znalazłszy się, w przejeździe przez Kraków, na posiedzeniu, które się odbyło pod prezydencyą p. Marszałka kraju, wyłuszczyłem te zadania, jakie sobie komitet warszawski stawiał i prosiłem o ich zrealizowanie w miarę możności. Ale krakowski komitet obywatelski, jako wyraziciel wiecu, miał tylko jedną dyrektywę i tej pilnował: sprowadzenie zwłok J. Słowackiego w jego roku jubileuszowym na Wawel, ponieważ taka była jednomyślna uchwała wiecu. Stała się ona prawem obowiązującem wszystkich, które to prawo społeczność sama sobie narzuciła i bez protestu przyjęła. Dwukrotnie, wraz z innymi członkami tego komitetu, zwracałem się listownie do Prezydyum o wyjaśnienie sprawy, kiedy kardynał ks. Puzyna odmówił pozwolenia złożenia zwłok Słowackiego na Wawelu. Gdy zaś nadeszło wyjaśniające pismo p. Prezydenta miasta Krakowa o kategorycznej odmowie kardynała ks. Puzyny — powstała myśl złożenia zwłok poety w Tatrach. Wrogą i odrażającą była i jest dla wielu czcicieli Juliusza Słowackiego myśl o zużywaniu jego imienia i prochów do walki z klerem, a nieznośną była i jest myśl, że darowany mu grób odebrany został. Takie właśnie było uczucie grona pisarzy, przygodnie, dla studyów, zebranych w Paryżu. Nieliczne to grono postanowiło wydać odezwę z projektem złożenia zwłok poety w Tatrach, któryby strącił w tej sprawie wszelką walkę i oddał poecie to, co mu ofiarował wiec krakowski: sprowadzenie jego zwłok w roku jubileuszowym do kraju. Koło paryskie zleciło mi napisanie odezwy.

Odezwa ta, projektująca złożenie zwłok Juliusza Słowackiego w Kościelcu, gdy Wawel został dla nich zamknięty, najfatalniejszy wzięła obrót. Zamiast zjednoczyć opinię, co było jej zamierzeniem, zamiast spowodować zwołanie wiecu, czego się domagała, któryby swą uchwałą to zjednoczenie ujął w formułę praw — zamiast wymarzonego oddania poecie czci — wywołała rozdwojenie, pochwały i nagany, osobiste napaści, a wreszcie taki skutek, jak artykuł p. J. G. Pawlikowskiego. Pisząc ową odezwę, sądziłem, że proch Juliusza Słowackiego może się stać cementem zjednoczenia dusz polskich. Ta myśl była z gruntu fałszywa. Były to „frazesy“. Niestety, tak! Drwiny, wyzwiska, poniewieranie cudzej czci, jakie witają każdy zamysł powiększenia sumy piękna duchowego na tym padole pychy i nędzy

polskiej — to nie są frazesy. Istotą rzeczy polskiej jest nienawiść, a sprawa sprowadzenia zwłok Słowackiego stała się nie tylko nowym dowodem, ale nawet nową strawą dla tej nienawiści.

Dziwna wszakże rzecz, że odezwę tak „fatalną“ podpisali nieostatni w Polsce ludzie, nie sami „dekadenci“, „papierowe dusze“ i „literaci“. P. J. G. Pawlikowski pociesza się, czy martwi, że ci inni uczynili to „odruchowo, z nałogu i przez kwietyzm“. Tak nie jest. Wielu z podpisanych nadesłało umotywowany wyraz swej zgody na ten projekt. Nie mam tutaj w możności przytoczenia tych głosów, gdyż uważam każdy z tych listów za duchową własność jego autora, a na zebranie pozwolenia publikacyi niema czasu, lecz może się znajdą środki i pozwolą ogłosić broszurę w tej materyi. Znalazłyby się tam słowa wręcz przeciwne krzykom p. J. G. Pawlikowskiego, a pochodzące z pod pióra, które nawet on, nawet sam on może uznaje.

Powtarzam raz jeszcze, że owa „fatalna“ odezwa wzywała do zwołania wiecu, gdyż wiec jedynie mógł zatwierdzić projekt tatrzański, albo go zupełnie odrzucić, jako niewłaściwy, nieodpowiedni, czy niewykonalny. Wiec jedynie mógł utrzymać i nadal popierać myśl o Wawelu. Wiec wreszcie mógł uchwalić zaniechanie myśli o przenoszeniu zwłok poety z cmentarza na Montmartre do kraju. Ani jedna jednostka, nawet sam p. J. G. Pawlikowski, rozstrzygnąć tego nie będzie w stanie. Wiec krakowski uchwalił złożenie zwłok na Wawelu, lecz komitet, przez ten wiec wybrany, stwierdził, że J. Słowacki na Wawelu złożony być nie może. I nic już dalej. Nie wykonane i na drodze porzucone zostało to prawo, które sobie narzuciliśmy. Czy taki powinien być stan rzeczy?

P. J. G. Pawlikowski zwalcza projekt tatrzański zapomocą różnych argumentów, z któremi tutaj rozprawiać się nie będę, gdyż nie trzymane są w tonie umiarkowanym, lecz w tonie zniewag. Wypowiada swe gusta, zwalcza przywidzenia, o których w odezwie mowy nie było, cytuje zdania zakopiańskich górali, przekręca i wydrwiwa uczciwe intencye. Argumentów istotnych przeciwko temu projektowi nie podał. Ale ów projekt nie wymaga wcale obalenia. Nikt powołany nim się nie zajął, więc leży on na drodze polskiej. I oto wszystko.

Podnoszę jeden szczegół.

Przenoszono do kraju z odległych, dzikich pól i obczyzny zwłoki świętych, królów, bohaterów. Niesiono je, czy wieziono, przez setki mil, gdy nie było kolei żelaznych. Z cecorskiego pola przewieziony został krwawy trup Żółkiewskiego, z Lotaryngii przynieśli żołnierze zwłoki Stanisława Leszczyńskiego, ze szwajcarskiej Solury prochy Kościuszki, z nad brzegu Elstery — Poniatowskiego. Przynosili je na ramionach żołnierze i mężowie o duszy rycerskiej. O takich duszach myślałem, pisząc o „czcicielach poety ze wszelkich warstw społeczeństwa“.

Myśl o przeniesieniu zwłok J. Słowackiego z Krakowa w Tatry, na przestrzeni czternastu mil, p. J. G. Pawlikowski doprowadza do stanu okropnych wizyj. Jego „zmysł rzeczywistości“ — dośpiewał mu, że byłby to pochód z „noclegami po karczemnych zajazdach, z szubienicznym humorem znudzonych pątników... Danse macabre, czy kulig! Pogrzeb z kuligiem i figurami“.

To oczywiście nie jest dekadencya. Pan J. G. Pawlikowski mówi o „czynie“, wynosi się ponad padół „literatury“ z nie byle jaką pychą. Cóż tedy w tej sprawie przeniesienia zwłok J. Słowackiego orzekł, jak ją postawił? Po za sponiewieraniem przeciwnika — cóż pozytywnego doradził? W końcowem zdaniu swego artykułu nakazuje on pełne właśnie „czynu“, głębokiej myśli i dostojeństwa — czekanie. To wystarczy, ażeby opinia jego zwyciężyła na całej linii. Nie tylko przecie w tej sprawie czekanie jest naszą najdostojniejszą formą pracy i czynu.

W liście z dnia 5 lutego 1835 roku pisał do matki wielki poeta:

„A kiedy przyślą tutaj wygrzebywać popioły po zielonych cmentarzach, może także i mnie wezmą i zaniosą do mojej ziemi. O takim teraz marzę powrocie!“

Czy się też kiedy spełni to jego marzenie?

Paryż, dnia 12 maja 1910.

STEFAN ŻEROMSKI.

(Nowa Reforma Nr. 227).

Nowe książki.

NADESŁANE DO REDAKCYI.

Norwid Cypryan Kamil: Czarne i białe kwiaty (zebrał i przedmową opatrzył Edmund Zrębowicz, z portretem poety — nakład B. Połonieckiego, Lwów 1910). *Wybór prozy Norwida: Menego, Garstka piasku, Cywilizacya, Bransoletka, „Ad Leones", Tajemnica Lorda Singelwortha, Stygmat, Epilog z „Promethidiona", Memoryał o młodej emigracyi, Krytycy i Artyści, Czarne kwiaty, Białe kwiaty, Ostatnia z bajek, Milczenie. — Dodane „Posłowie" wierszem przez Romana Zrębowicza.*

„Symposion" wydawnictwo Księgarni Polskiej B. Połonieckiego, pod redakcyą Leopolda Staffa:
— Michał Montaigne: Wybór pism (przekład Stanisława Lacka).
— Vauvenargues: Uwagi i myśli (przekład Jana Kasprowicza, uzupełniony studyum Ellen Key.
— La Rochefoucauld: Zdania i uwagi moralne (przełożył Leopold Staff).
— J. W. Goethe: Wybór myśli prozą (zebrał i przełożył Stefan Frycz, z rozprawą R. W. Emersona).
— Diderot: Kuzynek mistrza Rameau (z rozprawą J. W. Goethego, przełożył Leopold Staff).
— Walter Pater: Wybór Pism (przełożył z angielskiego Stanisław Lack).
— Cztery głosy o poecie (zebrał i przełożył Jan Kasprowicz, Emerson, Spitteler, Hofmannsthal, Dehmel).
Niektórym tomom tego cennego zbioru poświęcimy obszerniejszą notatkę.

Remer Jerzy: Walgierz wdały (dramat w 5 aktach, osnuty na tle legendy. Wiek IX. Kraków 1910 nakł. autora, skł. gł. u Gebethnera i Sp.)

Gawiński Antoni: Józef Buchbinder, polski malarz religijny 1839—1909. (Na zasadzie źródeł biograficznych, zebranych przez Maryana Wawrzenieckiego, czł. kom. do badań nad historyą sztuki w Polsce przy Akad. Um. w Krakowie. — 42 jednobarwnych reprodukcyi oraz jedna kolorowa. — Warszawa, nakł. Stefan Dziewulski, 1910).

Bolesławicz: Intermedya ucieszne (Lwów nakł. Związku Teatrów Włościańskich 1910). *Autor, ukryta pod pseudonimem zasłużona jednostka, podał kilka krótkich i wesołych obrazków obyczajowych w formie skromnej, czyniąc rzecz bardzo pożyteczną dla godziwych rozrywek ludowych.*

„Książnica naukowa i artystyczna" (nakł. G. Gebethner i Sp. Kraków, Gebethner i Wolff Warszawa):
Prof. Harald Höffding: Współcześni filozofowie (przełożył z upoważnienia autora Bronisław Gałczyński).

Gabryella (Narcyza Żmichowska): Poganka.
Michał Sobeski: Przędziwo Arachny (z pogranicza sztuki i filozofii).
Miciński Tadeusz: Nietota, Księga tajemna Tatr (Warszawa Gebethner i Wolff, nakł. Kasy Przezorności i Pomocy Warsz. pomocników księgarskich). *Pomyślimy o ocenie twórczości Micińskiego.*
Kotarbiński Józef: Pogrobowiec Romantyzmu, rzecz o Stanisławie Wyspiańskim (Warszawa 1909, wydawnictwo Kasy Przezorności i Pomocy warsz. pomocników księgarskich). *Jedno z najpoważniejszych studyów jakie dotychczas o poecie mamy.*
Jaworski Roman: Historye Maniaków (Kraków Spółka nakładowa „Książka").
Sieroszewski Wacław: Z fali na falę (Spółka nakładowa „Książka", Kraków 1910. — Spis rzeczy: Japonia w zarysie, Harakiri księcia Asano Naganori, O-Sici, Pojednanie, Widmo sakurskie, Ingwa, Jak liść jesienny). *Nazwisko znakomitego autora, i tak dobrze znane mu i świetnie podawane tematy wschodnie starczą za wszelką reklamę.*
Znaniecki Floryan: Zagadnienie wartości w filozofii (wydawnictwo „Przeglądu filozoficznego" Warszawa 1910 skł. gł. E. Wende i Sp.)
Stefan Okulicz: Przed laty (wspomnienia) (Kraków skł. gł. w księgarni Spółki wydawn. pol. 1910).
Stefan Okulicz: Obrazki z 1863 r. (Kraków skł. gł. w księgarni Spółki wydawn. pol. 1910).
Treter Mieczysław: Wojciech Korneli Stattler, przyjaciel Słowackiego (z dwoma ilustracyami na osobnych tablicach, odbitka z księgi zbiorowej: Cieniom Juliusza Słowackiego — Lwów Gubrynowicz i Syn 1909).
Sandel Jakób: Słowacki do r. 1833 — (odbitka z księgi zbiorowej; Cieniom Juliusza Słowackiego — Lwów Gubrynowicz i Syn 1909).
Florian Parmentier: Par les Routes Humaines, poème (Société d'édition littéraire et artistique).
Auguste Bailly: Les Prédestinés, roman (Paris, B. Grasset 1910). *Rzecz wyższej miary artystycznej o temacie interesującym i dramatycznie związanym na tle głębokiego poczucia przyrody — ujęta w formę wysoce wyrobioną.*

*

Sfinks. Miesięcznik art. literacki i naukowy pod red. Wład. Bukowińskiego.
Przegląd Narodowy. Miesięcznik poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym i naukowym, społecznym, literackim i artystycznym; pod kierownictwem Zygmunta Balickiego. (Red. Jerzy Gościcki).
Przegląd polski. *Miesięcznik artyst. literacki i naukowy wychodzący w Krakowie pod red. prof. Jerzego hr. Mycielskiego.*
La Nouvelle Revue Française. Revue mensuelle de litérature et de critique. (Comité de direction J. Copeau, A. Ruyters, J. Schlumberger).
Eleusis (czasopismo Elsów rozpowszechniają Gebethner i Sp. w Krakowie).
Les Marches de l'Est (Alsace, Lorraine, Luxembourg, Ardennes, Pays Vallons — revue mensuelle, recueil de litérature, d'art et d'histoire) *ilustrowane bogato i wytwornie, kierunek tak rzadki na zachodzie: zdrowia i siły narodowej, dla nas tem cenniejsze, że każdy prawie zeszyt poświęca obszerne artykuły Polsce.*

Część druga — Wczoraj.

Fryderyk Chopin do Tytusa Woyciechowskiego.

Jednym z bardzo ważnych materyałów do biografii i do charakterystyki Chopina są jego listy pisane do przyjaciela z ławy szkolnej Tytusa Woyciechowskiego, który po ukończeniu studyów osiadł i gospodarował w rodzinnym majątku Poturzynie. Rękopisów użyczył łaskawie Lamusowi Pan J. T. Wydżga, wnuk ś. p. Woyciechowskiego, za co składamy mu gorące podziękowanie. Pierwszy z listów tych skorzystał w książce swej p. t. „Fryderyk Chopin: Życie — listy — dzieła" — Maurycy Karasowski 1882 r.; zasłużony jednak biograf uważał za stosowne (jak to zauważył już Hösick w dziele swem: Chopin — życie i twórczość 1904: przedmowa str. XVIII) podać teksty listów w skróceniu i zmianach odejmujących nietylko stylowy ich charakter, ale niejednokrotnie sens słów Chopina. Ogłoszenie zatem rzeczonych listów w tekscie oryginalnym jest pożądanym nabytkiem do materyałów nietylko o samym Chopinie, ale o ówczesnych warszawskich muzycznych stosunkach w ogólności, a daje przytem obraz tej naprzemiany zdrowej, szczerej, wesołej aż do rubaszności a sentymentalnej zarazem i melancholijnej chwilami natury młodego 20-letniego Chopina. — Wszystkie ustępy, które były już publikowane, podajemy drukiem mniejszym, nieogłaszane zaś dotychczas — większym dzieląc liniami pionowemi. — Pisownię oryginalną zachowujemy, ujednostajniając tylko — gdzieniegdzie.

H. O.

Z Warszawy dn. 9 Września 1828

Naydroższy Tytusie

Nieuwierzysz z jakiem upragnieniem oczekiwałem wiadomości o Tobie i o twoiey Mamie; możesz więc sobie wystawić jakie było moje ukontentowanie gdym list dostał. Byłem wówczas w Sannikach[1]) u Pruszaków. Całe tam lato spędziłem. — O zabawie tamteyszéy nic Ci nie piszę, byłeś i Ty w Sannikach. — Natychmiast odpisać Ci niemogłem z powodu codziennego wybierania do domu. Teraz zaś piszę ale jak jaki waryat, bo niewiem istotnie co się ze mną dzieie. Jadę dziś do Berlina. Na jedną operę Spontiniego —; iadę dyliżansem dla spróbowania sił. Powodem iednakże tego wszystkiego są małpy ze wszystkich gabinetów europejskich. Na wzór ziazdów w kantonach Szwaycaryi, a później w Münich,

[1]) U Karasowskiego „w Strzyżewie" (?)

król pruski dał moc swemu Uniwersytetowi zaproszenia znacznieyszych uczonych Europy na sesye badaczów natury, pod przewodnictwem owego sławnego Humboldta odbywać się maiące. Jarocki jako dawny uczeń Akad. berlińskiej, a późniey tamże doktoryzowany dostał iako zoolog podobne zaproszenie. 200 mieszkań w Berlinie zatrzymanych dla przybywaiących naturalistów, stół wspólny itd. podobne niemieckie rozrządzenia, iakoteż welinowy papier na zaproszeniu drukowanem zapowiadaią coś wielkiego a tem samem że i Spontini z Cortezem albo z Olimpią wystąpi. Jakkolwiekbądź przyiaciel i nauczyciel Jarockiego Lichtenstein a sekretarz owego zgromadzenia był ściśle przyiaźnią złączony z Weberem, iest członkiem Akademii spiewu i w dobrej harmonii (iak mi Ernemann wspominał) z Zelterem prezesem tego muzycznego zakładu. Mówili mi dobrze znaiący Berlin że znaiąc Lichtensteina poznam znacznieyszych muzyków Berlina, wyiąwszy Spontiniego z którym on podobno nie żyie. Radbym tam Radziwiłła poznańskiego zastać (o czem wątpi świat Boży) ten za panie brat z Spontinim. Dwa tygodnie tam tylko z Jarockim będę, ale dobrze i raz słyszeć wyborną operę; iuż można mieć wyobrażenie o wyższej exekucyi. Arnold, Mendelson i Hank fortepianiści tamteysi. Ostatni uczeń Hummla. Co zobaczę napiszę Ci za powrotem a teraz na twoie żądanie będę Ci nowiny warszawskie pisał. Imo pan Colli i pani Tusaint w Cyruliku występowali (przed parą tygodniami). Zdarzyło się żem przyiechał w ten czas do Warszawy z Sannik na parę dni z Kostusiem[1]. Nadzwyczay był ciekawy widzieć ów jeden Akt (bo tylko pierwszy grano) po włosku; przez cały dzień zacierałem ręce. — Ale na wieczór, żeby nie p. Tusę byłbym Collego zatłukł. Taki był Arlechino italiano, tak fałszował że strach. Dosyć powiedzieć że raz wylatując przewrócił się. Wystaw sobie Collego w krótkich spodniach z gitarą w okrągłym białym kapeluszu na ziemi. — O zgrozo! — Paskudnie szedł Cyrulik. Zdanowicz naylepiej calumnią odśpiewał. — Była czyli też miała być graną opera Telemak, nowość której niewidziałem, wiem że próby bywały, na żadney nie byłem więc nic o nim donieść Ci nie mogę. — Otella zdaie mi się żeś ieszcze nie widział, i żeś sam chwalił Polkowskiego który naylepiey w tej operze występuie. Meyerowa iak zwykle śpiewa. Zimmermannowa iuż grywa i podobno kształcić się zaczyna. Ale dosyć o dramatyczności, wiedz też coś o Uniwersytecie. Oborski (który mnie twoim przestraszył odiazdem, wpadłszy na salę gdzieśmy się zgromadzili dla prześpiewania chórów bożego ciała i z pewnem obłąkaniem wymówiwszy żeś mię kazał pożegnać, żeś musiał w nocy wyjechać) Oborski podobno w Baden. — Tak mi Gąsie powiedział (z którym wczoraj byłem na wieży luterskiego

---

[1]) „Pruszakiem".

kościoła, zkąd patrzyliśmy na rewią przy Woli odbywaiącą się. Gąsie był w Krakowie, dużo ma do opowiadania; skradli go w drodze, czule ten przypadek wystawia. — Dzisiaj spotkałem Obniskiego; zdrów iest, bardzo się dopytywał o Ciebie gdzieś się podział, kiedy i czy wrócisz, i prosił aby Cię od niego uściskać. — Pruszak odwiózłszy mię w czwartek, w sobotę wrócił do domu aby w niedzielę puścić się do Gdańska. Pani Pruszak dniem wprzódy wyiechała. Byłem z Kostusiem w twey stancyi ale nie próbowałem fortepianu bo Kostuś klucza od niego nie wiedział gdzie szukać; z miny niezdawało mi się żeby mu miało być co złego, dobrze wyglądał. O twoich rzeczach czy iuż przeniesione czy nie, czy to czy owo, wszystkiego się dowiesz od Kostusia który zapewne do Ciebie napisze. | W Sannikach przerobiłem owe Rondo C dur, (ostatnie jeżeli sobie przypominasz) na 2 fortepiany [1]) dzisiay go próbowałem z Ernemannem [2]) u Bucholtza [3]) i dosyć się dobrze wydało. Myślemy go kiedyś grać na Resursie. — Co się tycze nowych moich kompozycyi, nic niemam prócz ieszcze niezupełnie skończonego Tria G minor, zaczętego wkrótce po twoim wyieździe. — Próbowałem pierwsze Allegro z akkompagnamentem przed wyiazdem do Sannik za powrotem resztę myślę zpróbować. Myślę że to Trio podobny los spotka co moią Sonatę, i Waryacye. Już są w Lipsku, pierwsza jak wiesz Elsnerowi przypisana, na drugich (może zbyt śmiały) twoie nakreśliłem imię. (Serce tak chciało, przyiaźń niewzbroniła, i Ty za złe nie bierz). — Skarbek ieszcze nie wrócił. Jędrzeiewicz [4]) zostanie na rok w Paryżu. Zapoznał się z Sowińskim [5]) owym fortepianistą, który im też parę słów napisał, oświadcza że radby się, nim przyiedzie do Warszawy listownie wprzód poznać, że należąc do redakcyi dziennika paryzkiego Revue musicale publiée par Mr. Fetis, przyiemnie by mu było mieć niektóre wiadomości o stanie muzyki w Polsce, o sławnych w tym rodzaiu Polakach, o ich życiu itd. do czego się mięszać nie myślę. Odpiszę mu z Berlina że nie do mnie takie rzeczy należą, zwłaszcza że Kurpiński iuż się tem u nas trudnić w części zaczął. Zresztą niemam ieszcze sądu godnego dziennika paryzkiego gdzie sama prawda mieścić się powinna; | żem ani lepszey ani gorszey niesłyszał opery. — Dopiero bym sobie naraził wielu! — Kurpiński teraz w Krakowie, Żyliński dyryguie operą; wczoraj Freyszyc okropnie miał być odegrany. Chóry ćwiercią później iedni od drugich śpiewali. — Papa powiada że stracę ową wielką

---

[1]) Wydane przez Fontanę jako op 73 (pośmiertne).
[2]) E. fortepianista i nauczyciel muzyki w Warszawie.
[3]) B. fabrykant fortepianów w Warszawie.
[4]) Józef Kalasanty J., później szwagier Chopina * 1803 † 1853.
[5]) Wojciech Sowiński fortepianista, kompozytor i literat, autor pierwszego „Słownika polskich muzyków" (Les musiciens polonais et slaves. Dictionnaire biographique Paris 1857).

opinię o zagranicy. Za miesiąc powiem ci o tem z pewnością. Albowiem | ku końcowi tego miesiąca opuszczę Berlin. — Pięć dni drogi diliżansem! | Jak zachoruię, tak extrapocztą wracam do domu. I o tem Ci napiszę. — Z nowin ważney zapomniałem że Albrecht umarł. | U nas wszystko po staremu, poczciwy Żywny duszą całej zabawy. | Miałem tego roku być w Wiedniu z Papą diliżansem i może by było nastąpiło ale matka Niezabytowskiego małego kazała na siebie czekać i nieprzyiechała. Całe wakacye Papa w domu przepędził. — Za dawnych czasów to iest przed 2ma i 3ma miesiącami przykro mi było przechodzić koło Rezlera kamienicy a onegday idąc do Brzeziny wlazłem w drzwi do Lafora zamiast w przechodnią sień. — Wczoray dopiero poznałem Pstwa Castel. Znayduię ią podobną do niego. — Tego zdania wszyscy w Warszawie. — Żal mi mocno że chwile co pędzisz przy Mamie nie są tak swobodne iak przeszłego roku. Wszyscyśmy mocno uczuli słabość szanowney twey Mamy i wszyscy razem pragniemy polepszenia iey zdrowia. Musiałeś mieć częstą czkawkę albowiem nie było dnia żebyś Ty nie był wspomniany. | Kończę bo iuż móy tłomoczek (roboty Hartmana) poszedł na pocztę. | Już się wybieram tam gdzie Geysmer, Lauber siedzą, będę im się kłaniał od Ciebie ieżeli chcesz. Teraz day buzi, nayprzywiązańszemu

FChopin.

| Mamę ucałuy w nóżki i rączki odemnie. Moi Rodzice i Rodzeństwo przesyłaią uszanowanie i serdeczne życzenia polepszenia zdrowia. | Tobie wszyscy znajomi jako to: P. Żywny, Żoch, Górski itd. te kilka osób przypomną Ci nasz dom. — Jeszcze raz buzi — buzi. | Przecie zlituy się i napisz czasem słówko, a choćby i pół, choć literę i ta mi drogą będzie —

| Daruy ieżelim gdzie głupstwo napisał, ale niemam czasu przeczytać. — ieszcze raz Adieu. |

Warszawa, w sobotę dn. 27 Grudn. 1828

Naydroższy Tytusie

Leniłem się aż do chwili w którey uczucie przyiaźni górę nad nałogiem wzięło. Chcąc abyś list ten na pierwszego i 4-go Stycznia miał w domu, choć zaspany wziąłem się do pióra. Nie będę Ci tey kartki obarczał mnóstwem komplementów, wyszukanych życzeń ordynaryinych częstokroć konceptów, bo mnie znasz i ia Cię znam —; w tem to szukay przyczyny milczenia. | Max dokładną dał mi wiadomość o Tobie i o zdrowiu twey Mamy, nazaiutrz po przyjeździe swoim do Warszawy. Przechodząc do Uniwersytetu wpadł zaraz do mnie i z wielkim zapałem

Hrubieszowskie strony wspominał. Przednie były niektóre iego opisy, między innymi, o twoiego sąsiada co wrócił z Paryża gdym go zapytał, „fryzuie się“ odpowiedział krótkim-serio-akcentem. — U pani Pruszak znów ma być komedya; dano mi jakąś rolę Pedra w Les projets de mariage par Duval. — Po nowym roku wyieżdżaią na dwa śluby, ieden panny Skarżyńskiej (Krakowianki) z Łuszczewskim, a drugi panny Skarżyńskiej ze Studzieńca n. b. naystarszéy z niewiem kim. Wiem że kiwniesz głową w tem miejscu i powiesz, co ten fryc mi za baydy prawi, ale iużem napisał, niezmażę bo niemam czasu do przepisywania. — Z inney wsi nowina że Jędrzejewicz w Paryżu został członkiem iakiegoś towarzystwa podobno geograficznego. — Jednak to co Cię naywięcey zajmie iest że ia, biedny ia muszę dawać niby lekcye. Przyczyna tego jest następująca. N. lia fatto infelice la signorina governante, della Casa, nella strada Marszałkowska. La signorina governante a un bambino nell' ventre, e la Contessa sive la padrona non vuole redere di piu il seduttore. Jl migliore evento ê, che credevano avanti, che tutto è apparito, ch'il seducente son io perd. eio ch'era piu d'un messo a Saniki, e sempre andava colla governante camminar nell' giardino. Ma andara camminar e niente di piu. Ella non è incantante. Niedołęga io, non lio avuto alcuno apetito na szczęście dla mnie. Madama Pruszak namówiła Mamę i Papę tak że ia daię lekcye. — Oleum et operam perdidi. Ale niech się dzieje co chcą. —

Rondo à la Krakowiak skończone w Partycyi. Introdukcya oryginalna więcey niż ia cały z bajowym surdutem. Ale Trio ieszcze nieskończone. Na górze już jest pokóy maiący mi służyć ku wygodzie, z garderóbki schody do niego wyprowadzone. Tam mam mieć stary fortepian, stare biórko, tam ma być kąt schronienia dla mnie. — Osierociałe Rondo na 2 pantaliony znalazło oyczyma w osobie Fontany (możeś go kiedy u mnie widział, chodzi on do Uniwersytetu), przeszło miesiąc się uczył, ale się nauczył, i niedawno u Bucholtza doświadczyliśmy effektu jaki by sprawić mogło. Mogło, dlatego że niezupełnie stroiły pantaliony, niezawsze dopisywało czucie, i te wszystkie drobnostki, co wiesz ile odcienia każdey nadaią rzeczy. — Od tygodnia nicem nie napisał ani dla ludzi ani dla Boga. Latam od Anasza do Kaifasza i dziś iestem u Wincengerodowey na wieczorze, zkąd iadę na drugi do Panny Kickiey. Wiesz jak to wygodnie, kiedy się spać chce a tu proszą o improwizacyą. Dogódźże wszystkim! — Rzadko zdarzy się myśl podobna tey co nieraz rano na twoim pantalionie tak snadnie weszła mi pod palce! — Gdzie ruszyć, Leszczyńskiego nędzne instrumenta, bom ani iednego niewidział co by się zbliżył głosem do pantalionu twey Siostry, albo do naszych. — Wczoray rozpoczął się Teatr Polski Preciozą

a francuzki przez R a t a p l a n. Dziś Geldhab iutro Ślusarz [1]). Ia iutro iako w niedzielę u P. Pruszak na obiedzie. — Mówił mi Kostuś żeś do niego pisał, niemyśl żebym się krzywił żeś do mnie nie pisał; znam twoią duszę, o papier nie stoię; a ieżeli tylem Ci iuż bez sensu nabazgrał, to iedynie dlatego żeby Ci przypomnieć że tak Cię mam w sercu iak i dawniey, że ten sam fryc iestem co dawniey

F. Chopin

Nielubisz żeby Cię całować. Dziś pozwól mi tego. —

Naylepszego zdrowia twey Mamie od całego domu. — Brata uściśniy. Żywny Wam się kłania.

9 września w Sannikach u Pruszaków przerobił Rondo c dur na 2 fortepiany (dotąd nie wydane) — Trio G minor niezupełnie skończone.

27 grudnia Rondo a la Krakowiak skończone w partycyi. Trio ieszcze nie skończone.

41 Warszawa 12 Września 829 Sobota

Naydroższy Tytusie

Ieszczebyś żadney odemnie niemiał wiadomości gdyby nie Winc. Skarżyński, — Spotkałem go i wspomniał że dopiero ku końcowi tego miesiąca będziesz w Warszawie; | gdy tymczasem Kostuś w Dreźnie mi powiedział że na 15-tego być miałeś u Siostry. | Myślałem że ustnie się dowiesz o moim w i e l k i m wojażu, coby mię więcey było ucieszyło, bo szczerze wolałbym z Tobą gadać — ale kiedy tak, wiedzże kochanie, żem był w Krakowie, Wiedniu, Pradze, Dreźnie, Wrocławiu. Tydzień pierwszy zszedł nam w Krakowie na samych spacerach i zwiedzaniu okolic krakowskich. — Oyców istotnie ładny, ale Ci niebędę o nim wiele pisał bo choć tam nie byłeś to wiesz z opisu bardzo wiernego Tańskiey gdzie co iest, i iakie iest. W wesołey kompanii | lubo trochę cudzey | zaiechałem do Wiednia, i ieżeli Kraków mię zaiął tak że mało chwil na myślenie o domu i Tobie poświęcić mogłem to Wiedeń tak mię zaszałamił, zadurzył, omamił, że dwa tygodnie przeszło siedząc bez listu z domu żadney nie czułem tęsknoty. Wystawże sobie, w tak krótkim czasie kazali mi 2 razy grać publicznie na Cessarsko Król: Teatrze. — Rzeczy tym sposobem się działy. — Haslinger móy edytor, wspomniał mi, że dla moich kompozycyi lepiey by było gdybym wystąpił w Wiedniu; że moie imie nieznane a kompozycye trudne i niepozorne — ia iednak niemyśląc teraz ieszcze występować zresztą niegrawszy parę tygodni, odmówiłem mu tego mówiąc że nieiestem w stanie popisywać się przed tak znakomitą publicznością — ta na tem stanęło. — Tymczasem nadszedł hr. Gallenberg co te piękne ballety pisze, który w Wiedniu iest na czele Teatru i temu mnie Haslinger iako tchórza boiącego się wystąpić zaprezentował. — Hr. tyle był grzeczny że ofiarował

---

1) Mularz i Ślusarz Aubera

teatr — a ia tyle byłem o sobie przekonany żem mu podziękował [1]). Nazaiutrz puka coś do stancyi; patrzę wchodzi Würfel, zaklina i powiada żebym wstyd zrobił Rodzicom, Elsnerowi, zresztą samemu sobie gdybym maiąc porę nie dał się słyszeć w Wiedniu. Tyle mię odurzyli żem przystał na koncert, a Würfel w ten moment wszystko zrobił i nazaiutrz były afisze. Już cofnąć się trudno a ia ieszcze niewiem co mam grać i jak mam grać. — Trzech Instrumentmacherów ofiarowało mi do stancyi pantalion. Podziękowałem bom za mały miał pokóy, i te kilka godzin gry niebyły by mi wiele pomogły zwłaszcza że za dwa dni występować miałem. W iednym więc dniu zabrałem znajomość z Meysederem, z Gyrowetrem, z Laknerem, z Kreutzem [2]), z Schupanzigem, z Merkem, z Lewim, słowem ze wszystkimi wielkimi muzykantami Wiednia. — Pomimo to orkiestra na próbie kwasiła mi się. — Naywięcéy o to żem dopiero co przyiechał i zaraz ni ztąd ni z owąd własne kompozycye gram. — Zacząłem więc próbę od Waryacyi dla Ciebie, które miały być poprzedzone przez Rondo Krakowskie. — Przeszły dobrze, ale Rondo pare razy zaczynałem a orkiestra okropnie się mieszała i zganiała na złe pismo. Całey tey konfuzyi przyczyną były pauzy inaczey u dołu a inaczey u góry pisane, lubo zapowiedziało się że górne tylko numera znaczą. Była to moia po części wina, alem się spodziewał że mię zrozumieią — tym razem gniewała ich ta nieakuratność, | a tam są sami Panowie wirtuozi i kompozytorowie | dość że tyle mi fiochów stroili że iuż miałem się na pogotowiu na wieczór zachorować. Ale Baron D e m m a r Regisseur teatralny, pomiarkowawszy że to mała niechęć orkiestry zwłaszcza że Würfel chciał dyrygować, a oni go nie lubią niewiem dlaczego, — więc wniósł żebym zamiast Ronda improwizował. — Jak to powiedział tak orkiestra duże oczy zrobiła. — Tak byłem tem zirytowany że z rozpaczy przystałem na to i kto wie czy ten móy nieszczęśliwy humor, i ryzyko, nie były mi bodźcem do lepszego wystąpienia w wieczór. Jakoś nic mię niezatrwożył widok publiczności wiedeńskiej, — a ponieważ tam nie ma zwyczaiu żeby orkiestra występowała na scenę tylko na swoich pozostaie mieyscach — blady, — z wyrużowanym kompanem do przewracania kart (który mi się chwalił że Moschelesowi, Hummlowi, Herzowi iak był w Wiedniu itd. itd. karty przewracał) zasiadłem do przedziwnego może wówczas naylepszego wiedeńsk. instrumentu roboty Graffa. — Wierz mi żem grał z desperacyi. — Tyle Waryacye effektu zrobiły, że prócz tego iż po każdey Waryacyi oklaski, po skończonych ieszcze raz na scenę pokazać się musiałem. — Intermezzo śpiewała Panna Weltheim nadworna śpiewaczka króla saskiego — Nareszcie przyszedł czas na improwizacyę, — niewiem ale iakoś tak mi poszło że orkiestra klaskać zaczęła i znów po odeyściu przywołany byłem. — Tak się skończył pierwszy koncert. Gazety wiedeńskie mię suto pochwaliły | bo ia z Kuriera sobie nic nierobię, |

---

[1]) Karasowski dodaje: „podziękował o d m a w i a j ą c".
[2]) ma być: „z Lachnerem" „z Kreutzerem".

w tydzień grałem drugi raz bo chcieli, z czego byłem kontent bo niepowiedzą że grał raz i uciekł. Zwłaszcza że na drugim uparłem się grać to Rondo Krakowiak, nad którem Gyrowetz, Lakner i inni tamteysi mistrzowie nawet orkiestra (daruy że tak powiem) unosili się i iuż nie raz ale dwa razy byłem przywołany. — Musiałem na drugim koncercie grać też powtórnie Waryacye bo się strasznie damom podobały i Haslingerowi. Wyidą w Odeonie, | spodziewam się że dosyć honoru. | Lichnowski protektor ów Beethovena chciał mi swoiego fortepianu dać na koncert, — i to wiele — bo mu się zdawało że móy był za słaby. — ale to móy sposób grania który się znów damom bardzo podobał a szczególniey Pannie Blachetka I-szey fortepianistce wiedeńskiey, która musiała być ze mną dobrze (nota bene 20 lat ieszcze niema, | przy rodzicach którzy mię bardzo polubili i dali listy do Pragi, | i sprytna nawet ładna dziewczyna) kiedy mi swoią kompozycią na odiezne z własnoręcznym podpisem na pamiątkę dała. O drugim koncercie powiedziała gazeta wiedeńska „to iest młody człowiek idący swoią własną drogą, na którey wie jak się podobać, a która znacznie od wszystkich innych koncertowych form się oddala“ itd. spodziewam się że dosyć; zwłaszcza że kończy „Pan Chopin dzisiay także podobał się powszechnie“ — Daruy że przymuszony iestem pisać ci takie zdania o sobie, ale piszę to do Ciebie, a mnie one więcey przyiemności robią niż niewiem jakie kuryery [1]). — Z Czernym poznałem się za panie brat — na dwa fortepiana często z nim u niego grywałem. Dobry człowiek, ale nic więcey — ze wszystkich znajomości fortepianowych naywięcey mię ucieszył Klengel, którego poznałem w Pradze u Pixisa. Grał mi swoie fugi (można mówić że to dalszy ciąg fug Bacha iest ich 48 i tyleż kanonów) — Widać różnicę od Czernego. — Klengel dał mi list do Morlachiego do Drezna. Morlachi pierwszy kapelmeister króla saskiego bardzo mię grzecznie przyiął był u mnie i zaprowadził do Panny Pechwel uczennicy Klengla co tam uchodzi za pierwszą fortepianistkę. — Dobrze gra. — Byliśmy w Szwaycaryi Saskiey. Piękności mnóstwo — Galerya cudna — Tylko operę włoską z przed nosa mi wzięli. Tego samego dnia wyiechałem co był Crociato in Egitto; tylkom się tem konsolował żem go w Wiedniu widział. — Pruszakowa i Olesia i Kostuś w Dreźnie, na wyiezdnem spotkałem ich; co za radość, pan frycek, pan frycek; — tak mi było przyiemno że gdybym był sam, pewno byłbym się zatrzymał. — Sam Pruszak w Toeplitz, gdziem go też widział. Poiechali tam teraz do niego. — Toeplitz śliczne, tam byłem ieden dzień i zaraz na wieczorze u X-ney Klary. | Szkoda że muszę kończyć ale iużem ci dość naplotł. Oczekuię przybycia pańskiego — często przejdę koło Sto Jurskiej do Brandta, spojrzę i pisać mi się chce do Ciebie. |

Ściskam cię serdecznie z wsame-usta pozwolisz? —

F. Chop.

---

[1]) Karasowski pisze: „niż... pochwały oddawane w Kuryerze warszawskim“.

| Maxa dziś spotkałem. Powiedział mi że radykalnie zdrów i stoi a l'hotel garni. W zielonym surduciku; tyle był łaskaw że mi swoią osobę z wizytą obiecał — wspominał Cię — kłaniać ci się nie kazał bo nie wiedział że będę pisał, — rano i ia o tem niewiedziałem. — Jeżeli będziesz myślał, rzuć kilka słów na papier do mnie — Zdrowi wszyscy co cię interesować mogą. — Znałeś ową Pannę Filipinę kuzynkę Lindego co za Bergerem była? — umarła. — A ia zato wracaiąc byłem na weselu Panny Bronikowskiej Melasi; śliczne dziecko, poszła za Kurnatowskiego. Często się ciebie wspomniało, kazała Ci się kłaniać. Jey rówieśniczka kuzynka co też parą dniami wprzód poszła za mąż ieszcze ładnieysze dziecko — ładnie im było po weselnemu. Tak się rozpisałem że aż mi się wstać nie chce. Day buzi. Panu Karolowi moie uściśnienie. — ...F. Ch.... Papa, Mama zasyłaią wam swoie ukłony i życzenia dzieci toż samo. — |

Warszawa dn. 3 Października 829

Drogi Tytusie

| W ten moment odebrałem list od Ciebie kiedym się powtórnie pisać zabierał sądząc iż albo pierwszy list nie doszedł, albom coś strasznie głupiego napisał. Cieszy mię żeś ile z listu wnoszę zdrów o czem się lepiey od Karola dowiem. Piszesz mi żebym Ci się iaśniej explikował co się ma ze mną i z ludźmi o których ia wiedzieć mogę, dziać, — Kostuś mi pisał w ostatnim liście przez Oyca który iuż z Toeplitz powrócił na Śty Mateusz na iarmark łowicki, że myśli w Dreźnie do Bożego narodzenia zabawić, że im wesoło będzie, bo podług wszelkiego podobieństwa do prawdy Pani Sokołowska z córką tamże zimować będzie; przytem że Panna Wanda tak mocno na nerkową febrę chorowała iż był czas gdzie doktorowie nadziei mało czynili; chorowała w Marienbadzie, konwalesantka w Dreźnie. — Niepisałem ieszcze do Kostusia... tłómaczyć ci niepotrzebuię dla czego... znasz moiego lenia; ledwom się zebrał do Würfla[1]) parę słów nabazgrać. | — Piszesz mi żeś z 2 gazet dowiedział się o moich koncertach, ieżeli z polskich w których nieszczęściem nietylko tłomaczyć nieumieli ale nadto umyślnie na dezawantaż móy poprzekręcali zdania wiedeńskie, o czem ustnie lepiey się dowiesz, nie mogłeś mieć zadowolenia. — Sammler wiedeński, i Zeitschrift für Litteratur, z których

---

[1]) Würfel Wilhelm z urodzenia Czech był cenionym pianistą i profesorem warszawskiego konserwatoryum następnie kapelmistrzem w Kärntner-Shortheater w Wiedniu — gdzie umarł w 1852 r.

mi wyjątki Hube, (który zwiedziwszy Triest, Wenecyą, w przeszłym wrócił tygodniu) naprzywoził, gdzie szczegółowo a bardzo pochlebnie (daruy że Ci to piszę) rozbieraią grę moią i kompozycyę, gdzie na końcu zowią mię (Selbstkraeftiger Virtuos) a do tego bogato od natury uposażonym; — takie wyiątki żeby ci były pod rękę podpadły, niemiałbym się czego wstydzić. — Chcesz wiedzieć co myślę tey zimy z moią osobą począć, dowiedz się że niezostanę w Warszawie ale gdzie mię okoliczności poniosą, niewiem. — Prawda że X. Radziwiłł a raczey ona bardzo grzeczna, zapraszali mnie do Berlina, daiąc nawet mieszkanie w własnym pałacu, ale cóż mi po tem kiedy mi teraz trzeba tam gdziem zaczął, zwłaszcza żem obiecał powrócić do Wiednia, a w iedney z gazet tamteyszych napisano iż dłuższy pobyt w Wiedniu byłby korzystnym moiemu wystąpieniu na świat (Anschlag). — Sam zapewne czuiesz potrzebę moią powrotu do Wiednia, nie dla Panny Blachetki, o którey ile mi się zdaie pisałem, iest to osoba młoda, ładna, graiąca, bo ia iuż może na nieszczęście mam móy ideał, któremu wiernie niemówiąc z nim iuż pół roku służę, który mi się śni, na którego pamiątkę stanęło adagio od moiego koncertu, który mi inspirował tego walczyka dziś rano, co ci posyłam. Uważay iedno mieysce † oznaczone. O tem nikt nie wie prócz ciebie. Jakże by mi było słodko, zagrać ci go naydroższy Tytusie. W Trio spiew bassowy powinien dominować aż do górnego es wiolinu w 5-tym takcie o czem ci niepotrzebnie pisać, bo czuiesz. — Z wiadomości muzycznych nic prócz tego iż co piątek bywa muzyka u Kesslera. — Wczoray między innymi grali Otteto Spohra, cudne, przecudne. U Sowana był wieczór ale nie tęgi. Tam poznałem się blizko z Bianchim co z Chiaviniami ieździ; dobrze gra na skrzypcach, ale zresztą fanfaron ile mi się zdało. — Soliwa grzeczny, o Ciebie się pytał. — Oborskiego spotkałem wczoray. Pytał się czy niewiem co o Tobie; dał mi wiadomość o swoyey osobie że iest na urzędzie, iak powiada w Banku. Że jest dans la correspondance, że dwa dni iak przegląda ogromne pliki listów, od rozmaitych bankierów zagranicznych. Dobrze wygląda, Jelski mu dał to mieysce i przedni taki iak był, zawsze stoi a l'hotel garni to się ma rozumieć do kogo zaydzie. Kopciuszka[1]) tuteyszego ieszcze nie widziałem, dziś Handel na żony[2]) W poniedziałek otwarcie teatru francuzkiego. — Barański ci się kłania, iest teraz w Szwaycaryi; — Jędrzejewicz do Włoch z Genewy miał się puścić; — Woycicki przyiechał z Londynu, daie w Liceum. Jak przyiedziesz na przyszły miesiąc, zobaczysz całą naszą familię malowaną[3]), nawet

---

[1]) „Kopciuszek" opera Rossiniego przedstawiona po raz 1-szy w Warszawie 29 sierpnia 1829 r.

[2]) „Handel na żony" opera Herolda (dawana od 1820 r.)

[3]) Zachowane do dziś dnia portrety pędzla I. Mieroszewskiego; po raz pierwszy przez M. Karłowicza w „Niewydanych pamiątkach po Ch."

Żywny co Cię często wspomina, zrobił mi surprizę kazał się malować i Miroszesio tak go trafił że do zadziwienia podobny. — Nim list twóy dostałem byłem na miodowey ulicy, mam zwyczay patrzyć w górę do Hodkiewicza, ale w tey samey pozycyi były okiennice w pokoiu gdzieś stał, co i wczoray, co i onegday. Trzeba Ci także wiedzieć że mi Wincenty Skarżyński fałszywy zrobił apetyt, za nowinę pewną mówiąc mi, że wkrótce przyiedziesz. — |

Do Brzeziny[1]) co dzień chodzę. Niemasz nic nowego prócz koncertu Pixisa, o którym ia wiele nie trzymam. Rondo zdaie mi się naylepsze. — Nie uwierzysz iak dla mnie teraz Warszawa smutna; gdyby nie to że familia mi uprzyjemnia to bym nie wysiedział. — A jak to przykro nie mieć poyść do kogo rano, podzielić z nim smutku, radości, iak to niegodziwie kiedy coś cięży a niema gdzie złożyć. Wiesz do czego to alluzia. — Fortepianowi gadam to, cobym tobie był nieraz powiedział[2]). — Kostuś się będzie cieszył iak mu doniosę żeś pisał, i że przyiedziesz a przynaymniey żeś się obiecał. Myśl przeiechania się powinieneś do skutku przywieść. — Nie posiadałbym się z uciechy gdybym mógł razem z Tobą iechać; ale mi inaczey iechać trzeba iak Tobie; poiadę się uczyć z Wiednia do Włoch a na przyszłą zimę mam być razem z Hubem w Paryżu, — lubo to wszystko ieszcze zmienić się może zwłaszcza że Papa radby mię do Berlina wysłać, — a czego ia sobie nie życzę. | — A propos Berlina stary Pruszak iedzie do Gdańska. Łączyński Paulin któregom niedawno spotkał utrzymuie że niewytrzyma Pruszak do zimy bez żony. Jakkolwiek bądź, śte postanowienie Pani Pruszak, było zostać się do Bożego narodzenia w Dreźnie. | — Gdybym iechał do Wiednia, możebym górą poiechał na Drezno i Pragę dla widzenia ieszcze raz Klengla, Konserwatoryum Praskiego itd. | a w ten czas jakże by mi miło było zobaczyć Kostusia. Obniski Ci się kłania. Geysmera też onegday spotkałem. Cieszył bym się żebym Cię jeszcze w Warszawie widział, bo i mnie może w listopadzie drapnąć wypadnie, to by iednak było ku końcowi miesiąca, a myśmy się nie pożegnali bo ostatnie słowa były „a więc, przyślę ci tłomoczek" — Wystaw sobie, móy wałek zgubiłem, iadąc z wesela Panny Bronikowskiej! | Dosyć tego bo Cię znudzić mogę czczemi wiadomościami a iabym nigdy nic takiego niechciał czynić aby Ci się nie podobało. Jeżeli będziesz mógł, dwa słowa mi napisz a ucieszysz mię znów na kilka tygodni. Daruy żem ci posłał walc który Cię może i rozgniewa na mnie, ale dalibóg chciałem Ci nim przyiemność zrobić, bo Cię szalenie kocham.

F. Chopin

---

[1]) Właściciel księgarni i składu nut w Warszawie.
[2]) Alluzje do uczuć miłosnych względem panny Gładkowskiej.

Warszawa Sobota dn. 14 L. 1829

Naydroższy Tytusie

Ostatni twoy list w którym mi każesz się ucałować odebrałem w Antoninie u Radziwiłła. Byłem tam tydzień, nieuwierzysz iak mi u niego dobrze było. Ostatnią pocztą wróciłem i to ledwo com się wymówił od dłuższego pobytu. Co do moiey osoby i chwilowey zabawy byłbym tam siedział dopókiby mię nie wypędzono, ale moie interessa a szczególniey móy koncert ieszcze nie skończony a oczekuiący z niecierpliwością ukończenia finału swoiego przynaglił mię do opuszczenia tego raju. Były tam dwie Ewy, młode xiężniczki, nadzwyczaj uprzeyme i dobre, muzykalne, | czułe | istoty. Sama stara Xiężna wie że nie urodzenie czyni człowieka, i tak wiąże swoiem obchodzeniem się że niepodobna iey nie lubić. On, wiesz jak lubi muzykę, — pokazywał mi swoiego Fausta i wiele rzeczy znalazłem tak dobrze pomyślanych, nawet genialnych, żem się nigdy po namiestniku tego spodziewać niemógł. — Między innymi iest iedna scena, w którey Mefistofeles kusi Gröthen graiąc na gitarze i śpiewając pod iey domem, i iednocześnie słychać spiewy choralne z pobliskiego kościoła; ten kontrast wielki effekt w exekucyi robi; na papierze widać sztucznie złożony śpiew a bardziey akompaniament diabelski pod chorał bardzo poważny. — Z tego możesz mieć wyobrażenie o iego sposobie widzenia muzyki; — przytem zabity Glukista. Muzyka teatralna tyle ma u niego znaczenia, ile maluie położenia i uczucia, — dlatego nawet uwertura niema finału tylko w introdukcyą wchodzi a orkiestra wciąż będzie za sceną, aby poruszenia smyczków, silenia się i dęcia widać nie było. — Napisałem u niego alla polacca z wiolonczellą. Nic niema prócz błyskotek, do salonu, dla dam, — chciałem, widzisz, żeby X-czka Wanda się nauczyła. — Niby iey przez ten czas dawałem lekcye. Młode to 17-cie lat, ładne, i dalipan aż miło było ustawiać paluszki. Ale żart na stronę, wiele ma prawdziwego czucia muzykalnego, tak że nie trzeba gadać a tu crescendo, a tu piano, a tu prędzey, a tu wolniey i tak daley. — Niemogłem się wymówić od przysłania im poloneza moiego F minor, który zaiął X-czkę Elizę, proszę Cię więc przyszliy mi go naypierwszą pocztą, bo niechcę być poczytanym za niegrzecznego, — a z pamięci pisać niechcę kochanku, bobym inaczey może napisał aniżeli iest w istocie. — Możesz sobie wystawić charakter tey X-czki kiedy iey codzień tego poloneza grać musiałem i nic tak nie lubiła iak to Trio as dur. — | Tak to tam wszyscy dobrzy. — Wracaiąc byłem w Kaliszu na iednym wieczorze, gdzie była Pani Łączyńska i Panna Biernacka, — wyciągnęła mię do tańca, musiałem mazura tańczyć, i to z ładnieyszą jeszcze Panną od niey, a przynaymniey równie piękną panną Nieszkowską Pauliną, która niechce Jenerała Miecielskiego a on się do niey koniecznie adresuie. — Panna Biernacka dużo ze mną mówiła o Tobie i o twoim Bracie i widać było słodkie uczucie iakie iey owa zima w Warszawie spędzona nieciła, — cały wieczór z nią rozmawiałem

a raczey musiałem odpowiadać i pytać się, — nigdy tak mi się dobrze niewydała iak wtenczas szczególniey mówiąc o słodyczy charakteru Pana Karola. Nieżartuię. — Powiedziałem iey że ty będziesz wiedział o całym wieczorze, że się będę przed Tobą skarżył na to że mię do tańca skusiła, ale Ci się nie zlękła. — Poznałem iey oyca, blizko Antonina ma swoie Sulisławice. — Między innemi godny widzenia taniec Jaxy Marcinkowskiego, który na tym wieczorze z zabłoconemi butami do upadłego wywiiał. Byłem w Kaliszu tylko ieden dzień. — Kostuś do mnie pisał alem mu ieszcze nie odpisał. | — X-żna Radziwiłłowa życzy żebym był w maju w Berlinie, zatem nic mi nie przeszkadza iechać na zimę do Wiednia. Ile myślę to przed grudniem nie wyiadę, — 6-tego Papy imieniny więc chyba bym ku końcowi grudnia wyiechał, zatem mam nadzieię widzenia się z Tobą, a projektów żadnych nie robię — gdybym poiechał przed twoiem przybyciem co podług wszelkiego prawdopodobieństwa być nie może, napisał bym Ci, bo nic bardziey niepragnę iak Ciebie widzieć, — a ieszcze za granicą — Nieuwierzysz iak mi teraz w Warszawie czegoś niedostaie niemam komu dwóch słów powiedzieć, na nikogo spoyrzeć z zaufaniem — Chciałeś mego portretu, — żebym mógł był ukraść ieden X-żnie Elizie to bym go był tobie posłał; dwa razy mię w sztambuchu zrobiła i ile mi ludzie gadali bardzo podobnie. — Mieroszewski teraz czasu niema; moie życie, tyś za dobry — a potem wierz mi że ia prawie zawsze przy tobie, — ia ciebie nieodstępuię i tak będzie do śmierci twóy najprzywiązańszy

F. Ch.

Jeszcze ci raz przypominam poloneza f minor, przyśliy mi go moie życie pierwszą pocztą. —

Napisałem parę exercissów, — przy Tobie bym ie dobrze zagrał.

| Papa, Mama, dzieci, Żywny ci się kłaniaią. — Jędrzejewicz pisał z Wiednia, wraca. Pałac Lucypera Kurpińskiego dawali ale się nie udaie. |

Kessler grał w ostatnią sobotę na Ressursie koncert Hummla E Dur. | Grał także Serwaczyński. — Może grać będę na przyszłą sobotę, — grałbym twoie Waryacye. — Pani Bourgeois-Schiroli, Alt piękny u Soliwy 2 razy śpiewała na wieczorach muzycznych, mówił mi to Teichmann. Panna Wołków po matce w żałobie a Panna Gładkowska z zawiązanem okiem. Żyliński nawet śpiewał z Panią Schiroli, ale powiadaią że iak szczur przy niey się wydawał. — To wszystko co wiem z nowin. — Maxa dawno nie widziałem ale pewno zdrów. — Gaszyński napisał komedyjkę wierszem na teatr Rozmaitości, gdzie teraz cały świat się wali. Tytuł iey iest Przedpokóy doktora. Gąsie zdrów Rinaldi ile razy mię spotka o Ciebie się pyta. Na przyszłą niedzielę ma być „Milionasz“ (Bauer als Milionair), mała komiczna opera Dech-

selera. Niewiem poco to niemieckie głupstwo u nas dadzą, chyba dla dekoracyi i metamorfoz rozmaitych śmiesznych, bawiących dzieci. Będą latać. — Sachetti miał dekoracye malować. — Już wszystko co mi w pióro wlazło. Niechce mi się nowin pisać tylko bym się z Tobą pieścił. — Ieszcze raz day mi się uściskać. | F. Ch.

Warszawa 20 Paźdz. 1829

Naydroższy Tytusie!

Pomyślisz może zkąd mi się wzięła taka mania pisania listów, że iuż trzeci do Ciebie w tak krótkim przeciągu czasu posyłam. Jadę dziś o 7-mey godzinie z wieczora diliżansem do Wiesiołowskich w Poznańskie, i dlatego wprzód piszę zwłaszcza że niewiem iak długo mi bawić tam wypadnie lubo paszport tylko na miesiąc wziąłem. Moią myślą iest wrócić za dwa tygodnie. — Przyczyną moiego wyiazdu iest także bytność Radziwiłła w swoich dobrach za Kaliszem. Były bowiem oświadczyny żebym iechał do Berlina, w jego pałacu tamże mieszkał i tym podobne słówka, piękne, zabawne, — ia iednak żadney w tem niewidzę korzyści gdyby się to nawet ziścić miało, o czém wątpię, bo iuż to nie jedna łaska pańska którą na pstrym koniu widziałem, ale Papa nie chce wierzyć żeby to miały być tylko des belles paroles, i to iest przyczyna moiego wyiazdu, którą nawet ile mi się zdaie iuż raz tobie napisałem. — W tym względzie wiesz iaki dobry iestem że dziesięć razy iedno gotówem powtarzać, i zawsze za nowość. — | Pani Pruska była wczoray, wspominała że P. Wanda iuż zdrowa, że się Kostusiowi nudzi w Dreźnie, czego mi się wierzyć nie chce. — Soliwowa z dziećmi w przeszłym tygodniu do Włoch do matki mężowskiej wyjechała. — Wiem tę nowinę od Ernemanna któregom widział u Kesslera,[1]) na kwartetach. | Trzeba ci wiedzieć że Kessler co piątek daie u siebie małe muzyczki. Tam się wszyscy schodzą i graią — niema nic naprzód układanego tylko co się nawinie w kompanii to się gra. I tak zaprzeszłego piątku, był Koncert Riesa Cis moll w kwartecie, było Trio Hummla E dur, Trio Beethovena ostatnie (coś podobnie wielkiego dawno nie słyszałem, tam Beethoven szydzi z całego świata) — Quatuor X-ia Ferdynanda pruskiego alias Dusseka[2]), i nakoniec śpiewy | ale nie śpiewy tylko parodia śpiewu, co istotnie przedziwnem było. Trzeba ci wiedzieć że Cymmermann co na flecie gra, ma iakiś szczególniey śmieszny głos,

---

[1]) Józef Krzysztof Kessler ur. w Augsburgu w 1800 — pianista i kompozytor był przez jakiś czas nauczycielem muzyki u hr. Potockich w Łańcucie i we Lwowie. W r. 1829—30 przebywał w Warszawie.

[2]) Jan L. Dussek urodzony w Czasławiu (w Czechach) 1761 r. był znakomitym fortepianistą i kompozytorem. Ch. czyni tu alluzję jakoby utwory Ks. Ludwika Ferdynanda Pruskiego którego profesorem był Dussek przez tegoż pisane były; było to jednak podejrzenie niesłuszne książe który zginął w bitwie pod Saatfeld (1806 r.) był istotnie zdolnym muzykiem.

który za pomocą warg i ręki wydaie. Jest to niby kocie niby ciele coś w tym rodzaiu. Nowakowski także ma oryginalny głos, do małey fałszywey, dziecinney trąbki podobny, co zapomocą iakiegoś ściśnienia płaskiego ust wydobywa. Filip korzystaiąc z tego napisał duet dla Cymmermanna i Nowakowskiego z chórem, iest to wielkie głupstwo chociaż dobrze zrobione ale tak śmieszne że skończyć nie można było. — Chociaż to było po Triu Beethovena iednakże nie zdołało zatrzeć tego wielkiego wrażenia iakie na mnie zrobiło, — zwłaszcza że i dobrze było exekwowane. Serwaczyński [1]) akkompagnował, a on bardzo ładnie akkompagnuie. — Ma dać w tym tygodniu koncert. Podług mnie niepotrzebne to są rzeczy, ale go tem exkuzuią że chce tu zostać (coby nieźle było) chce lekcyi i spodziewa się że to naylepszy środek dostania godzin. — Jak powrócę i Ty iuż będziesz w Warszawie, parę razy zrobimy Trio, co mi iuż obiecał, — bo Bielaskiego [2]) strasznie prosić się trzeba a mała różnica. — Słowem ślicznie akkompagnuie. | — Adagio koncertowe Elsner chwalił, mówił że iest nowe, — ale co o Rondzie to ieszcze niechcę niczyiego wyroku bo ieszcze nie iestem zupełnie z niego kontent. Ciekawym czy przecie skończę zupełnie iak wrócę czy nie. — | Powiadali mi wczoray że przyiechała tu Panna iakaś z Petersburga iak się zowie zapomniałem, ma być bardzo młoda i zadziwiaiąco gra na skrzypcach. — w przyszłą niedzielę maią dać wznowiony Pałac Lucypera, — Kurpińskiego dawną operę. — Oborskiego spotykam, Obniski magister z celuiącym stopniem, Masłoski ditto. — Barciński pisał z Genewy, każe Ci się kłaniać, w Schafhauzie roziechali się z Jędrzejewiczem — Barciński nazad do Francyi a tamten do Münnich. | — Ślicznie Ci dziękuię za liścik przez Brata pisany, ucieszyłem się nim — masz iuż tę pociechę że kiedy chcesz możesz ludzi rozweselać i cieszyć, nieuwierzysz iakiem był zły rano, a iaki dobry po obiedzie odebrawszy list; — dosyć iuż na dziś kończę bo ieszcze mam niektóre rzeczy do załatwienia przed wyiazdem. — Ściskam Cię serdecznie, tak piszą pospolicie na końcu listów, ale nie wiedzą co piszą — wierzay mi iednak że wiem com napisał bo cię kocham iak

F. Ch.

Zrobiłem Exercice duży en forme, w moim iednym sposobie iak się zobaczemy to ci go pokażę. —

Sobota dn: 27 Marca 1830

Naydroższe życie moie!

Nigdy mi tak Ciebie nie zbywało iak teraz; niemam komu się wylać, niemam Ciebie. — Twoie iedno spoyrzenie po każdém koncercie było by

---

[1]) Serwaczyński Stanisław ceniony skrzypek, koncertmistrz orkiestry opery warszawskiej.
[2]) Bielawski bardzo ceniony skrzypek, profesor konserwatoryum warszawskiego.

mi więcey iak wszystkie pochwały gazeciarzów, | Elsnerów, Kurpińskich, Soliwów itd. | Zaraz po odebraniu listu od Ciebie chciałem opisywać Ci pierwszy koncert, ale tak byłem roztargniony i zaięty preparatywami do drugiego który zaraz w poniedziałek dałem, żem zasiadłszy niemógł myśli zebrać do kupy. I dziś wprawdzie ieszcze tak iestem, — ale iuż niebędę czekał chwili spokoynego umysłu, tak rzadkiey dla mnie chwili, — bo poczta odeydzie. Pierwszy więc koncert, lubo był pełny i od 3-ch dni naprzód ani lóż ani krzeseł nie było, nie zrobił na massie wrażenia iakem ia rozumiał. — Pierwsze Allegro dla małey liczby przystępne, zyskało brawo ale iak mi się zdaie dla tego że trzeba się było dziwić co to iest! — i niby udawać koneseurów! — Adagio i Rondo naywiększy effekt sprawiło tu iuż szczersze okrzyki dały się słyszeć, — ale co Potpury na temata polskie [1]), zupełnie podług mnie celu nie dopięły. Dano brawo, i w tem przekonaniu że trzeba mu dać na odchodnem znać, żeśmy się nie znudzili. — Kurpiński uważał tego wieczora nowe piękności w moim koncercie, a Wimen ieszcze się przyznawał, że nie wie co ludzie dopatruią w mojem Allegro. — Ernemann był zupełnie kontent, a Elsner żałował że móy pantalion głuchy, i że bassowych passaży słychać nie było. Tego wieczora o ile paradysowi i ci co w orkiestrze stali, byli zadowoleni, o tyle parter narzekał na ciche granie, — i chciałbym być u Kopciuszka [2]) żeby słyszeć debata iakie się musiały toczyć o moią osobę. Dlatego to Mochnacki w Kuryerze Polskim, wychwaliwszy mię pod niebiosa a szczególniey Adagio, na końcu radzi więcey energii. — Domyśliłem się gdzie ta energia siedzi i na drugim koncercie, nie na swoim ale na wiedeńskim grałem instrumencie. | Diakow Jenerał Rossyiski, tyle był grzeczny że mi dał swoiego Instrumentu, — lepszego iak ów Hummlowski, | — i dopiero, ieszcze liczniey iak na pierwszym zgromadzona publiczność zadowolona była. — Dopiero oklaski, pochwały że każda nótka iak perełka wybita, i że na drugim lepiey grałem iak na pierwszym, i daley po wywołaniu mię, wrzeszczeć o 3-ci koncert. Krakowskie Rondo ogromny effekt zrobiło, 4-ry razy ponawiano oklaski. Kurpiński żałował żem na Wiedeńskim fantazyi nie grał, — czego się nawet w Kuryerze Polskim nazaiutrz Grzymała domagał. — Elsner powiedział że po 2-gim koncercie dopiero mogą o mnie sądzić, — lubo ia szczerze powiem że wolałbym był na swoim grać. Głosem to iest iednak powszechnym że instrument lepiey był zastosowanym do mieysca. — Rozkład pierwszego koncertu był Tobie wiadomy, — drugi koncert, zaczął się od symfonii Nowakowskiego (par complaisance), po czem pierwsze Allegro z koncertu. Bielawski zagrał Beriota Waryacye; po czem Adagio i Rondo. — Drugą część rozpocząłem Rondem Krakowskiem; po czem Majerowej udało się lepiey aniżeli kiedy zaśpiewać Aryę Soliwy z Heleny i Malwiny. Nareszcie improwizowałem, co się pierwszo piętrowym lożom bardzo podobało. — Jeżeli Ci mam szczerze

---

[1]) Grande Fantaisie sur des airs polonais op. 13.
[2]) Kawiarni, w której zbierali się literaci i artyści.

powiedzieć to improwizowałem nie tak iak miałem ochotę, bo to nie dla tego świata było. Mimo to iednak dziwię się że Adagio tak powszechny effekt zrobiło; gdzie się obrócę tylko mi Adagio przypominaią. — Pewno masz gazety wszystkie, albo przynaymniey głównieysze, z tamtąd możesz miarkować że byli kontenci. — Moriolówna [1]) przysłała mi wieniec laurowy, dziś ieszcze dostałem wiersze iakiegoś kogoś. — Orłowski narobił mazurków i walców z tematów moiego Koncertu, — Sennewald kompanista Brzeziny, prosił mię o móy portret ale mu tego nie mogłem pozwolić, bo by za wiele było na raz, — i niemam ochoty żeby we mnie masło owiiano, tak iak się to z portretem Lelewela stało.

| Tobie przyślę iak tylko będę mógł nayspieszniey, chcesz tego więc mieć będziesz, ale nikt prócz ciebie moiego Portretu mieć nie będzie, — mogła by ieszcze mieć osoba iedna tylko, — i to nigdy przed Tobą, — bo tyś mi naydroższy. Twego listu nikt prócz mnie nie czytał. Iak zawsze, tak i teraz noszę twoie listy przy sobie. Jakże mi będzie błogo, — w maju wyszedłszy za mury miasta, myśląc o moiey zbliżaiącey się podróży, dobyć twoiego listu i szczerze się, zapewnić że mię kochasz. — a przynajmniey spoyrzeć na rękę i pismo tego którego ia tylko kochać umiem! — | W przyszłym tygodniu chciano abym grał ieszcze ieden koncert; ale ia niechcę. — Nieuwierzysz co za męka trzy dni przed wystąpieniem. Zresztą przed świętami skończę I-sze Allegro 2-go koncertu a zatem zaczekam z 3-cim koncertem aż po Ś-tach; chociaż wiem że i teraz ieszcze więcey mógłbym mieć słuchaczów, bo cały wielki świat mało mię słyszał. — Między głosami parterowemi na ostatnim koncercie o 3-ci wołaiącymi odezwał mi się ieden „na Ratuszu" tak głośno żem na scenie usłyszał; ale wątpię żebym go usłuchał, bo ieżeli dam, to pewno w teatrze. Nie idzie mi o zysk bo i teatr mi niewiele przyniósł, ponieważ kassier robił co chciał bo iemu się zdało wszystko. Z obu koncertów odtrąciwszy koszta nie było 5-ciu tysięcy, — lubo Dmuszewski wspominał że fortepianowego koncertu niebyło ieszcze tak licznego, iak pierwszy a tem bardziey drugi. — Ale idzie mi o to że w Ratuszu nie z mniejszym ambarasem, niewiele większym effektem, grałbym także nie dla wszystkich bo albo dla naywyższey klasy, albo dla miasta. — Jeżeli kiedy, to teraz czuię że ieszcze się ten nieurodził coby wszystkim dogodził. Dobrzyński się na mnie kwasi żem iego symfonii nie wziął, — Pani Wodzyńska się gniewała żem iey loży nie zatrzymał itd. — | A propos Wodzyńskiey którą onegday widziałem u P. Pruszak na imieninach (Maryanna), — przypomniało mi się żem tam także Brata twoiego widział, który zawsze ma swoie dobre momenta i kazał Ci się kłaniać. Był także wkrótce przed imieninami, zdaie mi się że na święty Józef obchód

[1]) Hrabianka Aleksandra de Moriolles córka ochmistrza dworu W. Ks. Konstantego, z którą Ch. w b. serdecznych był stosunkach.

25 letniego przeżycia Państwa młodych, alias srebrne wesele, — Obiad bardzo naturalnie nie bez mleczków, i innych przysmaczków rubaśnych, dalibóg nie dla mnie. — Wczoray byłem na obiedzie u Moriola, i późniey na wieczorze u Diakowa gdziem także widział Soliwę — Kłania Ci się i obiecał mi kiedyś dać iakąś kartkę do Ciebie. — Graliśmy la Rubinelle Hummla z Kaczyńskiemi i dosyć, dobrej muzyczki robiono. | Niechce mi się odrywać od papieru zwłaszcza że mi się zdaie żem ieszcze nie napisał co bym chciał aby Cię interessowało. Wszystko chowałem na desser a tem czasem niemam innego desseru iak tylko uściśnienia nayszczersze bo ia Ciebie tylko mam

F. Chopin

| Papa, Mama, dzieci Ci się ślicznie kłaniaią. Żywny. — Maxa precz widuię i u Pani Potockiey, był na Teatrze, i u Pani Nakwaskiey na wieczorze muzykalnym. — Łączyńskiego także niedawno w dorożce spotkałem. |

| Warszawa dn. 10 Kwietnia 1830 Sobota
(Rocznica śmierci Emilii! —)

Naydroższe życie moie!

Jeszcze w przeszłym tygodniu miałem ochotę pisać do Ciebie, ale mi tak zeszło że ani wiem gdzie się podziało. — Trzeba Ci wiedzieć że się świat nasz straszliwym sposobem rozmuzykował, nieszczędzono nawet wielkiego tygodnia i w ten poniedziałek był wieczór duży u Filipinsa [1]), gdzie Pani Sauvan ładnie śpiewała duet z Semiramidy a duet buffo z Turka śpiewany przez Soliwę i Gressera na żądanie powtórnie akompaniować trzeba było. | Innych detalii niebędę Ci pisał; — prócz — że się Pani Gładkowska o Ciebie pytała. |

Proiekt iuż gotowy na maiący się dać wieczór u Lewickich, gdzie między innymi X. Galitzin będzie grał Kwartet Rodego, zrobi się la Sentinella Hummla, i na końcu móy Polonez z Violoncellą do którego dodałem Adagio introdukcyę umyślnie dla Kaczyńskiego. Probowaliśmy, i uydzie. — To są nowości salonowe, muzykalne, teraz przystępuię do nowości gazetowych, muzycznych, które mię mniey od salonowych obchodzą tem bardziey, że na mnie dosyć łaskawe wyroki; — chciałbym Ci ie posłać. W iednym artykule połarkuszowym Gazety Warszawskiey musi być dosyć przycinku Elsnerowi kiedy Soliwa mi na obiedzie u Moriola powiedział że gdyby nie to że ma elewki na wystąpieniu, boi się szukać zaczepki, sam by odpisał. Z resztą mówił mi żeś do niego pisał, spodziewam się więc że ieżeli Ci odpisze, nie minie tey okoliczności. — Trudno dać Ci wyobrażenie w krót-

---

[1]) Filipens generał, był intendentem dworu W. Ks. Konstantego (Karasowski).

kości o tem wszystkiem; żebym mógł tobym Ci gazety posłał abyś rzecz zrozumiał należycie. Ale że mądrey głowie dość na słowie, więc Ci tak lekko napomknę o co tu idzie. — Po moich koncertach sypnęło się mnóstwo recenzyi, szczególniey w Kuryerze Polskim — jakkolwiek iuż przesadzonemi tchnęły pochwałami iednakże ieszcze znieść ich można było. — Dziennik urzędowy także kilka stronnic poświęcił moim panegirykom, ale między innymi w iednym ze swoich numerów takie głupstwa mimo naylepszey chęci poklicił żem był w desperacyi od chwili, w którey przeczytałem odpowiedź w Gazecie Polskiey iak naysprawiedliwiey odeymuiącą mi to, co tamten z exageracyi przydał. Trzeba Ci wiedzieć że w tym artykule Dziennika urzędowego utrzymuie że iak Mozartem Niemcy tak Polacy mną się szczycić będą, nonsens bardzo iasny. — Ale wyżey tenże sam artykuł zawiera że gdybym się był w iakiego pedanta albo Rossynisty (co iest głupiem wyrażeniem) ręce dostał, niebyłbym tem czem (niby) iestem. Jakkolwiek nic nie iestem, ale ma racyą — że, gdybym był się od Elsnera nieuczył który mi umiał do przekonania przemówić, pewno bym mniey ieszcze umiał iak dzisiay. — Ten przycinek Rossynistów, i wychwalanie obok Elsnera, który iuż (niby) ucznia wystawił, oburzyło iuż w i e s z kogo [1]), tak dalece że w Gazecie Warszawskiej, zacząwszy niby od Przyiaciół Fredry a skończywszy na Hrabi Orym we środku biie — że zkąd należy się wdzięczność Elsnerowi kiedy on z rękawa przecie uczniami sypać nie będzie, i pokazał obok mnie (trzeba ci wiedzieć że na drugim moim koncercie grano symfonię Nowakowskiego) że „z piasku bicza diabeł nie ukręci". Elsner przed 35-ciu laty napisał Kwartet, który ma na tytule „dans le meilleur goût polonais" dodatek naówczas przez editora uczyniony z powodu menuetu polskiego, wyśmiewa się więc recenzya dzisiay z tego Kwartetu, nie wymieniwszy iednakże autora. Soliwa powiada że temi samemi wyrazami by się z Cecylii [2]) wyśmiał tem bardziey, że w tym artykule zawsze z miłością i iaknaydelikatniey o mnie mówiąc kilka nosów mi daie i radzi żebym się Rossiniemu przypatrywał ale nie p r z e p i s y w a ł. Radę tę daie mi wskutku tamtego artykułu który powiedział żem oryginalny czemu Gazeta Warszawska nie chce przeczyć. — Jestem proszony na święcone poiutrze do Minasowicza [3]), będzie tam i Kurpiński ciekawym co mi powie bo nieuwierzysz iak on mnie czule zawsze wita. Widziałem go na koncercie Leszkiewicza, we środę tydzień minął. Mały Leszkiewicz bardzo dobrze gra, ale ieszcze po naywiększey części z łokcia. Ile mi się iednak zdaie to lepszy z niego gracz będzie iak z Krogulskiego. Zdanie z którem się ieszcze odezwać nieśmiałem, choć iuż kilka razy za ięzyk ciągniony

---

[1]) Kurpińskiego, za to że wystawiał wciąż na teatrze same opery Rossiniego zwano „rossinistą" (Karasowski).

[2]) „Cecylja Piaseczyńska" opera Kurpińskiego

[3]) Minasowicz Dyonizy * 1792 † 1849 — W Warszawie wysoki urzędnik i poeta zarazem był najlepszym tłomaczem dzieł Schillera. On także przełożył wzorowo na polski język Preciozę Otella i Niemą z Portici. (Karasowski).

byłem. | Ale dosyć tey muzyki, teraz list móy nie do Pana Amatora muzyki tylko do Tytusa Woyciechowskiego obywatela rozpoczynam. Wczoray był wielki piątek, cała Warszawa wyszła na groby; i ia z Kostusiem, który onegday wrócił z Sannik, ieździłem od iednego do drugiego końca Warszawy. — Kot ci się kłania i a propos tego donoszę ci co następuie. Było to rano po lekcyi kiedy zasiadłszy do śniadania z Panną Aleksandrą rozpoczyna się rozmowa że Pani Sowińskiey mówiono o ślubie Panny Alexandryny z Panem Mleczko. Powiadam na to, żem nie słyszał; na co mi odpowiedziano, że ponieważ wiedzą żem zawsze życzliwy temu domowi, więc mam wiedzieć że: Pan Mleczko po wielkich awanturach się oświadczył. — Pani Pruszak powiada że nigdy tak okropney chwili nie miała iak wtenczas kiedy iey upadł do nóg z płaczem etcaetera. Ciekawy rezultatu oświadczyn czekam czy mi co o deklaracyi niepowiedzą, i właśnie powiedzieli że jakkolwiek Panu M. czas by był ale Pannie A. nieczas ieszcze więc czeka się rok to jest aż do przyszłych urodzin Panny A. która wówczas sama decydywę akceptować lub odrzucić może. Pan M. iednakże wczoray z niemi groby obieżdżał. — Obniski Ci się kłania. Geysmer Ci się kłania. Łączyńskiego spotkałem onegday, strasznie mi zmizerniał... i brata Karola widziałem, ślicznie iak pączek wygląda. | Aha bryftreger! i list... od ciebie. O naydroższy, iakiś Ty poczciwy! — Bo że ia o Tobie myślę to niedziw! — Ile widzę z twego listu to tylko Kuryera Warszawskiego czytałeś, — ieżeli możesz czytayże Kuryerów Polskich i 91 numer Gazety Warszawskiej. Twoie rady względem wieczorów są słuszne i dlatego im kilka odmówiłem, iak żebym Cię przeczuł, bo nieuwierzysz iak mi stoisz w myśli przy każdym nieledwie uczynku. Niewiem czy to dlatego żem się przy Tobie czuć nauczył, ale kiedy co piszę radbym wiedzieć czy ci się podoba i zdaie mi się że móy drugi Koncert E mol póty w mojem przekonaniu wartości mieć nie będzie póki go Ty nieusłyszysz. | Dziś był Bromirski prosić mię na czwartek, i zaręczam że go widzisz z kwitkiem odchodzącego. — Co się Gąsiego tycze spotkałem go onegday, o Tobie mowa była, — smutno chodzi, narzeka na nieprzyiazne sztukom okoliczności, — iak go zobaczę, co spodziewam się że dziś ieszcze nastąpi, zaraz mu powiem żeś do mnie pisał. — Niemam na podorędziu nic posłać z bzdurstw, bo nawet niewarto. | Co się tycze 3-go koncertu którego tu oczekuią teraz ieszcze tem bardziej; — niedam aż krótko przed wyiazdem i nowy grałbym; ten nowy, ieszcze nieskończony; grałbym Fantazyę Polską którey żądaią i Waryacye dla Ciebie na które tylko czekam. Albowiem iuż iarmark w Lipsku się rozpoczął, to i Brzezina dostanie transport. — Ten co mię szampanem na 2-gim koncercie chciał częstować, ów Francuz z Petersburga co go za

Fielda miano, iestto ieden z uczniów Konserw. Paryzkiego, zwie się Dunst. | Był u Soliwy, miał być u mnie iak mi tamten mówił, alem go ieszcze nie widział. | Koncerta dawał w Petersburgu i wiodły mu się; musi więc dobrze grać. Dziwno Ci pewno że Francuz z Petersburga i niemieckie nosi nazwisko. — | Właśnie przeiechał Kocio ze Skarżyńskim Walerym, a za nimi iedzie Gendre; ekwipaże ruluią, kapelusze damskie się pstrzą z daleka, piekny czas. — Otóż i Celiński móy exekutor spacerowy; poczciwy, dba o moie zdrowie. Póydę z nim na ulicę, może zobaczę kogo co mi Ciebie przypomni; a ia Ciebie tylko kocham.

F. Chopin.

Moi Rodzice ukłony i najszczersze pozdrowienia wraz z siostrami zasyłaią. — I Pan Żywny. — bo by mię wyłaiał. |

A propos, do śmiesznych nowin należy że Orłowski z moich tematów mazurki i galopady porobił, które atoli prosiłem aby nie drukował. —

| Hrabia Ory ładny[1]) szczególniey instrumentowanie i chóry. Finał pierwszego aktu piękny. — |

Warszawa dn. 17 Kwietnia 1830 Sobota
Papy urodziny. —

Naydroższe życie moie!

Jakąś ulgę czuię w nieznośney tęsknocie skoro list od Ciebie odbiorę; właśnie dziś tego trzeba mi było, bom był nudnieyszy niż kiedy. — Radbym odrzucał truiące mi wesołość myśli ale rozkosz czuię z niemi się pieścić; sam niewiem czego mi brak i może po napisaniu listu spokoynieyszym będę, bo wiesz iak to miło pisać do Ciebie. — Piszesz mi żeś został opiekunem, to mię rozśmieszyło. Donosisz o jakimsiś kotylionie, domyślam się że to Walerego robota; — wspominasz że może przyiedziesz, to mię ucieszyło, bo też i ia ieszcze na Seym zostaię. Iuż zapewne wiesz z gazet które na moie szczęście trzymasz, że 28 Maja otwarcie, cały miesiąc zatem trwa nasza nadzieia zwłaszcza że Kuryer Pannę Sonntag zaanonsował. Dmuszewski zawsze ten sam, łże, komponuie sobie rozmaite awantury; wczoray go spotkałem i pocieszną nowinę mi powiedział że iakiś sonet do mnie w Kuryerze umieszcza. Na miłość Boską prosiłem żeby głupstwa nie robił „iuż wydrukowany“ odpowiedział z uśmiechem przysługuiącym się myśląc żem się pewnie radować powinien z zaszczytu iaki mię spotkał. O źle zrozumiane przysługi! Znów będą mieli pole szydzenia ci którym zawiniłem. Co się tycze mazurów z moich tematów, kupiecka chęć zysku przemogła. Już nic niechcę czytać co ludzie o mnie piszą ani słuchać co gadaią. — |

---

[1]) Hrabia Ory opera Rossiniego przedstawiona w Warszawie po raz Iszy 27 marca 1830 r.

W niedzielę tylko miałem ochotę nasłuchać Kurp. rozprawiającego o artyk. gazet. Warsz. ale iakby dla niepoznaki pomiędzy wieloma uczonemi osobami u Minasowicza na święconem znaleźć nie mogłem. Niebyło go, z muzyków ieden Ernemann ze mną tam się znaydował. — Chcąc iednak widzieć koniecznie minę iaką mi pokaże byłem u niego w święta dla życzenia świąt ale oba razy niezastałem. Soliwę dziś widziałem. Może że Włoch filut, ale pokazywał mi co napisał na odpowiedź temu artykułowi (nota bene po francuzku i dla siebie nie w celu umieszczenia tego w piśmie jakiem publicznem) i doskonałe; w ogóle sprawiedliwie ich gromi za Elsnera bez wyiawienia czyjego bądź nazwiska. — Czuły w oczy, mnieysza o to, a ia grzeczny i niewiduię go pomimo iego zaprosin iak tylko kiedy koniecznie tego potrzeba. — Ernemann był u mnie, osądził że I-sze Allo lepsze w nowym koncercie, — właśnie wczoray przyszedł kiedy Kostuś odchodził. Byłem tam dzisiay; ponieważ Seym a zatem wyiazd do Drezna spóźniony; nowe proiekta; a ostatni iest żeby Kostuś z Hubem Prof. Uniw. z tym com ia przeszłego roku iechał, mały woiaż po Francyi i Włochach odbył. Hube ile mi zaonegday mówił miał proiekt rzucenia się naprzód prosto do Paryża gdzie zabawiwszy na zimę do Italii i styczeń w Neapolu gdzie miałem się z nim zobaczyć. Kostuś rano dziś wyszedł do Hubego żeby się zbliżyć do niego i dowiedzieć planu. Jeżeli poiadą to dopiero w czerwcu i to ku końcowi. Moie Waryacie ieszcze nie przyszły. Magnus[1]) poiechał do Wiednia przed tygodniem na końcu tego miesiąca ma wrócić, spodziewam się że nie z gołą ręką. Jutro Flet czarnoxięzki, a po jutrze Koncert iednego niewidomego flecisty Pana Grünberg o którym Ci iuż pisałem. Chciał żebym grał na iego koncercie. Szczęśliwą miałem wymówkę żem iuż iednemu odmówił, — i żeby to niewypadało czynić różnicę w wyborze. Malsdorf będzie mu grał na violoncelli. Jestto wiele ze strony Barona; Szabkiewicz na klarynecie, a ia byłem znów wczoray u Żylińskiego który mu także śpiewać obiecał. Chciał żebym z nim do Maierowey poiechał; wiem żeby dla mnie to zrobiła i śpiewała, ale w duszy by się krzywiła. Wolałem więc dać pokóy, — i tylko zaiąłem się sprzedaniem trochy biletów. Pani Pruszak wzięła dziesięć. A propos, dzisiay przy lekcyi, właśnie Kramera Etude był pod palcami dowiedziałem się z ust pani Pruszak żeś pszenicę do Gdańska wysłał i że może przyiedziesz; o pszenicy (wiadomość gospodarska od Pana Charla), nic mi nie pisał, odpowiedziałem bo to nie są moie wiadomości. Jakkolwiek bądź dziko mi się zdaie że Ty z pszenicą masz do roboty, uwierzyłem, bo wiem iak szczerze lubisz się zaiąć tem coś sobie przedsię-

[1]) Magnus wydawca warszawski.

wziął. — Dzieci ciekawe by były czytać twoie listy, a ponieważ im do tego nigdy nie przyidzie bo te tylko ia sobie i to sobie cicho w duszy codzień czytam, — Ludwika się dąsa tem bardziey żem iey powiedział że ukłonu dla niey niema. Jutro Rossyiska Wielkanoc, nie będę na żadnem święconem. Jeszcze żadnych świąt tak mało nie iadłem nawet u Pruszaków na święconem w poniedziałek czy w niedzielę iuż nie wiem, gdzie huk ludzi i szynek, bab itd. nawet na obiedzie nie zostałem. — Zabierało się na duży obiad, Kasztelan Lewiński, Alfons, Mleczkowie, Dziewanowski, który mi się nieznośny zdawał, wszystko to tam było. N. mię prosił żeby mu synka do chrztu trzymać; — niemogłem odmówić tembardziey że to iest życzenie tey nieszczęśliwey która odieżdża do Gdańska. Pruska ma być moią kumą. Jest to niby sekretem, przed moimi rodzicami którzy niby o tem niewiedzą. — Wiesz żem | w przeszłym tygodniu zrobił sobie proiekt iechania do Ciebie na tydzień ale na niczem się skończyło tem bardziey że mię nagli robota; trzeba pisać na gwałt. Niezawodnie ieżeli będziesz podczas Seymu w Warszawie trafisz na móy koncert — mam iakieś przeczucie, — ieszcze iak mi się wyśni, zupełnie wierzyć będę, bo mi się często śni o Tobie. Ileż to razy biorę ia noc za dzień a dzień za noc; ileż razy żyię we śnie a śpię w dzień, gorzey iakbym spał bo zawsze iednak czuię; a zamiast sił nabierać w tem odurzeniu tak iakoby we śnie, ieszcze się męczę i słabieię — proszę Cię kochay mię

F. Chopin

Rodzice Ci się ślicznie kłaniaią, rakolin (?) i dzieci i Żywny. —

Warszawa 15 Maja w Sobotę

Naydroższe życie moie!

Dziwno Ci było zapewne że Fryc Ci zaraz na twóy list odpowiedzieć nie raczył, ale niewiedziałem tego o co mi się w tamtym liście pytasz, zatem musiałem się zatrzymać. Dowiedz się więc moia duszko że Panna Sonntag niezawodnie w czerwcu a może ku końcowi maja przyieżdża. | Dowiedz się że Panny G i W[1]) podczas Seymu niezawodnie na mocy reskryptu wydanego przez Jw. Ministra Mostowskiego wystąpić maią iedna w Agnieszce Paera, a druga to iest W. w Turku. Jakże ci się zdaią te wybrane opery? — Byłem wczoray na wieczorze u Soliwy, gdzie prócz Sauvanów, Gresserów, prawie nikogo nie było, — śpiewała G. aryę umyślnie dla niey do opery przez Soliwę dorobioną, która ma być iey popisowym kawałkiem, istotnie ładne są mieysca i czasem trafił do iey

---

[1]) Gładkowska i Wołkow.

głosu. — W Turku ma śpiewać W, także iedną aryą, dla popisania się, stosowną do iey głosu; arya ta iest Rossyniego zrobiona dla iedney ze sławnieyszych śpiewaczek, występuiącey w tey operze. Dobrze ią śpiewa. Jak przyiedziesz to się przekonasz. — Już też myślę że nie opuścisz sposobności słyszenia P. Sonntag. — Jakże ia tey Pannie Sonntag dziękuię! — | Już ma być w Gdańsku a ztamtąd do nas iedzie. -- Ale na mnóstwo muzyk zabiera się u nas. I Pan Woerlitzer, pianista jego kr. pruskiey mości iest tu iuż od 2-ch tygodni. Ładnie bardzo gra mały. Jest to żydek a zatem z natury bardzo poiętny i dobrze się wyuczył kilka rzeczy które nam dał słyszeć. Był u mnie. Jestto nawet ieszcze dziecko, ma lat 16. Jego fort są Waryacye Moschelesa na marsza Alexandra. Gra ie doskonale, zdaie się że nic niepozostaie do życzenia. Dwa razy dał się słyszeć publicznie, oba razy grał te Waryacye. Jak go usłyszysz będziesz z jego gry kontent, chociaż ieszcze między nami mówiąc wiele mu brak na tytuł iaki nosi. — Jest tu ieszcze drugi Francuz JPan Standt myślał dać koncert; był u mnie i namyślił się odstąpić swoiego zamiaru. — Ale iedna z pociesznych muzycznych nowin jest ta że Pan Plachetka [1]) oyciec tey fortepianistki pisał do mnie z Wiednia że przyiedzie ieżeli ia mu radzę na Seym przyiechać. Delikatna materya. Niemcowi się chce pieniędzy, a ieżeli przypadkiem nadzieia go omyli, miałby do mnie żal, odpisałem zatem natychmiast: „Że iuż oddawna byłem zapytywany czyli on tego woiażu nie przedsięweźmie, i że wiele osób a szczególniey cały świat muzykalny życzy sobie tego, — lecz obok, delikatnie wystawiłem, że Panna Sonntag będzie, że Lipiński przyiedzie, że iest ieden teatr, w nim koszta przenoszą 100 talarów, że bale będą bywać, że Zielone Świątki nadchodzą, że spacerów dużo itd. itd. żebym niemiał sobie nic do wyrzucenia. — Może być że przyiedzie; — ia bym się cieszył, a dla niey bym wszystko zrobił z moiey strony choćby przyszło grać na 2 pantaliony, bo nieuwierzysz ile ten Niemiec był dla mnie dobrym w Wiedniu. — | Kostuś w Częstochowie z Matką, wracaią w przyszły tydzień, a pierwszego czerwca niezwłocznie udaie się z Hubem przez Berlin do Paryża gdzie zabawiwszy 2½ czy 3½ miesiąca przez Szwaycaryą do Włoch się puszczaią. — | Co z moią podróżą to teraz niewiem co się stanie. Ja myślę | że ia zamiast za granicę tego roku to się febry doczekam i po wszystkiem będzie. | Czerwiec przesiedzę, — lipiec przesiedzę, nawet mi się nie będzie chciało wyiechać dla, iuż wiesz pewno że dla niczego iak tylko dla gorąca; opera Włoska w Wiedniu dopiero się we wrześniu iak mówił wczoray Henneberg rozpocznie, zatem niema poco się i spieszyć, tem bardziey że Rondo do nowego koncertu nieskończone, — a do tego trzeba weny, — nawet się z nim nie spieszę, bo maiąc pierwsze Allegro o resztę się nie troszczę. | Mogę znów grać koncert, bom ieszcze moich Waryacyi

[1]) Blahetka

nie grał, a te ile mi Blachetka w liście doniósł nie dawno wyszły i Halslinger z niemi do Lipska na Jarmark Wielkanocny poiechał. Spodziewam się, iak Magnus wróci z Wiednia (poiechał bowiem do Gallicyi za własnemi interesami, a z tamtąd miał się udać do Wiednia) to mi ie przywiezie. | Adagio od nowego Koncertu iest E dur. | Niema to być mocne, | iest ono więcey romansowe, spokoyne, melancholiczne, powinno czynić wrażenie miłego spoyrzenia w mieysce gdzie stawa tysiąc lubych przypomnień na myśli. — Jest to iakieś dumanie w piękny czas wiosnowy ale przy xiężycu. Dla tego też akkompaniuię go sordinami. | To iest skrzypcami przytłumionemi gatunkiem grzebieni które okraczaiąc strony, daią im iakiś nosowy, srebrny tonik. | — Może to iest złe ale czemu się wstydzić źle pisać pomimo swoiey wiedzy, — skutek dopiero błąd okaże. — W tem zapewne miarkuiesz moią skłonność do czynienia źle pomimo woli. Tak iak pomimo woli przez oczy wlazło mi coś do głowy i lubię się tem pieścić, może naybłędniey. Ty mię zapewne rozumiesz. — | Trzymałem też N. z Panią Pruską synka do chrztu, który został adoptowanym; — nieuwierzysz iaki ładny chłop. — Panna Dupont dziś rano o godz. 7-mej poszła za mąż za Pana Cechowskiego, brata Pani Skrodzkiey. — Bixel doktor, ów stary 63 letni doktor ożenił się ze swoiey żony nieboszczki siostrzenicą panną 17-letnią. Cały kościół był napełniony ciekawymi, a Pannie młodey dziwno było że iey tak żałuią, — wiem to z ust Panny druchny Moriolówny gdzie zaraz iak tylko list na pocztę odniosę idę z wizytą bo przysyłała; — wiesz że to moie amory do których ia się przyznaię bardzo chętnie a zatem trzeba być posłusznym, i szanować pokrywki skrytych uczuć. — Wiesz, żem niemyślał o sobie żebym mógł być tak skrytym ile iestem, kiedy niemam serca Tobie powierzyć tego co mi dolega.[1]) — Dzisiay iestem na teatrze. JPan Smochowski nowy tragik ze Lwowa wystąpi w Teresie sierocie z Genewy w roli Werowskiego. Nie mam wielkiey nadziei o iego grze, ale zobaczę co to tam będzie. — Mówią że Pasta przyieżdża ale o tem wątpię. — Pewnieysze są wieści o sławney (wprawdzie iuż trochę przeszłey) śpiewaczce Pani Milder Hauptmann. Romberg także niby spodziewany. Niech sobie przyieżdżaią ia się na ciebie staram (?) i mam nadzieię, że będziesz tą razą na moim koncercie. Myślę że w końcu maia to iest za 2 tygodnie w domu sprobuię pierwsze Allegro. Na początku czerwca zaś gram żeby się pozbyć tego przed rozpoczęciem ogólnych zabaw przez Kuryera zapowiedzianych. | Piszże mi więc kiedy Ty pewno będziesz w Warszawie, bo iuż by mi przykrzey było niż pierwszą razą żebym miał bez Ciebie odbyć akt popisowy. Nie, Ty nie wiesz, ile Cię kocham, niczem Ci

---

[1]) Wszystko alluzye do uczucia względem Konstancyi Gładkowskiej.

tego okazać nie mogę — a iuż tak dawno chcę żebyś o tem wiedział. Ach żebym Ci mógł rękę ścisnąć cobym dał za to nie zgadłbyś..., połowę życia nędznego —

F. Chopin

| Układu koncertowego nie donoszę Ci bo ieszcze go nie wiem. Teichmanna będę się starał mieć. On iuż na 2-gim moim koncercie miał śpiewać duet z Armidy z Maierową, bo w solu boi się wystąpić, ale na nieszczęście przed tygodniem wówczas śpiewała ten duet Cymmermannowa z Polkowskim, więc sobie Kurpiński nieżyczył żeby to samo iakby dla pokazania że lepiey umieią zaśpiewać. Tylem napisał a ieszcze chciałbym więcey pisać. Miałem Ci posłać ieszcze nowego walca tak dla zabawki, ale iuż na przyszły tydzień go odbierzesz.
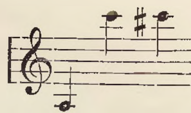
Rodzice i dzieci ślicznie się kłaniaią. Pan Żywny także się w to liczy. — |

Sobota dn. 5 Czerwca 1830

Naydroższe życie moie!

Straciłeś 5 koncertów Panny Sonntag! — Ale nie żałuy, bo ieszcze się iey nasłuchasz ieżeli prawda że 13-tego przyieżdżasz. Trzynastego wypada podobno w niedzielę i właśnie iedziesz kiedy ia będę próbował w domu pierwsze Allegro 2-go Koncertu korzystając z niebytności Panny Sonntag która mi wczoray sama ślicznemi swoiemi usteczkami mówiła że wyieżdża do Fischbach na wezwanie JKróla pruskiego. Nieuwierzysz ile miałem przyiemności w poznaniu bliższem, to iest w pokoju na kanapie, bo wiesz że się w więcey nie wdaiemy, tego posłańca boskiego iak ią słusznie niektórzy zapaleńcy tuteysi nazwali. — X-że Radziwiłł prezentował mię iey iak naypiękniey za co mu prześlicznie wdzięczny iestem. — Przez ten iednakże tygodniowy iey pobyt u nas niebardzo korzystałem z moiey znajomości ponieważ widziałem iak umęczona zawsze była dziwno-nudnemi wizytami Kasztelanów, Senatorów, Woyewodów, Generałów i Adjutantów, którzy na to tam siedzieli aby iey w ślipki zajrzeć i o pogodzie rozmawiać. Ona ich wszystkich naygrzeczniey przyimuie, bo iest tak dobrą z duszy że niemogła by być niegrzeczną, wczoray iednakże ażeby na próbę mogła do teatru poiechać musiała się aż zamknąć w pokoju dla włożenia kapelusza na głowę, bo lokay w przedpokoju nie da sobie rady z meldowaniem. — Niebyłbym u niey ani razu ale mię żądała widzieć z powodu iednego śpiewu który iey Radziwiłł aranżował a mnie polecił do rozpisania. Są to waryacye na dumkę ukraińską, temat i koniec ładne, ale środek mi się nie podoba, ani też Pannie Sonntag, który cokolwiek zmieniłem ale zawsze nie tęgo.— Kontent iestem że po dzisieyszym koncercie iedzie, ponieważ kłopot mi

z głowy zeydzie, a tymczasem może Radziwiłł na koniec Seymu nadjedzie, i zrenonsuie swoim waryacyom. — Panna Sonntag, nie iest piękna, ale ładna do naywyższego stopnia. Czaruie wszystkich swoim głosem który nie bardzo iest wielkim bo tylko nam go zwykle daie słyszeć od: ale iest nadzwyczay wyrobiony; iey diminuenda są non plus ultra, iey portamenta śliczne a gammy szczególniey chromatyczne do góry przepyszne. Śpiewała nam Merkadantego aryę bardzo, bardzo, bardzo ładnie, Waryacye Rodego szczególniey roladową ostatnią przedobrze; waryacye na temata szwaycarskie tak się podobały że wywołana na podziękowanie zamiast wielkich dygów ieszcze raz ie zaśpiewała! Jest to dobroć nie do opisania. Wczoray z Waryacyą Rodego toż samo było. Śpiewała nam Cavatiny z Cyrulika tę sławną i ze Sroki [1]), różnicy możesz się domyślać od wszystkiego coś teraz słyszał. Śpiewała tę aryę z Freyszyca co to wiesz, nadcudnie. — Byłem też raz także u niey kiedym zastał Soliwę z Pannami, — śpiewały przy mnie ten iego duett co to, coś, barbara sorte na końcu ten major, iuż wiesz; — mówiła im Panna Sontag że ich głosy są przekrzyczane i że metodę maią dobrą ale trzeba żeby inszym sposobem głos wydobywały ieżeli niechcą go zupełnie po 2-ch latach stracić. — W oczy przy mnie powiedziała Wołkownie że ma wiele łatwości, wiele pięknych manierów ale „une voie trop aigue" i prosiła ich bardzo żeby częściey u niey bywały, co im ile możności pokaże swoie sposoby. — Jest to grzeczność nadnaturalna — jest to koketerya do tego stopnia posunięta że zupełnie iuż w naturalność przechodzi, bo niemożna przypuścić żeby człowiek mógł zostać tak naturalnym nie znaiąc wszystkich resursów koketeryi. — W rannym stroju milion razy ładnieysza i przyiemnieysza iak w sukni galowey w wieczór, chociaż ci którzy iey rano niewidzieli przepadaią za nią. — Jak wróci będzie dawać swoie koncerta aż do 22, po którym myśli się udać iak to z iey ust wiem do St. Petersburgu, — spiesz więc, przyieżdżaj żebyś więcey nie stracił nad te 5 koncertów. — Mówią bardzo że i Pasta przyieżdża. Maią razem śpiewać. — Jest też tu nieiaka Panna Belleville Francuzka bardzo ładnie gra na fortepianie, nadzwyczaj lekko, elegancko 10 razy lepiej od Voerlitzera; we środę daie koncert. Znaydowała się u dworu na tym sławnym wieczorze muzykalnym gdzie była Panna Sonntag. Dwie Panny popisywały się. Był i Voerlitzer ale się nie tak podobał, co wiem z ust Kurpińskiego który u dworu Pannie Sonntag akkompaniował. Dziwili mi się ludzie czemu ia nie byłem ale ia się niedziwiłem. — | Pruszak Kocio iedzie dziś o 4-tej po południu z Hubem. Odprowadza ich Pani Pruszak z Olesią i resztą aż do Łowicza, ztamtąd iadą własnemi końmi | do Kalisza a ztamtąd extrapocztą daley. — Ale ieszcze trochę o Sonntag. — Ma niektóre broderye zupełnie w nowym rodzaiu, któremi ogromne



[1]) Sroka złodziej La gazza ladra opera Rossiniego.

robi wrażenie, ale iednak nie takie iak Paganini. Może to dlatego że rodzay mnieyszy. Zdaie się że ona chucha na parter iakąś wonią z nayświeższych kwiatów i pieści, rozkosznie, głaszcze, ale rzadko wzrusza do płaczu. — Powiedział Radziwiłł że Desdemony scenę ostatnią w Otellu tak gra i śpiewa że nikt się od łez wstrzymać niemoże. Właśnie iey o tem mówiłem czyby nie chciała tey sceny nam w kostiumie zaśpiewać (bo ma być doskonała aktorka przy tem), odpowiedziała mi że prawda, widziała często łzy w oczach spektatorów, ale ią męczy grać na scenie, i dała sobie słowo iak nayrzadziey występować w rolach. — Przyiedź tylko wytchnąć po wieyskich mozołach | na łono przyjaźni | panna Sonntag i zaśpiewa Ci nabierzesz tym sposobem nowych sił do zatrudnień swoich. Jaka szkoda że ia zamiast listu sam się posłać nie mogę. Tybyś mię może nie chciał ale ia Ciebie chcę i czekam z ogolonemi wąsami

F. Chopin

Panna Sonntag dziś coś z Semiramidy śpiewa. — Jey koncerta są krótkie, zwykle 4 razy śpiewa i między tem nikt nie gra prócz orkiestry i istotnie potrzeba odpoczynku po iey śpiewie, tak zaymuie. — | Panny z Konserw. nie wystąpią w tym miesiącu. |

Panna Belleville, grała drukowane moie Wary. w Wiedniu, i iednę nawet umie na pamięć. | Szkoda że iuż nie ma gdzie pisać bo mi się wstać od listu oderwać od Ciebie nie chce, — czy Ty mię też kochasz?

Ponieważ tak przebiia papier więc przymuszony iestem zrobić kopertę.

Papa, Mama, dzieci, Żywny i wszyscy.

Gąsie mówi, że iak przyiedziesz to Ci powie to co miał napisać. |

Warszawa Sobota 21 Sierpnia 21/8 830

| Obrzydły Hipokryto! |

Drugi to list móy co do Ciebie piszę, — nieuwierzysz, powiesz że Fryc łże, ale tą razą iestem szczery. — Szczęśliwie wróciwszy z Baronem do Warszawy zaraz pisałem do Ciebie ale ponieważ Rodzice byli w Żelazowey Woli więc bardzo naturalnie że i ia długo w Warszawie nie bawiąc zostawiłem list do Ciebie który miał być oddany na pocztę; wróciwszy powtórnie iuż z Rodzicami we wtorek zastałem list do Ciebie pisany szczęśliwie na tem samem mieyscu przy filiżankach gdziem go odieżdżaiąc zostawił. Karol który podczas moiey niebytności był u nas, mówił mi że widział ten list na filiżankach. Niema tego złego coby na dobre nie wyszło. Może w tym liście nie będę Ci tyle wymyślał ile w tym pierwszym, gdym świeżo w umyśle miał twoie awantury poturzyńskie. — Szczerze Ci powiem że mi przyiemnie wspomnieć na to wszystko — iakąś tęsknotę zostawiły mi twoie pola, — ta brzoza pod oknami niemoże mi wyiść z pamięci. Owa arbaleta! — Jak to romansowe! Pamiętam ia tę arbaletę coś Ty mię

za nią wymęczył, — za wszystkie grzechy. — Ale trzeba Ci zdać sprawę z upłynionego czasu, trzeba Ci donieść kiedy niezawodnie wyieżdżam, trzeba Ci wiele rzeczy potrzebnieyszych pisać. — Aniela [1]) nayprzód mnie w Warszawie zaięła. Byłem na wystawieniu. — Gładkowskiey mało brak. Lepiey iest na scenie iak w sali. Nie mówię o grze tragiczney, wyborney, bo niema co powiedzieć, — co się zaś śpiewu tycze żeby nie te fis, i g, czasem u góry nietrzeba by nam w tym rodzaju nic lepszego. Jak frazuie, — tobyś się rozkoszował, cieniuie paradnie a chociaż z początku na weyściu głos się trząsł, później bardzo śmiało śpiewała. Opera była skrócona. Może dlatego nieznalazłem u niey błędu długości nudzącey. — Arya Soliwy, nay większy effekt w drugim akcie robi, wiedziałem że może zrobić effekt, ale tak wielkiego nie spodziewałem się. Romance które śpiewa w drugim akcie przy Harfie | (Ernemann za kulisami na fortepianie za nią gra bez szkodzenia illuzii). | ostatnią razą bardzo ładnie odśpiewała. Byłem zadowolony. Na końcu przywołano Anielę i rzęsistemi okryto poklaskami. Od dziś za tydzień iest wstęp na scenę Fiovilli w Turku [2]). Wołków lepiey się podoba. Trzeba Ci wiedzieć że Aniela strasznie ma wielu antagonistów, którzy niewiedzą sami dlaczego ganią muzykę. — Nie przeczę że mógł był Włoch wybrać coś lepszego dla Gładkowskiey. Jako to Westalka może by iey więcey była szczęścia przyniosła, — ale i to iest ładne i wiele ma rzadkich piękności i trudności przedziwnie przez debutantkę oddanych. | Szczurowski iest straszny; jakiś Talma, Kemble, Devirent, i Żółkowski przebiiaią się przez niego, niewiedzieć co to iest, ale waryat doskonały. — Zdanowicz, podług Soliwy iest non plus ultra. Salomonowicz nieszczęśliwa, Nawrocka ciągle cedzi, a Żyliński trawi na scenie. — Jeszcze wczoray na próbie Turka, gniewał mnie swoią zimną duszą iak kiie wyliczał Turkowi. — Wołków śpiewała dobrze, gra także bardzo dobrze, — rola to którą ona niezawodnie grać by i na prawdę potrafiła. Oczyma może więcei zrobi na publiczności niż gardłem. Do D wysokiego kilka razy bierze bardzo czysto i śmiało. Niemam wątpliwości, że lepiey się podoba od Gładkowskiey. — Kwintet paradnie szedł. Jenerał [3]) się radował. Kostuś w Frankforcie z Kinclem i na Mediolan, Triest, Wiedeń wracaią. Hube został ieszcze i dopiero 15-go przyszłego miesiąca będzie w Rzymie. | Ja co robię? — Na przyszły miesiąc dn. x wyieżdżam wprzód iednakże muszę mόy Koncert spróbować bo iuż Rondo skończone. | Jutro Kaczyński i Bielawski są u mnie. Rano o 10-tej incognito przy Elsnerze, Ernemannie, Żywnym i Linowskim, probuię mόy Polonez z Violoncellą i Trio. Będziemy grać do zabicia. Dla tey przyczyny nikogo nieprosiłem prócz wyżey wymienionych i Ma-

[1]) Aniela opera Paera przedstawiona w Warszawie po raz 1-szy 24 lipca 1830 r.
[2]) Turek we Włoszech opera Rossiniego (pierwszy raz w Warszawie 17 marca 1824 r.)
[3]) Jenerał Różniecki ówczesny prezes dyrekcyi sądowej teatru.

tuszyńskiego, który mi tylko został zawsze poczciwy nie taki fałszywy Hipokryta, Szelma, Łaydak iak, domyśl się kto! — Kostuś mi się kazał kłaniać przez Panny Palczewskie. Pruszakowa w Marienbad, — poiechali tam pić wody i Mleczko także. Móy ulubiony Pietruś Dziew. został na drodze w Reinertz i tam serwatki używa. — Oborskiego widziałem na Rozmaitościach, — dobry był. — Walery z brillantowemi guzikami z bankierską miną faraonuie po ulicach. Wincenty zawsze dobry doskonały taki iak był dobry urzędnik. Łączyńskiego co u Ciebie pewno ieszcze siedzi iakbym ia zrobił gdybym był na jego mieiscu, widziałem nazaiutrz po przyieździe do Warszawy, pewno Ci mówił. Baron odsiaduie kadencyą, u Contego stoi i razem go dopiero widział od czasu powrotu, matka ciągle bardzo źle, wiem z iego ust. Kasztelana widziałem wczoray; mówiłem z nim o Tobie. — Karol iuż zapewne wyiechał, bo miał wrócić do dóbr. — Dziś Hamlet, idę na niego. Wczoray Panna Rywoli nowa Krowa wystąpiła, w roli (Olesi Pruszak) tłomaczoney przez Gaszyńskiego les premiers amours. Twoią rolę gra Niwiński dobrze, rolę Kocia gra Jasiński lepiey od Kocia, rolę moią gra Szymanowski nieledwie tak iak ia, strasznie daleko od Herocha, a Kratzer iak żyie nie wymyślił lepszego środka na wypędzenie szczurów. Kucharski przeciw temu c'est du Cherubini. — Spieszę się bo sam na pocztę odniosę list żeby i ten biedak niezostał iak iego brat w domu. — Na przyszły tydzień znów nie będę się mógł wstrzymać żeby Cię nie wyłajać za to co dziś miałem napisać a zatem dosyć. — Niechce od Ciebie niczego nawet uściśnienia ręki, iuż na wieki obrzydłeś mi poczwaro piekielna. Day buzi.

F. Chopin.

Jeżeli są iakie listy do mnie odeśliy ie retro. — Daruy com pisał, — bo dziś ieszcze iestem głupszy iak zawsze. Papa i Mama i siostrzyczki wszystko Ci się ślicznie kłania. |

ieszcze Warszawa, we wtorek 31/VIII 30

Naydroższy Tyciu!

Już też mi potrzeba było twego listu, — katar straciłem odebrawszy go. — Oby moie listy także iakie zbawienne skutki mieć mogły! | żeby przeczytawszy ie można tracić fałszywość i hypokryzyę, iakżeżbym się cieszył. Ale co ten list, iestem pewny że tego skutku nie uczyni i owszem ile mi się zdaie do nowych występków pobudzi, gniew w tem lwiem sercu zrodzi, i dobrze żem o 40 mil, bo by może inaczey cała srogość zemsty natychmiast się na mnie wywarła. Prze-

winienie wielkie ale miłe sercu przewiniaiącemu; | siedzę w Warszawie — a iak Cię kocham, nic mnie za kray nie ciągnie. Możesz mi wierzyć że w przyszłym tygodniu to iest we wrześniu, (bo jutro 1) wyiadę — ale wyiadę dla zadośćuczynienia memu powołaniu i rozsądkowi, (który musi być bardzo mały, kiedy nie ma dosyć siły na zniszczenie wszystkiego innego w mey głowie). — Zbliża się do drogi, bo iuż w tym tygodniu mam cały koncert próbować w kwartecie, dlatego żeby nayprzód ten kwartet mógł się porozumieć ze mną — trocha oswoić, bez czego Elsner powiada, próba z orkiestrą odrazu nie przyszłaby do ładu. Linowski przepisuie na gwałt, ale iuż Rondo zaczął. Trio próbowałem w przeszłą niedzielę, nie wiem może dlatego żem go dawno nie słyszał, alem był dosyć kontent z siebie (szczęśliwy człowiek!) tylko mi ieden koncept przyszedł do łba, żeby zamiast skrzypców użyć altówki, albowiem u skrzypców kwinta naywięcey rezonuie a tem na niey naymniey się gra, altówka będzie mocnieyszą przeciw Violoncelli która jest w właściwey swoiey sferze pisana, i to do druku. To o mnie. Teraz o drugich muzykantach — | powiesz że i tu trzymałem się prawideł egoizmu przez Ciebie mi podanych. | Soliwa wysztyftował na przeszłą sobotę pannę Wołków, która swoią kokieteryą, grą dobrą, i ładnemi bardzo oczkami i zębami wszystkie fotele i parter oczarowała. Tak była ładna iak żadna z naszych aktorek, ale w pierwszym akcie iey głosu poznać nie mogłem. Weszła suto ubrana spacerem na brzeg morski:... z lornetką w ręku, oczyma strzelała... wykręcała się tak smacznie, że niktby nie uwierzył że to debutantka. Pomimo iednakże ogromnego brawa i krzyku tak się zlękła żem ią dopiero w drugim akcie poznał w aryi odśpiewaney ieszcze nie tak dobrze iak na drugiey onegdayszey reprezentacyi, gdzie już i pierwszy akt inaczey poszedł. Co się tycze śpiewu, Gładkowska jest bez porównania wyżey i widząc Wołków na scenie nie spodziewałem nawet takiey różnicy. Z Ernemannem zadecydowaliśmy że nie będzie drugiej Gładkowskiey co się tyczy czystości i intonacyi i czucia wyższego iakiem iest przeięta na scenie. Wołkównie czasem się uda sfałszować, gdy tymczasem tamtą także 2 razy słyszałem w Anieli a iedney nutki wątpliwie nie wzięła. Widząc onegday twoie komplementa odrecytowałem, za co Ci bardzo dziękować kazały. Przyięcie Wołków ile mi Celiński mówił było świetnieysze iak przyięcie tamtey drugiey, co musi Włocha obchodzić, bo mi wczoray powiedział że nie chciałby żeby się ta lepiey od tamtey podobała, ale widzi że tak będzie. To iednakże należy przypisać Turkowi a raczej Rossiniemu który na naszey publiczności oczarowaney ieszcze do tego i stroiem i tem co pod stroiem młodey dziewczyny, większe czyni wrażenie od wszelkich żalów nieszczęśliwey córki i najpięknieyszych uniesień Paera. Gładkowska wkrótce ma w Sroce wystąpić, to „wkrótce“ iuż pewno wtenczas nastąpi kiedy ia iuż za okopami będę. — Ty może wówczas znaydziesz się w Warszawie to mi powiesz twoie zdanie. Trzecia iey rola ma być w Westalce. | Wołków co grać będzie nie wiem.

Byłem też onegday w Obozie u Jen. Szembeka po raz wtóry. Trzeba Ci wiedzieć że on zawsze w Sochaczewie konsystuie i z Michałem się umówił żeby mnie do niego zawiózł. Gdy to iednak nie przyszło do skutku, Czaykowskiego, brata tey panny Czaykowskiej co to gra i mgleie, adiutanta, nasłał i mnie tam do niego wzięli. Szembek iest bardzo muzykalny, gra dobrze na skrzypcach, kiedyś u Rodego się uczył i iest zabity Paganinista a zatem do tey dobrey kasty muzykantów należy. Kazał muzyce swoiey wystąpić, która się całe rano exercytowała i dziwne rzeczy słyszałem. Wszystko to na trombach zwanych Bugla; ani byś pomyślał że robią gamy chromatyczne iak tylko można nayszybszey i diminuendo na dół. Ażem musiał chwalić solistę, który biedak iuż niedługo widzę służyć będzie mógł, bo iak suchotnik wygląda a młody ieszcze dosyć. Zastanowiło mię to bardzo, iakiem Cavatinę z Niemey na tych trombach ze wszelką akuratnością i cieniowaniem usłyszał. Ma on fortepian w obozie i nie wiem zkąd ale mnie dalibóg zrozumiał, nie udawał. Adagio na nim naywiększe wrażenie sprawiło, nie dał mi pokoiu ażem się na Turka spóźnił. A propos w berlińskiey iedney gazecie iest artykuł bardzo głupi o muzyce w Warszawie. Gdzie naprzód mówi o Anieli, chwali ią bardzo słusznie, tak co do śpiewu, czucia, iakoteż co się gry tycze i potem tak daley pisze: „ta młoda artystka wyszła z instytutu założonego pod przewodnictwem Panów Elsnera i Soliwy. Pierwszy z nich profesor kompozycyi, utworzył kilku uczniów a między innymi Panów Orłowskiego, Chopin i innych, którzy z czasem mogą się przyczynić do itd. itd. Niech diabli porwą takiego kompana. „On vous a joliment collé“ powiedział mi fredonuiący z czerwonemi oczyma Bouquet, a Ernemann dołożył że powinienem sobie mieć za szczęście na drugiem mieiscu siedzieć. Artykuł ten nic więcey o tych uczniach nie pisze i zaraz potem kończy: „co się tycze ocenienia prac JPanów, Elsnera, Soliwy i Kurpińskiego na późniey sobie zostawiamy“. Kompletne głupstwo iakiegoś mądrego Warszawiaka. Byłbym zapomniał ieszcze o Rinaldim — na miłość boską albo mi przez Łączyńskiego albo inaczey przyśliy tę książkę, bo mi Włoch pokoiu nie da; diabli porwali żem zapomniał na odieździe z Państwa Poturzyńskiego o tey książce. Kostuś w przyszłym miesiącu ma być we Wiedniu z Kimlem, tak mi stary Pruszak powiedział, późniey złączy się z matką w Dreźnie i do Warszawy wróci, gdy tymczasem Hube we Włoszech buiać będzie. — Aż mie czoło boli iak sobie na Włochy wspomnę, zdaie mi się że...

Dosyć tego głupstwa; daruy kochanku, żem Ci sam nie wiem co,

tak iak zawsze napisał, ale Ty masz dosyć dochodu z hreczki żeby zapłacić za list choćby w nim nic nie było nad papierek z rąk moich i nad móy podpis którym to podpisem piekielny coregraf za Ciebie naznaczyć zawsze gotów iestem. Skarżyńskiego Win. długo wczoray widziałem. Kocha Cię, dopytywał się bardzo o Ciebie. Wszyscy o Olesi a nikt o ktosiu mi nie gada. A mnie cieszy że w mem sercu utopiła się taiemnica, że we mnie koniec tego, czego u Ciebie początek. Ty się ciesz że ze mnie masz przepaść w którą wszystko bez obawy rzucać możesz, — iakby do drugiego siebie — bo twóy duch dawno tam na samem dnie leży. Twoie listy chowam iak wstążeczkę od kochanki. Mam wstążeczkę; napisz do mnie, ia się znów za tydzień z Tobą popieszczę.

Twóy na zawsze

F. Chopin |

Rodzice i Siostry nayszczersze pozdrowienia. Ludwika Ci dziękuie za powinszowanie które iey odczytałem. Żywny Cię kazał uścisnąć, znaiomi iako Max, Soliwa itd. ukłony. |

Jeszcze mi tego papieru żal; wystaw sobie kiedy też Panna F. chce koniecznie żebym ia się do niey brał, uczył grać na fortepianie i tam d... Papa nie od tego, bo mię kilka razy do niey wypychał, bywa u mnie, ale do niey nie mam apetytu. Biedna dziewczyna musi koncerta grać a nic nie umie, ia iey radziłem Ernemanna a Ernemann nie chciał i Dobrzyńskiego poradził — powiada że ona z Litwy i tamten z Litwy, dobiorą się. To są facecye. |

Sobota podobno 4ty [4/9 830]

Naydroższy Tyciu!

Powiadam Ci hypkryto że iuż mnie szały napadaią mocnieysze iak za zwyczay. — Jeszcze siedzę, — nie mam dosyć siły do zdecydowania dnia, myślę że wyieżdżam po to żebym na zawsze zapomniał o domu; myślę że iadę umrzeć — a iak to przykro musi być umierać gdzie indziey nie tam gdzie się żyło. Jakże mi to okropnie będzie, widzieć zamiast rodziny zimnego doktora albo służącego przy łożu śmiertelnem, — Wierz mi że nieraz poszedłbym do Hodkiewicza szukać przy Tobie spokoiności, a tak wychodzę z domu idę na ulicę, tęsknię i znów wracam do domu, po co? — po to żeby marudzić. Jeszcze nie próbowałem koncertu, — iakkolwiek bądź przed Śtym Michałem porzucę wszystkie moie skarby i będę we Wiedniu, skazany na wieczne wzdychy. Co to iest to bałamuctwo? — Ty co tak dobrze znasz siłę iego, wytłomacz mi dlaczego się to człeku zdaie, że dziś dopiero iutro będzie? Niebądź głupim, to cała odpowiedź iaką ia sobie dać mogę — ieżeli masz inną przyśliy mi.

| Orłowski w Paryżu, Norblin obiecał mu wyrobić do nowego roku mieysce przy teatrze des Varietés. Le Sueur przyiął go dobrze i obiecał pamiętać o iego wykształceniu muzykalnem. Kollega może dobrze wyiść ieżeli mu się będzie chciało. | Moie myśli względem zimy są takie, że w Wiedniu 2 miesiące a potem do Włoch, choćby zimę siedzieć w Medyolanie. Listy mieć będę. Moriollówna zawczoray wróciła z wód. Ludwik Rembieliński iest w Warszawie, widziałem go u Loursa gdziem z Ernemannem wlazł na dysputę o Turku i Agnieszce Włochu i Polaku. Soliwa precz dyryguie operami w których iego panny wystąpiły, powoli zobaczysz że osiodła Kurpińskiego, iuż ma iedną nogę w strzemieniu a podpiera go dzielny wąsaty kawalerzysta[1]). | Osińskiego ma także na swoiey stronie.

Palstet widział Rastawiecką parę dni przed śmiercią, mówił że wiedziała o swoim stanie. Palstetowa kazała Ci powiedzieć że się gniewa za to żeś mię gwałtem do Telatyna nie zawiózł. Są to babskie przekomarzania się które im od starszej kobiety tem nieznośnieyszemi się staią dla ludzi którzy z jednym ktosiem tylko przekomarzać się lubią.

Dziś na teatrze alpeyscy śpiewacy; iest to coś na kształt tych Tyrolów co to przed 2 laty byli — pamiętasz zapewne. Gresser mi mówił że są gorsi a Kuryer warszawski mówi że lepsi. Nie pójdę dziś na nich, wolę ich w środę słyszeć w Ressursie w Mniszkowskim pałacu. Ma być wieczór duży i tam maią w ogrodzie śpiewać. Proces iaki był między dwoma nogami Ressursy, to jest między Zejdlerem, Zakrzewskim i t. d. a Steinkelerem, Żelazowskim i t. d. mówił mi Win. Skarżyński iż iego strona przegrała, ale apeluią. Oni są miodowi (dlatego że na Miodowey ulicy mieszkaią) a Steinkelerowscy zowią się Mniszkowskimi. Obiaśnienie to potrzebne było żeby Ci powiedzieć że miodowi przegrali ale nieprawnie. Bucholtz skończy swóy instrument a la Streicher, dobrze się na nim gra, lepszy iak iego wiedeńskie, ale daleko do Wiedeńskiego wiedeńskiego. | Dziś na niczem skończę list, ieszcze bardziey niż na niczem, bo iuż na tem com napisał a to z przyczyny że wpół do 12-tej a ja nieubrany siedzę i piszę, gdy tymczasem Moriolka na mnie czeka, potem do Celińskiego na obiad, późniey u Magnuszewskiego obiecałem być i nie miałbym czasu przed 4 przyiść dopisać Ci aż do dołu tę ćwiartkę nad którey próżnością boleię i cierpię a poradzić nie mogę. Cokolwiek Ci piszę zdaie mi się że dobrze robię. Exaltować się w dzisieyszym liście nie mogę, bo iakbym się puścił, Moriolka by mię dziś nie widziała a ia lubię i drugim poczciwym ludziom zrobić przyiemność ieżeli przekonany iestem o ich życzliwości. Jeszcze nie

---

[1]) Jenerał Rożniecki.

byłem po powrocie, a przyznam Ci się że nieraz przyczynę smutku mego na nią zwalę i tym sposobem zdaie mi się że ludzie wierzą i spokoyny iestem po wierzchu. Oyciec się roześmieie coby może zapłakał, — i ia się roześmieię ale także po wierzchu.

Pojedziemy kochanku do Włoch; od dziś za miesiąc z Warszawy listu mieć nie będziesz, może i zkąd innąd listu mieć nie będziesz; dopóty dopóki się nie zobaczemy niczego się o mnie nie dowiesz. — Duby androny, to iedno co potrafię — ale ruszyć się z miasta — i Tobie tak będzie. Doczekam ia Ci się. | Będę odbierał listy: „a to młyn kończę, a to stawiam gorzelnią, a to wełna, a to iagnięta, nareszcie przyidzie drugi siew,“ a to będzie nie młyn, nie gorzelnia, nie wełna co Cię zatrzyma, tylko... będzie to coś innego. | Niezawsze człowiek kontent; może kilka chwil w życiu ma się tylko cieszyć i czemuż odrywać się ieszcze od tych złudzeń które i tak długo trwać nie mogą. — Jak za nayświętszą rzecz uważam związki towarzyskie z iedney strony, tak z drugiey strony utrzymuię że to diabelski wynalazek i lepiey by było żeby ludzie na świecie nieznali pieniędzy, melszpyzów, butów, kapeluszów, byfsztyków, naleśników i t. d. iak że ludzie to wszystko znaią. To iuż wypadek naysmutnieyszy z moich rozumowań, wiem że i ty iesteś tego zdania żebyś był wolał niepoznać. Idę się umywać, nieżałuy mię teraz bom się ieszcze nie umył, — Ty? chociażbym się oleykami wysmarował byzantyskimi, niepocałowałbyś, gdybym ia Ciebie magnetycznym sposobem do tego nieprzymusił. Jest iakaś siła w naturze. Dziś Ci się śnić będzie że mnie całuiesz! Muszę Ci oddać za szkaradny sen iakiś mi dziś w nocy sprowadził.

F. Chopin | na zawsze amator Hypokryzyi personificzney. A propos: pisz do mnie i o Rinaldim pamiętay, przytem nic więcey.

Mama i Papa śliczne ukłony Tobie przysyłaią. Dzieci aż z góry zeszły żebym niezapomniał i proszę napisz żem zapomniał od nich Ci się kłaniać. Żywny zawsze mi przypomina o swoim ukłonie. Włoch Soliwa mi się pytał kiedy będziesz w Warszawie i kłania Ci się mocno. Lindowa w Gdańsku. Twey siostry w Warszawie niewidziałem. Platerowa wróciła. |

Warszawa dn. 18 Września 1830

| Naydroższe życie moie! Hypokryto obrzydły! Przemierzły, obmierzły Hrabio Ory! Abelardzie, i t. d. |

Niewiem dla iakich przyczyn jednak ale mi dobrze, i Oyciec iako i Matka z tego kontenci. | Przez Pawłowskiego odebrałem list i książkę, niemogłeś lepiey zrobić iak tę książkę odesłać, bo mi Włoch głowę na ulicy zawsze kłopotał. | Próbowałem zeszłey środy móy Kon-

cert w kwartecie. Kontent byłem ale niebardzo, — mówią ludzie, że ostatni finał nayładnieyszy, (bo nayzrozumialszy). Jak się wyda z orkiestrą napiszę Ci w przyszły tydzień, bo w tę środę go spróbuię. Jutro ieszcze raz w kwartecie chcę zrobić. — Jak spróbuię to poiadę, ale dokąd, kiedy iakoś nigdzie mnie nic nie ciągnie. W Warszawie iednakże siedzieć niemyślę i ieżeli masz iakie podeyrzenia miłosne, tak iak wielu ludzi w Warszawie, odrzuć ich i przekonay się, że umiałbym wyższym być nad wszystko tam gdzie idzie o moie ia i gdybym był rozkochanym, parę lat dłużey ieszcze bym potrafił ukryć nędzne i niedołężne zapały. | Sądź iak chcesz, iednakże list przez hrabiego, którego onegday na Podwalu spotkałem i przyrzekł przed wyiazdem swoim zaszczycić progi nasze swoią pękatą figurką, naylepiey rzecz Ci wyiaśni. | Niechciałbym z Tobą razem iechać. Niezmyślam ale, iak Cię kocham, tak zginęłaby ta chwila przyiemnieysza nad tysiące dni iednostaynie spędzanych, w których byśmy się pierwszy raz za granicą uścisnęli. Jużbym nie mógł Cię oczekiwać, niemógł przyiąć, nie mógł gadać iak się to mówi wtenczas kiedy ukontentowanie zamknie przystęp wszystkim zimnym wymuszonym wyrazom i serce iedno z drugiem jakimsiś boskim rozmawia ięzykiem. | Boskie ięzyki! Jakie nieszczęśliwe wyrażenie, tak iak boski pępek albo boska wątróbka; to strasznie materialno-brzydkie. — Ale wróćmy się do tey chwili w którey ia Cię tam uyrzę. | W ten czas może bym nieprzeniósł na sobie i wygadałbym co mi się zawsze śni, co mi wszędzie przed oczyma, co nieustannie słyszę i co mi naywięcey w świecie przyjemności sprawia i naywięcey zasmuca. | Niemyśl iednakże żebym miał być rozkochanym, — ia bo to sobie ieszcze na późniey odkładam. |

Zacząłem poloneza z orkiestrą, ale tylko dopiero się cznie[1]) | iest cządek ale początku niema. — O Kamieńskim inaczey się przekonałem iak na wsi sądziłem. I o tem obszerniey przez Pawłowskiego się dowiesz. Dziś albowiem piszę anticipando dla zaspokoienia Cię iż przed Śtym Michałem niepoiadę. To naywyraźnieyszy punkt. Widzę iak ciskasz móy list i czerwienieiesz od złości. Braciszku, nie tak jak chcemy, ale iak możemy. Niemyśl także żeby przyczyny kieszonkowe miały mnie zatrzymywać. Argumenta niewiele ważne, ale tyle ile potrzebuią mieć wagi aby się na coś przydały, z łaski Boskiey są, — i mały o to kłopot. Trudno więc żebym mógł się ochronić od zasłużonego mieysca gazety berlińskiey, szczęście | że wiedeńska inaczey o mnie w recenzyi moich Waryacyi napisała. Jest krótko, ale tak buyne, tak wysoko, głęboko a przytem filozoficznie, że tłómaczyć tego nie można. Kończy, że te Waryacye prócz ozdób zewnętrznych maią wewnętrzną zaletę która zawsze zostanie. — Niemiec mi komplement napisał; iak go zobaczę

---

[1]) U Karasowskiego „czuję"(!)

to mu podziękuię. Jednakże niema nic przesadzonego i tak iest iak ia sobie życzę bo mi tu samodzielność przyznaie. — Żeby nie Tobie, tobym się tak nie rozwodził nad sobą, ale że Ty mnie obchodzisz a ia bym chciał Ciebie obchodzić, więc się zachwalam, tak iak się to kupcy przy towarach często wyrywaią. — Drugie mieysce po Orłowskim nie iest na mnie za wiele ani za mało. Dziś daią po raz pierwszy balet iego nowy z ogromnemi machinami pana Lesbenier. Zapowiadaią awantury. — Wczoray byłem u Cichockiego, tego grubego, na imieninach. Grałem Quintetto Spohra na fortep. clar. fag. valtornię i flet. Prześliczny. Ale strasznie nie w palec. Wszystko co chciał umyślnie na fortepian napisać dla popisu iest nieznośnie trudnem i niemożna często palców wyszukać. Ten kwintet miał być granym o godzinie 7mej a zaczęliśmy go o 11stej. Dziwisz się żem niezasnął! Ale taka ładna panna była co mi móy ideał bardzo przypominała. Wystaw sobie do 3ciej siedziałem. | Quintet był tak późno, bo próba baletu trwała aż do 11tej. Z tego miarkuy co to za ogromny balet. Dziś się nawierzgaią.

Wczoray pisałem do Bartka do Londynu. Antoś Wodziński wrócił z Wiednia. Poiadę tam niezawodnie ale Ci dnia nie mogę naznaczyć. | Już miałem od dziś za tydzień ruszyć diliżansem krakowskim, alem dał pokóy. Wiem że mnie masz za zupełnie wyperswadowanego w tym względzie. Proszę Cię tylko bądź przekonany że i ia o moiem dobrem także myślę i, iak Cię kocham, wszystko temu co się dla ludzi robi poświęcę. Dla ludzi! To iest dla oka ludzkiego, żeby opinia która wiele u nas znaczy, nie przyczyniła się do moiego nieszczęścia, nigdy wewnętrznego, tylko powierzchownego. Albowiem ludzie nazywają często nieszczęściem dziurawy surdut, kapelusz stary i t. p. rzeczy. — Jak nie będę miał co ieść, musisz mnie do Poturzyna za pisarka przyiąć; będę tam koło stayni mieszkał, tak dobrze przy Tobie iak tego roku we dworze. Byle mi zdrowie służyło, — pracować całe życie myślę. Pare razy zastanawiałem się czy ia też leniwy istotnie; czy też ia więcey pracować powinienem, iak mi siły fizyczne starczą. — Bez żartu przekonałem się że ieszcze nieiestem z tych ostatnich wałkoniów, i że potrafię pracować kiedy potrzeba przymusi, ieszcze drugie tyle iak dziś. Przyznasz że się niemogę lepiej oskarżać przed Tobą iak uniewinniając się. Darmo, ia wiem że Cię kocham, chciałbym żebyś Ty mnie także ciągle i coraz więcey kochał i dla tego bazgrzę tyle. Często kto sobie chce polepszyć pogarsza. Ale ia myślę że ia u Ciebie niczem sobie ani polepszyć ani pogorszyć niepotrafię. — Sympathia iaką mam dla Ciebie, zmusza nadnaturalnemi środkami serce twoie do uczucia podobneyże sympathyi, Ty nie iesteś panem tego co myślisz, ale ia iestem panem, a niedam się porzucić tak iak się daią opuścić drzewa tey zieloności co im cechę wesołość, życie nadaie. I w zimie będzie u mnie zielono. Zielono w głowie, ale dalibóg że w sercu naywiększy upał, więc niema się czemu dziwić, że taka wegetacya. Dosyć! Day buzi na ostatek, na zawsze twóy

F. Chopin

Dopiero teraz widzę żem Ci zadużo naplótł andronów, — widać że ieszcze wczoraysza imaginacya działa, żem się niewyspał, daruy także zmęczenie bom tańczył mazura. | Mama Papa naymocniey cię ściskaią. Dzieci także. Ludwika trochę słaba, spodziewać się, że lepiey będzie.

Prezesa spotkałem, który się uradował z przyiazdu hrabiego i ma Tobie listy przez niego, czy tam pakieciki, czy tam co z Gdańska przesłać. Walery zawsze Walery. Sąsiadka Panna Kolubakin mu umarła. Wincenty zdrów, śliczny. Kostuś podobno w Dreźnie ze wszystkimi.

Sokołowska przyiechała. Słaba zawsze. | Twoie listy przy moiem sercu i przy wstążeczce, — bo choć one się nie znaią, to czuią, (te martwe rzeczy) że ze znaiomych rąk obie wyszły.

Warszawa we środę rano 22/9 830.

Naydroższe życie moie!

Przez okazyę łatwiey Ci mogę wytłomaczyć, dla czego ieszcze siedzę. Oyciec istotnie nie życzył sobie moiego przed paru tygodniami wyiazdu, a to z powodu zaburzeń iakie w całych Niemczech zachodzą. Nie licząc nadreńskich prowincyi, Sasów którzy iuż także innego mają króla, Brunswiku, Cassel, Darmstadtu i t. d. słychać było że i w Wiedniu pare tysięcy ludzi zaczęło się dąsać z powodu mąki. Co chciano od mąki nie wiem, ale że było coś to wiem. W Tyrolu się także sfuknęli. Włochy tylko wrą i lada moment, mówił mi Moriollo, oczekuią iakich nowych wiadomości w tym względzie. Jeszczem się nie starał o paszport, ale ludzie utrzymuią, żeby mi go niedali iak tylko do Austryi i Prus, niemyśleć o Włochach i Francyi. I to wiem że kilku iuż osobom zupełnie paszportów odmówiono, coby mnie iednak pewno niespotkało. Wyiadę więc pewno w przeciągu kilku tygodni Krakowem do Wiednia, bo tam znów sobie odświeżyli o mnie pamięć, więc trzeba z tego korzystać. Nie dziw się ani mnie ani Rodzicom. Oto cały romans. — Wczoray był u mnie Pawłowski, iutro bardzo rano wyieżdża a ponieważ ia dziś próbuię drugi Koncert z kompletną orkiestrą, prócz trąb i kotłów, więc żeby Tobie przyiemność zrobić, zaprosiłem go; — niech Ci też opowiada. Wiem że naymnieysze detalie w tym względzie interesuią Cię. Żal mi że Ciebie niema, bo podług Ernemanowskiego zdania sądzić o Koncercie będę musiał. Będą i Kurpiński i Soliwa i cały naylepszy muzykalny świat, ale tym panom, wyiąwszy Elsnera, niebardzo ia wierzę. Ciekawy iestem iak się patrzyć będzie Włoch na Kapelmistrza, Czapek na Kesslera, Filip na Dobrzyńskiego, Molsdorf na Kaczyńskiego, Le Doux na Sołtyka i Pawłowski na nas wszystkich [1]). Niebyło przykładu żeby tych Panów kiedyś wszystkich razem złączonych widzieć. U mnie to się da zrobić i ia to robię dla raritasu.

[1]) Czterej ostatni cenieni w Warszawie amatorowie muzyki; szczególniej Molsdorf i Kaczyński jako wiolonczeliści, uchodzili za bardzo utalentowanych (Karasowski).

| Z nowin dyplomatycznych, nayświeższa wiadomość że pan Durand konsul były francuzki, który protestował przeciw Filipowi i chciał rossyiską przyiąć służbę, nazad do Francyi przywołany a na iego mieysce iuż przyiechał wczoray nowy trzykolorowy konsul, którego ieszcze nazwiska nawet dyplomaty niewiedzą. — Iest tu także nowy basista Pan Bondasiewicz, który nieszczęśliwie iuż dwa razy w Turku i w Cyruliku na mieyscu Szczurowskiego, na durnia się wystrzychnął. Pominąwszy nienaygorszy supson głosu, niema naymnieyszéy zalety. Czysto dosyć śpiewa, to chyba to iedno, co mogło powodować kapelmistrza do pozwolenia wystąpić mu na pierwszą polską scenę. Trzeba Ci wiedzieć że ten Pan Bondasiewicz, którego iuż na Brinda, Banda i Bombasiewicza publiczność nasza przerobiła, kiedyś na prowincyi zachwycał słuchaczy. U nas tak iest źle, że trzeba wszystkie tempa zwalniać bo by nie zdążył. Może się ieszcze uformuie bo niestary. Szczurowski chorował, więc on go zastąpił. Dobrze że iuż wyzdrowiał i że może w niedzielę wystąpić w Sroce, gdzie Anusię (czy tam kogo) będzie śpiewać Panna Gładkowska, pod dyrekcyą Kurpińskiego. To iednak nieprzeszkodzi Włochowi do obięcia za pare lat mieysca kapelmistrza, bo Kurpińsio stara się o mieysce w Petersburgu, (konfidencya uczyniona mi sekretnie). Po wystąpieniu Panny Gład. w Sroce, wystąpi Panna Wołków w Cyruliku, czego ia iuż pewno niezobaczę. Woycickiego możeś znał, — nieznałeś go, więc Ci nic o nim nienapiszę.

Ia iuż drugi Koncert skończyłem a ieszcze taki hebes iak przed zaczęciem poznawania klawiszy. To za bardzo oryginalne, na końcu iuż niebędę zdolny się nauczyć. | Szkoda że w taki dzień mi wypadło pisać, co myśli do kupy zebrać niemogę. Iak się nad sobą zastanowię, tak mi się żal zrobi, że jakoś przytomność często mię odchodzi. Ieżeli coś mam przed oczyma co mię interesuje, mogą mię i konie roziechać i niebędę wiedział i o mało niemiałem tego przypadku na ulicy onegday; — w niedzielę, uderzony iednem niespodzianem spoyrzeniem w kościele, właśnie w chwili iakiegoś lubego odrętwienia, natychmiast wyleciawszy, z kwandrans niewiedziałem co się zemną stało, i spotkawszy Parysa doktora, niewiedziałem iak mu się z moiego pomięszania wytłomaczyć, musiałem zmówić na psa co mi wlazł niby pod nogi i przestąpiłem. Taki czasem waryat się ze mnie zrobi że aż strach. — Chciałbym Tobie posłać kilka bzdurnych[1]) rzeczy moich, ale niewiem czy dziś będę miał czas przepisać. | Włoch Rinaldi kontent i dziękuie Ci za przysłanie mu książki. Mówił mi że Bezobrazów bierze lekcye od niego ale się nic nie uczy

[1]) U Karasowskiego „bezdusznych"(!)

tylko płaci, zaręczam że to pierwszy krok do Panny Wołków. Nowy balet Orłowskiego, co się tycze muzyki, iest istotnie bardzo dobry i wiele mieysc ładnych. Maszynerye ogromne i dlatego nie zawsze się udaią. Pierwszy raz było naygorzey, drugi raz lepiey, a trzeci raz niewiem, ale Xiążę był, więc musiało iść dobrze. Ostatnia dekoracya naylepsza. Wierzgaią zawiele. Strasznie długo. O wpół do 11tej, się kończy. | Co za dzisieyszy list to Cię serdecznie przepraszam, ale innego mieć niemożesz, dziś u mnie święto. Rozpoczęcie uniwersytetu także dziś muszę lecieć ieszcze się zapewnić o Elsnerze, Bielaskim, pulpitach, i sordinach o których wczoray na śmierć zapomniałem; bez nich bowiem Adagio by upadło, którego powodzenie i tak wielkie być nie może ile mi się zdaie. Rondo e f f e k t o w n e, Allegro m o c n e. O przeklęta miłości własna! Ale ieżeli komu to Tobie egoisto winien iestem zarozumienie o sobie; z iakim kto przestaie takim się staie. Jeszcze w iednem Cię nie naśladuię to iest w decydowaniu się raptownem ale mam szczerą chęć po cichu nic niemówiąc zdecydować się wyiechać od soboty za tydzień, bez pardonu, mimo lamentów, płaczu, narzekania i padania mi do nóg. Noty w tłómok, wstążeczka do duszy, dusza na ramieniu i w diliżans. Łzy iak groch padać będą ze wszech stron w zdłuż i w szersz miasta, od Kopernika do Zdroiów, od Branka do króla Zygmunta, a ia iak kamień zimny i suchy śmiać się będę z biednych dzieci co mię tak czule żegnać będą. Słowa posiłkowego za często używam; ale to dziś bo dalibóg że żeby... nie to że Ty daleko, daleko, het gdzieś tam za Hrubieszowem, tobym był Ci kazał przyiechać, a wiem że lubiłbyś, (choć za pokutę za inne twoie ogromne przewinienia) drugim ludziom pociechę przynieść, choćbyś ich nawet niecierpiał. | Żebym mógł iako Ciebie pocieszyć, tobym to zrobił, ale na to wszystko, wierzay mi, niema lekarstwa, dopiero w Wiedniu. Żyiesz, czuiesz, iesteś żyty, iesteś czuty przez innych, więc iesteś nieszczęśliwo-szczęśliwy. Ja Cię rozumiem, twoiego ducha przenikam i... uściśniymy się, bo iuż niemożna więcey mówić

F. Chopin.
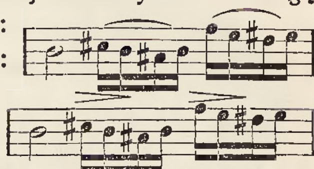
Rodzice Cię ściskaią. Siostry i bracia Cię ściskaią. Jeszcze day buzi. (dopisek na ostatniej stronnicy odnoszący się do pieczątki:) nieładnie mi się wycisnęło. — Dlatego muszę w kopertę włożyć. Daruy żem taki świnia entre nous soit dit — ale dalibóg Cię przepraszam. — Tylko iuż się niegnieway. Dziś się ieszcze dowiedziałem że w Berlinie niepokoie nowe. |

[5/10 830.]

Naydroższe życie moie!

Twoiego listu trzeba mi było abym mógł był spokoynie chodzić, nieuwierzysz iak mnie iuż nudzi to przeklęte ale naturalne bałamuctwo. Po

próbie orkiestrowey 2go Koncertu stanęła decyzya żeby go publicznie grać i w przyszły poniedziałek to iest 11go tego miesiąca wystąpię z nim. Jak z iedney strony nie rad iestem temu, tak z drugiey ciekaw iestem ogólnego effektu. Rondo, myślę że na wszystkich zrobi wrażenie. Na to bowiem Rondo Soliwa mi powiedział il vous fait beaucoup d'honneur, Kurpiński o oryginalności, Elsner o rytmie prawił. Żeby iednakże (ponieważ mogę ułożyć co się zowie piękny wieczór) niebyło owych nieszczęśliwych klarynetów albo fagotów między fortepianem, w iedney zatem części Gładkowska a w 2giej Wołków śpiewać będą. Na Uwerturę nie dam ani Leszka ani Lodoiski zwykle grywanych, ale Wilhelma Tella. Com miał biedy nim te panny pozwolenie uzyskały śpiewania, nieuwierzysz. Włoch naychętniey pozwolił, ale wyżey kazano mi się udać aż do Mostowskiego, który naychętniey (bo mu to wszystko iedno) pozwolił. — Co będą śpiewać ieszcze niewiem; to tylko mi mówił Włoch, że chóry potrzebne do iedney Aryi. | Dopiero 2 reprezentacye były Sroki. Gładkowska pierwszy raz występuiąc trochę się bała i nieodśpiewała pierwszej Cavatiny tak iak drugą razą. Do admirowania iest kiedy śpiewa to:



nie robi tego krótko, iak Mayerowa, ale robi długo: tak że to nie iest prędkie grupetto, ale dobrze wyśpiewane ośm not. Dodano, a raczey wsadzono w ostatni akt po marszu żałobnym, modlitwę z Mahometa Rossiniego, bardzo do iey głosu dobrą — albowiem ta co była w Sroce za wysoka. To i iuż relacya z opery. Teraz Wołków uczy się Cyrulika a potem Opera włoska w podróży[1]) gdzie maią duet śpiewać, i dla tego Soliwa niechciał żeby duet na moim śpiewały koncercie. — Będę grał na instrumencie co mi wtenczas Belleville dać niechciała. | Naydaley w tydzień po koncercie niema mnie w Warszawie. Już kuferek do drogi kupiony, iuż cała wyprawa gotowa, partycye pooprawiane, chustki do nosa obrąbione, spodnie zrobione. — Tylko się żegnać, a to nayprzykrzey. | Ktoś twóy poczuie tę biedę. — Moi Rodzice i dzieci także; poczciwe dzieciska, nic ich dawno tak nieucieszyło iak twoie braterskie pozdrowienie iakie im oświadczyłem z twoiego listu. — Dziś Ci krótko pisać będę, bo muszę ieszcze rano do Ernemanna póyść i po głosy dla chórów dla Kratzera, ieżeli ten mi zechce uczyć, bo wiem że mnie niecierpi. Nowina: Gorski stary, tiego tiego, ożenił się z Panną Pągowską, ale tak, że nikt z familii o tem niewiedział; — wystaw sobie, syn był u niego, kiedy ten na ślub wyieżdżał do Bielan, i prosił żeby go wziął z sobą na spacer (nic niewiedząc że oyciec en qualité pana młodego wsiadał do po-

[1]) „Opera włoska w podróży" Opera Fioravantiego (libretto Picarda) przedstawiona w Warszawie po raz 1szy w 1817 roku.

wozu), — oyciec go zbył dawszy mu bilet do krzesła na Precyozę a tym czasem sam na jelenia się pasował. Nazaiutrz był Władzio u niego ze Skarżyńskim Wincentym winszować mu Imienin, — dziwno im było, że oyciec iakiś ambarasowany i w okno co moment spogląda, — ale ponieważ był w tey samey stancyi stary Pągowski a Gorski iuż do poiazdu miał wsiadać, więc myślał syn, że się tamten na iego mieysce do oberży wprowadza i nieuderzyło go kiedy spotkał wychodząc Pannę Pągowską z Matką (iuż swoią macochę) wchodzącą do pokoiu. Z tamtąd, pożegnawszy oyca, który go krótko i zawsze pomięszany zbył, poszedł do Dziekońskiego co w nocy przyiechał. Wszedłszy wita oyczyma, który zaczyna od tego, że się nie wyspał; a to dlaczego? — „a kiedy do krocset, twóy oyciec wszystkie materace na ślub pozabierał" — Iakto? — A cóż, wszakże idziesz od niego". To też właśnie, być niemoże żeby mi nic o tem niemówił. — Spytay żeż się lokaja, co przy bryce został" — Smutny wrócił syn, dowiedziawszy się, że tiego tiego, tak sobie paskudnie postąpił. Dziekońska nic o tem nie wie. Ty znasz tę Pannę Pągowską, widywałeś ią u Pruszakowey, — mała, dosyć przystoyna, — Gorskim młodym ią prześladowano i też oyciec zapewne dla syna się ożenił. X Dekert (co go znasz) dawał ślub. Hube do Włoch. Nowakowski w Białymstoku, powąchać co się tam dzieie, bo się dla niego mieysce trafiało, mam nadzieię, że nie wróci. Aktor Nowakowski zaangażowany do Krakowa. Szkoda. Ale mówił mi Dmuszewski że niemogą go zatrzymać, bo straszne warunki podawał. Jakoto pierwszy: żeby żona grywała a nic nie umie. — Idę teraz do Starego Pruszaka ieszcze naprzód iak do Ern. — i mam wielkiej wagi do niego interes, li tylko nich się tyczący, — pisać Ci o tem niemogę, ale rzecz iest odrębna, nie mleczkowata, — prędzey workowata. Wiem że mię dobrze przyimie. Day mi buzi naydroższy kochanku, — przekonany iestem, że mnie ieszcze kochasz i boię Ci się zawsze tak iak moiego iakiego tyrana — niewiem dla czego ale Ciebie się boię. Dalibóg że Ty tylko masz moc nademną, Ty i... nikt więcey, — może to ostatni list co ia do Ciebie piszę — do śmierci twóy

F. Chopin.

Dzieci, Rodzice. Żywny.

Skarżyński zawsze mi się o Ciebie pyta. A propos, les demoiselles du Conservatoire iuż dawno kazały Ci się kłaniać. Gład. i Wołków, ieszcze rok maią zostać pod Soliwą — a przyznały mi się, że iuż im się nudzi.

Wtorek 5tego Październ. |

Wtorek 12 Paźdź. 1830.

Naydroższe życie moie!

Wczorayszy koncert udał mi się — pospieszam z tem doniesieniem. Powiadam As panu, żem się wcale a wcale nie bał, grał tak iak kiedy sam iestem i dobrze było. Pełna sala. Goernera Symfonia zaczęła. Potem moia mość Allegro e. moll, które iak z płatka wywinął, na Streycherowskim fortepianie się wydać miało. Brawa huczne. Soliwa kontent; dyrygował z powodu swoiey aryi z chórem, którą Panna Wołków, ubrana iak aniołek w niebieskim, ładnie odśpiewała; po tey aryi Adagio i Rondo nastąpiło, po którem pauza między Iszą a drugą częścią. — Gdy wrócono z bufetu i poschodzono ze sceny, gdzie przybyto dla zdania mi korzystnego rapportu effektu, zaczęto 2gą część od Uwertury Wilhelma Tella. Soliwa dyrygował ią dobrze i wielkie zrobiła wrażenie. Istotnie tą razą Włoch tyle dla mnie grzeczności okazał że trudno mu się wywdzięczyć, — dyrygował potem aryę Panny Gładkowskiey, biało, z różami na głowie, do twarzy prześlicznie ubraney, która odśpiewała Cavatinę a La donna del Lago z recitativem, tak iak prócz aryi w Agnieszce nic ieszcze nie śpiewała. Znasz to: „oh quante lagrime per te versai". Powiedziała tutto detesto" aż do h dolnego, tak, że Zieliński utrzymywał, iż to iedno h tysiąc dukatów warte. Trzeba Ci wiedzieć że ta arya była transponowana do iey głosu, który wiele na tem zyskał. Po odprowadzeniu ze sceny Panny Gładkowskiey, wzięliśmy się do Potpurów na Xiężyca co zeszedł[1]) itd. Tą razą i ia się rozumiałem i orkiestra się rozumiała i parter się poznał. Tą razą dopiero ostatni mazur wzbudził duże bravo, po którem (zwyczayna facecya) wywołano mnie, — ani razu niesyknięto a ia miałem czas 4 razy się ukłonić, ale iuż po ludzku, bo mię Brandt nauczył. Gdyby był Soliwa niewziął moich partycyi do domu, nie przeyrzał i nie dyrygował tak że niemógłem lecić na złamanie karku, nie wiem iak by wczoray było, ale tak nas umiał zawsze wszystkich utrzymać, że nigdy, powiadam Ci, ieszcze z orkiestrą tak mi się spokoynie grać niezdarzyło. Fortepian bardzo się miał podobać, — a Panna Wołków ieszcze bardziey, ze sceny ślicznie się wydaie. Wystąpi teraz w Cyruliku, ma to być w sobotę, jeżeli nie we czwartek. — Ja zaś iuż o niczem nie myślę tylko o pakowaniu się, albo w sobotę, albo we środę ruszam | przez Kraków. Wczoray dowiedziałem się że może Wincenty poiedzie do Krakowa, — muszę się o tem dowiedzieć lepiej, moglibyśmy razem z nim iechać, ieżeli nie za późno odieżdża. Karola w Warszawie widziałem w tych dniach, zdrów, wesół, — i dowiadywał się szczerze kiedy to macie się ziechać w Lublinie. Spodziewał się, że za powrotem, w domu listy od Ciebie zastanie. Co się Kostusia tycze, Oyciec mi mówił że był teraz ze Sewerynem i Kinelem w Budzie na koronacyi, a zatem ieszcze nie

---

[1]) Fantazya na tematy polskie Op. 13.

w Paryżu, myśl atoli iest wrócenia do Paryża i pewno iuż w drodze. Kończę, moie życie, bo czeka p. Lasocki na mnie żebym z nim do Ernemanna iechał w celu zaproszenia go na lekcye do córki. Późniey do kaszy, teraz do twoiey buzi

nayprzywiązańszy F. Chopin.

Dzieci, Mama, Papa, wszyscy, Żywny, ściskaią Cię zdrowi. |

Paryż dnia 12 Grud. 1831.

Naydroższe życie moie!

Odżyłem iakem list twóy odebrał. | Twoia kontuzya! | Rozmaite wieści mię dochodziły, rozmaicie sobie wyrazy listów z domu tłómaczyłem, a Kot co do mnie pisał, tak się w liście dziwnie iakoś wyraził, żem się bał myśli które mi się tłoczyły. Przecie że ieszcze w życiu się spotkamy! Co odmian, co biedy, — któżby to kiedy był przewidział. — Pamiętasz nocną radę w Wiedniu, wigilią wyiazdu twoiego! Mnie tu wiatr zapędził; — oddycha się słodko, — ale może też dla tego więcey się wzdycha, że łatwo. Paryż iest to wszystko co chcesz — możesz się bawić, nudzić, śmiać, płakać, wszystko robić co Ci się podoba i nikt na Cię niespoyrzy, bo tutay tysiące toż samo robiących co Ty — i każdy swoią drogą. Jakoż niewiem czy gdzie więcey pianistów iak w Paryżu, — niewiem czy gdzie więcey osłów i więcey wirtuozów iak tu. Trzeba Ci wiedzieć że przyiechałem tutay z bardzo małemi rekomendacyami. Malfati dał mi list do Paera, kilka listów z Wiednia miałem do editorów i na tem koniec. Albowiem w Studgardzie gdzie mnie doszła wiadomość o wzięciu Warszawy, tam dopiero zupełnie zdecydowałem się udać w ten inny świat. Przez Paera który tu iest dworskim kapelmajstrem poznałem Rossiniego, Cherubiniego itd. Baillotta itd. Przez niego także poznałem Kalkbrennera. Nieuwierzysz ile byłem ciekaw Herza, Liszta, Hillera itd. wszystko to są zera przeciw Kalkbrennerowi. Przyznam Ci się, że iak Herz grałem, ale chciałbym grać iak Kalkbrenner. Jeżeli Paganini perfekcya, to Kalkbrenner paralel iemu ale w zupełnie innym rodzaiu. Trudno Ci opisać iego Kalm, iego dotknienie czaruiące — równość niesłychaną i to mistrzowstwo maluiące się w każdey nocie iego — iest to olbrzym depczący Herzów, Czernych itd. a tem samem i mnie. — Cóż się dzieie? — Prezentowany Kalkbrennerowi, prosi mnie żeby mu coś zagrać. Rad nie rad niesłysząc go wprzód a wiedząc iak Herz gra, zdiąwszy pychę z serca, siadam. Zagrałem móy E moll | którego nadreńscy Lindpaintnerowie, Bergi, Stuntze, Schunki, i cała Bawarya odchwalić się niemogła. | Zadziwiłem Pana Kalkbr. który natychmiast adressował mi pytanie czym nie uczniem Fielda, że mam grę Crauserowską a uderzenie Fieldowskie. — (Ucieszyło mnie to w duszy) a ieszcze bardziey gdy usiadłszy do fortepianu Kalkbr. chcąc się przedemną wysadzić, omylił się i musiał ustać! Ale też trzeba było słu-

chać iak zrobił repryzę; nic podobnego niemyślałem. Od tego czasu codziennie widuiemy się, albo on u mnie albo ia u niego — a poznawszy mię dobrze, robi propozycyą, żeby trzy lata u niego się uczyć a zrobi zemnie coś bardzo bardzo. Powiedziałem mu że wiem ile mi niedostaie, ale że go niechcę naśladować i 3 lata zadużo. Tymczasem przekonał mnie że mogę ślicznie grać kiedym natchniony a kiepsko kiedy nie — rzecz która mi się nigdy niezdarza. Powiedział mi, przypatrzywszy się bliżey, że niemam szkoły — że iestem na śliczney drodze, ale się zderutować mogę. — Że niebędzie reprezentanta szkoły wielkiey fortepianowey po iego śmierci, albo iak on zupełnie grać niebędzie. Że niemogę budować, choćbym chciał, nowey szkoły nieznaiąc starey — słowem że nieiestem doskonałą machiną a tem samym krępuie i bieg myśli moich. Że mam piętno w kompozycyi, szkoda by było żebym nie był tem, czem być obiecuię itd. itd. Przytem żebyś tu był, sam byś powiedział: ucz się chłopcze póki czas. Wielu mi tego odradzało — sądząc iż ia tak dobrze grać potrafię iak on, że to czyni przez pychę, żeby potem mnie swoim uczniem nazywał itd. itd. To wszystko są facecye. Trzeba wiedzieć że o ile tu dla talentu Kalkbr. maią wszyscy a wszyscy uszanowanie, o tyle iego osoby niecierpią — bo się nie z lada durniem paniebraci i, iak Cię kocham, iest coś wyższego nad wszystkich com słyszał. Pisałem o tem do Rodziców. — Oni iakoś przystaią, ale Elsnerowi zdaie się to zazdrością. Pomimo to (trzeba Ci wiedzieć, że iuż tu mam między artystami ogromne imię) daię koncert 25 grudnia. Baillot, ów sławny rywal Paganiniego gra, Brodt sławny oboista, ia daię móy F moll, Waryacye B dur (na które odebrałem przed parą dniami z Cassel od iednego Niemca zaantuziazmowanego temi Waryacyami, dziesięcioarkuszową recenzyę, gdzie po ogromnych przedmowach, przystępuie do rozbioru onych, takt w takt — tłómaczy, że to nie są waryacye iak każde inne, tylko że to iest iakieś fantastyczne tableau. — Na drugą Waryacyę mówi, że Don Juan z Leporellem biega, na 3cią, że ściska Zerlinkę a Mazetto w lewey ręce się gniewa — a na Adagia 5ty takt powiada że Don Juan całuie Zerlinkę w Des dur. | Plater pytał mi się wczoray gdzie ona ma ten Des dur, itd. | Umierać z imaginacyi Niemca, który się uparł, żeby szwagier iego Fetisowi do Revue Musicale to podał, od czego mnie poczciwy Hiller chłopiec z ogromnym talentem (uczeń były Humla, którego koncert za onegdayszy i Symfonia wielki effekt zrobiła — iest to w rodzaiu Beethovena, ale pełny poezyi, ognia i ducha człowiek) ledwie mnie on od tego obronił, mówiąc temu panu Szwagrowi, że to zamiast mądrem iest bardzo głupiem. Ależ do koncertu się wróćmy. Prócz tego gram z Kalkbrennerem na 2 fortepiany z akompaniamentem 4ch innych, iego Marsza suivie d'une Polonaise. Iest to szalona myśl. Jeden iest ogromny pantalion, które się Kalkbrennerowi należy, a drugi malutki monokordny, ale donośny iak dzwoneczki żyrafek, co do mnie należy, a tamte cztery duże iak orkiestra. Hiller, Osborn, Stamaty i Sowiński będą ie

trzymać. Ten ostatni ani się umywał do Alex. nieboszczyka[1]) (którego tu elewkę poznałem). Głowa nie tęga tylko figura dobra i serce. Norblin, Vidal, sławny Ubran [2]) — altówka — iakiego nigdy niesłyszałem, pomagaią mi. Bilety plasuią się. Spiewaczki naytrudniey było dostać. Rossini byłby mnie z opery pozwolił którey, gdyby sam mógł to czynić, bez Pana Robert, drugiego dyrektora, który się nie chciał na 200 albo 300 podobnych narażać próśb. Ale Ci nic dotychczas o operze niepisałem. Anim słyszał Cyrulika iak w przeszły tydzień przez Lablacha, Rubiniego i Malibran (Garcia). Anim słyszał Otella, iak przez Rubiniego, Pastę, i Lablacha; — Włoszki, iak przez Rubiniego, Lablacha i Mme Raimbeaux. Jeżeli kiedy to teraz wszystko mam w Paryżu. Niewystawisz sobie co to iest Lablache! Pasta, mówią, że straciła ale ieszcze nic wzniośleyszego nie widziałem. Malibran cudownym głosem swoim tylko bierze a śpiewa iak żadna! Cudo! Cudo! Rubini tenor doskonały, bierze realnym nie fosetem i rulady czasem 2 godziny robi (ale czasem za długo broderuie — i trzęsie głosem umyślnie, prócz tego treluie bez końca, co mu iednak naywiększe oklaski zsyła). Jego mezza voce iest niedoporównania. Jest tu Schröder Devrient, — ale nie robi furory takiey iak w Niemczech. Pani Malibran grała rolę Otella a ona Desdemonę. Malibran mała a Niemka ogromna, zdawało się że niemka Otella zadusi. Kosztowna to była reprezentacya, nie więcey tylko 24 franki wszystkie mieysca — żeby widzieć Malibran czarną i nietęgo w tey roli graiącą. Maią dać Piratę i Somnambulę itd. Pasta iuż wyiechała — mówią, że niebędzie więcey śpiewać. Orkiestra cudowna nie iednaka w porównaniu z prawdziwą francuzką operą (l'Academie Royale). — Jeżeli kiedy był iaki przepych na teatrze to niewiem czy dochodził stopnia przepychu „Robert le Diable", nowiutkiey, 5 aktowey opery Mayerbera, co Crociato pisał. — To arcydzieło nowey szkoły — gdzie diabły (chóry ogromne) przez tuby śpiewaią — gdzie dusze z grobów powstaią, ale nie tak iak w Szarlatanie[3]) tylko po 50, 60 grupowane, gdzie diorama na teatrze, gdzie na końcu interieur kościoła widać i cały kościół na Boże narodzenie czy wielkanoc w świetle z mnichami i wszystką publicznością w ławkach, z kadzidłami, co większe: z organami, których głos na scenie czaruie i zadziwia i całą orkiestrę nieledwie pokrywa, — nic takiego nigdzie niebędą mogli wystawić. — Mayerber się unieśmiertelnił! Ale też 3 lata siedział w Paryżu nim ią wystawił, 20.000 franków iak mówią łożył na aktorstwo. Pani Cinti Damoreau też tak śpiewa iak niemożna doskonaley — wolę iey śpiew iak Malibran. Malibran zadziwia, Cinti zachwyca — i gammy chromatyczne lepiey robi iak Tulon sławny na flecie. Nie można mieć głosu lepiey wydoskonalonego, tak ią to mało kosztuie, że zdaie się iż chucha na publiczność. Nourrit, francuzki

---

[1]) Aleksandra Rembielińskiego, kolegi studjów Ch. (Karasowski).
[2]) U Karasińskiego Urhan.
[3]) Szarlatan opera Kurpińskiego.

tenor iest zadziwiaiący swoiem uczuciem. — A Cholet na Opera Comique gdzie daią Fra Diavolo, La Fianceé i Zampa (nowa śliczna opera Herolda) iest to ten pierwszy tu amant, seducteur — drażniący — cudny, z romansowym prawdziwym głosem geniusz. Utworzył sobie rodzay. Na Opera Comique daią teraz „Marquise de Brinvilière", baba co truła ludzi za czasów Ludwika 14 czy 15. Muzykę do niey robiło ośmiu. Cherubini, Paer, Berton, Herold, Auber, Bâton, Blanquini i Caraffa.— | Spodziewam się że trudno znaleźć piękniejszą kompanią do koncertu! | Pisz mi co Ci się zdaie — Potem iednak musisz uważać że niezdurniłem się — ani się chcę zbłaźnić. — Pixis z wielkiem uszanowaniem dla mnie — iuż to dla tego że gram, iuż to że zazdrosny swoiey dziewczyny, która na mnie lepiey patrzy iak na niego!! — Pisz do mnie na miłość boską — albo przyiedź, twóy do zgonu a może niedługo

F. Chopin

| Potier stary iest wyborny! Młody z Herwetem są tu. I Evra i Tiery i Filès ale ich nie widziałem. Mieszkam Boulevard Poissonière Nro 27 a tyś mi swoiego mieszkania niedoniósł, musiałem u Wodzińskiego się dowiedzieć. Fortepiany Pleyelowskie non plus ultra. — Z Polaków Kunasika, Morawskiego, Niemoj. Lelewela, Plichtę widuię, a zresztą ogromna moc durniów. U Panny Jaczorek(?) często się bywa, ale nic więcey. Ładna. Oleszczyński ma w perspektywie mnie sztychować. Byłem z Brykczyńskim onegday u Tyszkiewiczowey z wizytą, ale Poniatowskiego ieszcze niema; do Montebella dziś idę. Gdyby nie Wodzińscy, nie wiedziałbym twego adresu, roztrzepańcze. Wodzińscy | Ciebie się spodziewaią tutay, ia tylko czasem bym Cię chciał, bo ledwo nie zwaryuię z tęsknoty, szczególniey kiedy deszcz. | Panna Gładkowska poszła za Grabowskiego, ale to nieprzeszkadza affektom platonicznym. W ten moment Boillot przyszedł. Pieczętuię list Kochay mię.

Nie mogę przenieść na sobie żeby Ci moiey awanturki z Pixisem nienapisać. Wystawże sobie ma on bardzo ładną 15letnią panieneczkę u siebie, z którą (iak mówi) żenić się myśli, a z którą ia się w Studgardzie u niego bywaiąc poznałem. — Pixis przyiechawszy tu, zaprasza mnie do siebie nic nie mówiąc (bo może byłbym prędzey go odwiedził) że i ta iego panna o którey ia iuż zapomniałem, z nim przyiechała. Prosi mnie żeby go odwiedzić, więc w tydzień idę. Aż na schodach z wielkiem ukontentowaniem spotyka mnie iego młoda pupilka, zaprasza mnie do siebie, że to nic nieszkodzi że Pana Pixisa niema — żeby odpocząć — że on zaraz przyidzie itd. (Iakaś drżączka nas oboie bierze). — Exkuzuię się wiedząc że stary zazdrośny, że inną razą weydę itd. — tymczasem, gdy my tak czule

na schodach w niewinności serca z przymileniem sobie rozprawiamy, lezie Pixisko, patrzy (na kształt Soliwy) przez grube okulary któż tam na górze z iego bellą rozmawia — i przyspieszywszy bzdyczysko kroku — zatrzymuie się przedemną, brusquement mówi „bon jour" a do niey: qu'est ce que vous faites ici? — i ogromną Jeremiadą niemieckich dyabłów na nią że ona śmie w iego nieobecności młodych ludzi przyimować. Ja także z uśmiechem (i nieczuiąc się do niczego) potakuię Pixisowi i na nią nastaię, że tak lekko, (a tylko w materyalney sukience) wychodzi z pokoiu itd. Aż przecie się stary pomiarkował, — ochłonął, wziął mię pod rękę do salonu wprowadził, niewiedział gdzie mnie posadzić ze strachu, (żebym mu, rozgniewawszy się, kiedy go w domu niebędzie, iakiego figla, a raczey Pupili nie wyrżnął). Sprowadził mię później ze schodów a widząc że ia ciągle iakoś śmieiący się w duszy — (niemogłem pokryć uciechy iaką pierwszy raz miałem z tego że mię ludzie capable czegoś podobnego sądzić mogą) — widziałem iak wszedł do portyerki pytać się czy dawno iak ia wszedłem na schody itd. Od tego czasu Pixis niemoże się wychwalić moiego talentu przed wszystkimi editorami a szczególniey przed Schlesingerem, który mię angażował pisać coś z tematów Roberta, którego od Mayerbeera za 24.000 franków kupił! — Jak Ci się to podoba? Ze mnie seducteur! |

Paryż 25 Decemb. 1831.

Naydroższe życie moie!

Już drugi rok iak Ci z zagranicy dziesiętey winszować muszę imienin. Jedno spoyrzenie na iawie może by Cię więcey przechowało w moiem sercu iak dziesięć listów. Dlatego opuszczam tę materyę ex abrupto pisać niechcę, a niekupiłem sobie książeczki z rozmaitemi powinszowaniami, którą dziewczyny i chłopaki po ulicach z wszystkiem po 2 sous sprzedaią. — Dziwny to lud, iak wieczór przyidzie — nic niesłyszysz iak tylko wykrzyki tytułów nowych książeczek ulotnych i czasem 3, 4 arkusze drukowanego głupstwa za sousa kupisz. A to „l' art de faire des amants, et de les conserver ensuite", „Les amours des prêtres", „L' archevêque de Paris avec Mme la Duchesse du Barry" i tysiączne podobne tłustości, czasem bardzo dowcipnie pisane. Prawdziwie że dziwić się trzeba na iakie oni się tu sposoby biorą, żeby grosz zarobić. — Wiedz że tu teraz wielka bieda, pieniędzy mało kursuie, odrapańców mnóstwo spotykasz ze znaczącemi fiziognomiami i nieraz słyszysz odgrażaiącą rozmowę na durnia Filipa, który tylko na swoiem ministeryum ieszcze wisi. Niższa klasa iest zupełnie roziątrzona — i co moment radziby zmienić stan swoiey nędzy — ale na nieszczęście zbyt

wiele ostrożności rząd ma na takowe rzeczy i na naymnieysze zebranie na ulicy się pospólstwa, żandarmeryą konną rozpędza. Wiesz że mieszkam na 4 piętrze, ale na nayślicznieyszem mieyscu, bo na bulwarach, mam do siebie ganek należący — bardzo zgrabny, żelazny, daiący na ulicę, i mogę bardzo daleko w prawo i w lewo bulwary widzieć. Naprzeciwko mnie, w ulicy stanął Ramorino, w mieyscu tak zwanem Cité bergère, gdzie duży dziedziniec przechodni. — Wiadomo Ci zapewne iak go wszędzie Niemcy przyimowali, iak go do Strasburga Francuzi, zaprzęgnąwszy się za konie, ciągnęli, słowem wiadomy Ci ten antuzyazm ludu dla naszego Jenerała. Paryż niechciał być ostatni w tym względzie, — Szkoła medycyny, tak zwana młodzież „jeune France" (którzy bródki noszą i pewne maią przepisy na wiązanie chustek) (trzeba Ci wiedzieć że tu każda partya polityczna inaczey się nosi — mówi się tu o exagerowanych. — Karliści maią zielone kamizelki, Republikanie i Napoleoniści, to iest właśnie ta jeune France, — Saint Simoniści, czyli nowi chrześcianie, tworzący oddzielną religią, i maiący iuż ogromną liczbę prozelitów, którzy są także za równością, noszą się niebiesko, itd. itd. Otóż do tysiąca takiey młodzieży, nieministeryalney z chorągwią 3ój kolorową — przeszli przez całe miasto do Ramorina, przywitać go. Chociaż był w domu, niechcąc się iednak narażać na nieprzyiemności ze strony rządu (z tego względu dureń) niepokazał się, mimo krzyku i wołania „vive les polonais" itd. Adiutant iego (podobno Działyński) wyszedł i powiedział że Jenerał prosi ich na inny dzień do siebie. — A tymczasem nazaiutrz wyprowadził się z tamtąd. W pare dni wali się ogromne mnóstwo iuż nietylko młodzieży ale i pospólstwa zebranego pod Panteonem, na drugą stronę Paryża do Ramorino. — Iak gała śniegu, im więcey ulic przechodzą tem ogromnieysza ich massa, aż przy moście (pont neuf) konnica ich rozpraszać zaczyna — wielu pokaleczono, ale mimo to mnóstwo ludzi zebrało się na bulwarach, pod moiemi oknami, żeby złączyć się razem z idącymi z drugiey strony miasta. — Policya nic pomódz nie mogła tłoczącym się ludziom — przyszedł oddział infanteryi — huzary, adiutanty placu na koniach po trotuarach — gwardya niemniey gorliwa rozpycha coraz ciekawsze i mruczące pospólstwo, łapią — aresztuią wolny naród — strach — sklepy zamykaią, po wszystkich rogach ulic bulwarowych kupy ludzi, — świstania — galopowania posyłek, okna pełne spektatorów (iak niegdyś u nas na wielkie Święto) i to trwało od godziny 11 rano do 11 w nocy. Jużem się cieszył że może się co zrobi ale to wszystko się skończyło na zaśpiewaniu ogromnym chórem około 11 w nocy „allons enfants de la patrie". Iakie na mnie wrażenie zrobiły te groźliwe głosy nieukontentowanego ludu — ani poymiesz! — Spodziewano się nazaiutrz zaczęcia kontynuacyi tej emeuty, iak oni tu zowią — ale durnie cicho do dziś dnia siedzą. Grenoble tylko wstąpił w ślady Lyonu — i diabeł wie co się ieszcze na świecie stanie. Daią też teraz na teatrze Francon, gdzie tylko dramy i tableau z końmi wystawiaią — całą historyą ostatnich na-

szych czasów. Ludzie lataią iak szaleni widzieć te wszystkie kostiumy — Pannę Plater która także tam gra rolę z indywiduami którym daią nazwiska nakształt Lodoiski, Faniski — i tak iedna się nazywa Floreska — iest Jenerał Gigult iako brat Platerówney itd. Ale nic mnie tak nie bawiło iak afiszowanie w iednym z mnieyszych teatrów, że podczas antraktu grać będą la marurka Dobruski „ieszore polska mirgineta". Jak Ciebie kocham nie facecya, mam na to świadków, którzy się razem ze mną dziwili że Francuzy takie durnie! A propos moiego koncertu, odłożony na 15tego z powodu śpiewaczki którey mi pan Veron dyrektor opery odmówił. Dziś zaś iest w operze włoskiey koncert duży gdzie Malibran, Rubini, Lablache, Santini, Mme Raimbeaux, Mme Schröder, Mme Cavadory — przy tem Herz gra i (czego nayciekawszy iestem) Beriot, ten skrzypek co Pani Malibran w nim się kocha. Chciałbym Cię tu — nieuwierzysz bo, iak mi tu smutno że niemam komu się wyięzyczeć. Wiesz iak łatwo zabiorę znaiomość — wiesz iak lubię z niemi gadać o niebieskich migdałach — otóż takich znaiomości mam po uszy, ale z nikim razem westchnąć niemogę. — Zawsze iestem co się tycze uczuć moich w synkopach z innymi. Dla tego męczę się i nieuwierzysz iak szukam iakiey pauzy coby do mnie cały dzień nikt niezayrzał, nikt niezagadał. Do Ciebie pisząc niecierpię kiedy mi się dzwonek ruszy — i włazi jakieś coś z wąsikami, duże, wyrosłe, tęgie, — siądzie do fortepianu i samo niewie co improwizuie, wali, tłucze bez sensu, rzuca się, przekłada ręce, z pięć minut na iednym klawiszu grzechocze ogromnym paluchem, który gdzieś tam na Ukrainie do ekonomskiego batoga i do leyc był przeznaczony. Masz portret Sowińskiego, który innego merytu niema iak dobrą figurę i dobre serce dla siebie. Jeżelim mógł kiedyś sobie szarlatanizm albo głupstwo w sztuce wystawić, to nigdy tak doskonałe iak teraz często muszę słuchać chodząc i umywaiąc się po pokoiu. Uszy mi się czerwienią — wypchnąłbym za drzwi a muszę menażować, nawet być czułym wzaiemnie. Niemasz wyobrażenia o czemsiś podobnem — ale ponieważ oni go tu (oni co się nieznaią tylko na krawacie) za coś maią, więc trzeba się bratać. — A czem mi naywięcey krwi psuie to zbiorem swoich karczemnych, bez sensu, naygorzey akompaniowanych, bez naymnieyszey znaiomości harmonii i prozodyi układanych śpiewek z zakończeniami kontredansowemi — które on zbiorem polskich pieśni nazywa. Wiesz ile chciałem czuć i poczęści doszedłem do uczucia naszey narodowey muzyki — zatem miarkuy iak mi przyiemnie — kiedy on czasem to tu to tam złapie coś, moiego, czego piękność często na akompaniamencie zależy — i karczemnym, szenkatrynkowsko gęgetowsko organowym parafialnym gustem zagra i nic niemożna powiedzieć bo więcey nad to co złapał nie poymie. | Jest to Nowakowski na lewą stronę. A gada! — O wszystkiem a szczególniey o Warszawie w którey nigdy nie był. — Między Polakami żyię naywięcey z Wodzińskimi, Brykczyńskimi, samemi dobremi chłopcami. Wodzyńsio zawsze mi sie

pyta czemu Ty nieprzyiedziesz? Oni Ci się spodziewaią, bo Ciebie nieznaią. — Zdaie mi się że Cię znam i wiem gdzie wprzód poiedziesz. | W ten moment kiedy się zabieram do opisu iednego balu na którym mnie bóstwo iedno zachwyciło z różą w czarnych włosach — odbieram twóy list — Wychodzi mi wszystko moderne z głowy — przenoszę się ieszcze bardziej do Ciebie, biorę Cię za rękę i płaczę. — Miałem twóy list ze Lwowa; — Tem późniey się zobaczym, a może i wcale nie, bo, seryo mówiąc, moie zdrowie nędzne, — wesoły iestem zewnątrz, szczególniey między swoiemi (swoiemi nazywam Polaków) — ale w środku coś mnie morduie — iakieś przeczucia, niepokoie, sny albo bezsenność — tęsknota — oboiętność — chęć życia a w moment chęć śmierci — iakiś słodki pokóy, iakieś odrętwienie, nieprzytomność umysłu a czasem dokładna pamięć mnie dręczy. Kwaśno mi gorżko, słono, iakaś szkaradna mięszanina uczuć mną miota! Głupszym niż kiedy. Moie życie — daruy mi. — Już dosyć. A teraz ubiorę się i póydę a raczey poiadę na obiad iaki dzisiay daią dla Ramorina i Langermana, | ma być parę set w nayogromnieyszey Restauracyi au Rochercancal — Kunacik przed kilką dniami przyniósł mi zaprosiny z Biernackim poczciwoszem; Karol więc decidément nie iego zienciem. | Twóy list wiele dziś dla mnie miał nowości. Darowałeś mi 4 stronnice i 37 wierszy — iak żyię tego niebyło, iak żyię takeś mi się obficie niedał — a potrzebowałem czegoś podobnego — bardzo potrzebowałem. Co mi o drodze piszesz iest taką prawdą iakiey ia mam przekonanie. Niemyśl kochanie źle o tem; ia iadę własnym equipażem, tylko furmana do koni naiąłem. Daruy moie życie, za kontrast listu moiego. — Kończę bo niemógłbym go na pocztę odnieść. A człek sam Pan, sam Sługa — Pisz zmiłuy się, Ściskam Cię, twóy do zgonu

Fryc

Ten list posyłam w zaufaniu miłosierdzia twoiego.

FRYDERYK CHOPIN.

Dwa listy Artura Grottgera.

W zbiorze autografów polskich pozostałym po Józefie Łozińskim kustoszu Biblioteki Poturzyckiej we Lwowie, przechowywanym obecnie w jego rodzinie, zajdują się dwa listy Artura Grottgera z ostatniego roku życia, — obydwa bez adresów.

Pierwszy z nich pisany niewątpliwie do Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, drugi prawdopodobnie do Jana Dobrzańskiego redaktora „Gazety Narodowej“, „Tygodnika Niedzielnego“, „Nowin“ i t. d.

Listy te stanowić mogą przyczynek do korespondencyi Grottgera, której wydawnictwo rozpoczęto na tem miejscu, a odzwierciedlają nastroje, jakim artysta w ostatnim roku życia podlegał. Choroba i cierpienia mają widoczny wpływ nawet na zewnętrzną formę listów i charakter pisma, różniący się w drugim liście znacznie od pierwszego.

T. M.

I

Paryż 25/I, 67.

Najłaskawszy Panie Hrabio Dobrodzieju!

W nadziei że temi kilką słowy nienaprzykszę się Łaskawemu Panu, przypominam się najprzód względom Jego a potem maleńką prośbeczkę zanoszę. — Ta dotycze obrazka rysowanego, przedstawiającego Rodzinę patrzącą na kometę „przed Wojną“ a tego właśnie, którego na korzyść brata mego na Syberyi przeznaczyłem do wylosowania i na co kilkadziesiąt biletów Szanowny Pan Hrabia był łaskaw wziąść do rozsprzedania. — Dziś właśnie napisałem do P. Bogdanowicza, u którego wzmiankowany rysunek był a może i jest jeszcze wystawiony, aby takowy odesłał do Pana Hrabiego albo ostatniego stycznia albo najdalej pierwszego lutego, bo się spodziewam, że Pan Hrabia nie odmówi mi tej łaski i pozwoli ażeby najmniejsza Panna Maryna raz w salonie u Państwa Hrabstwa wyciągnęła liczbę wygrywającą. —

Losów zostało rozsprzedanych 399, a więc do samego losowania tyleż karteczek należałoby przygotować. Panna Teressa Wentz mieszkająca na placu Ducha 42, była tak grzeczną, i przyobiecała mi na Ręce Pana hr. Revertery posła w Petersburgu, przesłać zebrane pieniądze biedakowi mojemu. Proszę więc łaskawego Pana Hrabiego i obrazek i te pieniądze za bilety, po wylosowaniu kazać Jej doręczyć, bo ona zaraz i obrazek wygrywającemu wyexpedyuje.

Ja sam zamiast dotychczas powrócić do Lwowa, jak się spodziewałem, będę musiał pozostać aż do wystawy a to dla skończenia niezawodnego rozpoczętej „Wojny“, której we Lwowie, bez żadnej artystycznej pomocy, w tak krótkim czasie, wykończyćbym niepotrafił.

Paryż, jako miasto, nietylko w pierwszej chwili, ale i teraz jest mi tak nieznośne, że gdybym mógł, tobym ztąd zaraz uciekał, ale przyznać mu muszę, że dla artysty kształcącego się, jest to może jedyne w świecie. Wszelkie możliwe kierunki — wszelkie zapatrywania się artystyczne, mają tu swoich przedstawicieli, tak że studyum staje się gruntowne więcej jak gdziekolwiek.

Zacząwszy od Idylli aż do najprozaiczniejszego realizmu, wszystko się tu widzi wyobrażone po mistrzowsku. — I muszę też powiedzieć, że chociaż Francuzi żadnej szkoły malarskiej jeszcze sobie nie wyrobili, to mają poczucie dla doskonałości ogromne. Mają go więcej jak Niemcy, którzy peryodycznie raz, latają pod obłoki a drugi raz tarzają w rynsztoku. Francuzi i jedno i drugie robią odrazu! — Oprócz Wersalu poznałem wszystkie galerye a w Luxemburskiej jestem prawdziwie zakochany, nigdzie bowiem tyle pięknych a zarazem tak bardzo między sobą różniących się malarskich utworów niewidziałem. Po tej galeryi chodząc przeświadczyłem się o tej prawdzie, że Francuzi zupełnie tak jak Niemcy są gruntowni i sumienni i że to fałszywe jest widzenie, jeżeli się im tej gruntowności odmawia a powierzchowność przypisuje.

Mój pobyt tutejszy z pomocą Bożą na dobre mi wyjdzie. Skorzystam dużo więcej jak się spodziewałem, dlatego też mam nadzieję że i „Wojna“ moja tu wypracowana, nie równie więcej będzie miała wartości. Zresztą jak tam Bóg zechce.

Lituanika jutro Panu Branickiemu a w poniedziałek w Hotelu Lambert będzie się prezentowała. Tą razą życzyłbym sobie, widzieć w niej zwycięzką kokietkę! — Od czasu przyjazdu mojego, oprócz dalszego ciągu Wojny, zrobiłem jeden dość wielki rysunek, przedstawiający Etap z Polonią w Sybir zasłaną, przybyły właśnie do Stacyi. —

Radbym ażeby i Lituanika i ten ostatni rysunek mógł być jaknajprędzej rozpowszechniony. —

A teraz przestaję aby nie zmęczyć. Polecam się łasce Szanownych Państwa Hrabstwa, proszę o przebaczenie za moje natręctwo i oto aby mnie nadal mieli w swojej pamięci o co raz jeszcze bardzo a bardzo prosi, zawsze wdzięczny sługa

Arthur Grottger

adres. Boulevard St. Michel 3. —

II.

Szanowny Panie Dobrodzieju!

Proszę mi darować, że z odpowiedzią tak się opóźniłem, a dziś bardzo krótką będzie korespondencya moja ale jestem bardzo chory.

Rysować do dziennika Pańskiego nieprzyobiecuję bo niewiem zupełnie czy choroba a raczej leczenie moje, pozwoli mi zająć się czemś innem.

Za parę dni wyjeżdżam na południe i losy moje niestety są bardzo niepewne.

Darujcie Szanowny Panie że wręcz odmawiam i przyjmijcie serdeczne pozdrowienia od Waszego

uniżonego sługi

Paryż 24/10 867

Arthur Grottger.

ROZMAITOŚCI.

Przywileje z XVI w. dla bractwa i cechu malarzy katolickich we Lwowie.

(Oryginały spisane w języku łacińskim na pergaminie są własnością „Biblioteki Poturzyckiej" hr. Dieduszyckich we Lwowie).

I. Przywilej arcyb. lwow. Jana Dymitra Solikowskiego z r. 1596.

Jan Dymitr Solikowski z Solek z bożej łaski Arcybiskup Lwowski i t. d. Niniejszem pismem naszem oznajmiamy wszystkim razem i każdemu z osobna, komukolwiek na tem zależy, tak Duchownym, jakoteż ludziom stanu Świeckiego, iż jest to obowiązkiem naszego urzędu, którzyśmy przez osobliwszą łaskę Boga Najlepszego i Największego do godności Arcybiskupiej wyniesieni zostali, byśmy wszystko, cokolwiek zdaje się przyczyniać do czystej i nieskazitelnej chwały Wszechmocnego Boga, o ile jest to w naszej mocy, przewidywali, popierali, oraz starali się, by tego najusilniej przestrzegano.

Ponieważ atoli obrazy, wykonane stosownie do przepisów religijnych, ku ozdobie świątyni pańskiej, ku chwale Wszechmocnego Boga i czci jego Świętych — niepoślednie mają znaczenie i bardzo się przyczyniają do zachowania w pamięci obrzędów religijnych, jakoteż do rozbudzenia pobożności w ludzkich sercach, przeto uznaliśmy za stosowne, także Malowidła, lub rzeźby ująć w pewne przepisy oraz przeprowadzić w bożym Kościele i pod tym względem reformę zgodną z Pismem Świętem.

Ponieważ Święty Sobór Trydencki uchwalił oddawać należną cześć i uszanowanie obrazom Chrystusa i Boga, Niepokalanej Dziewicy i innych Świętych, któremi czcimy zwykle i ozdabiamy, przedewszystkiem domy boże, nie dlatego, byśmy mieli wierzyć, iż jest w nich jakieś bóstwo lecz dlatego że okazywana im cześć odnosi się do wyobrażanych przez nie Pierwowzorów; ale, nie wiadomo w jakich bezecnych czasach wyrobiona, chytra przebiegłość Schizmatyków, oraz ich żądza malowania w ten sposób, bym nie rzekł, zmyślania obrazów, celem sprzedaży, — do tego stopnia się roznamiętniła, iż — ludzi katolickiego wyznania nie dopuszczają oni

nawet zgoła do wyuczenia się sztuki malarskiej i z pośród siebie ich wykluczają, ażeby mieć przez to sposobność do pysznienia się i chełpienia i, co niestety często o nasze obija się uszy — do urągania nam, że oto dzieła ich rękami wykonane w Kościele czcimy i uwielbiamy. Otóż my mając przedewszystkiem na względzie bogobojność, oraz to, ażeby obrazy, które sporządzamy na cześć i chwałę bożą, przed któremi odkrywamy nasze głowy i padamy na kolana, tudzież je ucałowujemy — nie były hańbione i bezczeszczone rękami Schizmatyków, jakimi przecież są Ormianie i Rusini, — dalej zaś przeglądnąwszy też dokument, udzielony łaskawie Szlachetnemu Janowi Szwankowskiemu, Malarzowi Św. Król. Mości, gorliwemu Arcymistrzowi i założycielowi Związku Katolickich Malarzy, mocą którego zwalnia się jego samego wraz z jego bractwem od wszelakich nieszlachetnych i poniżających obowiązków — uznajemy sztukę Malarską za szlachetną i służącą Kościołowi bożemu ku ozdobie i pożytkowi, oraz zabraniamy jej wykonywania Ormianom i Rusinom, jakoteż innym Schizmatykom pod zagrożeniem grzywną, którą nałoży się na przestępców. Dokument ten zaszczyca samego Szwankowskiego wraz z jego towarzyszami pewnemi przywilejami i odznaczeniami.

Mając też na względzie prawo publiczne, postanawiamy iż wszystkie bractwa i stowarzyszenia artystów, jeżeli nie są urządzone według przepisów i w posłuszeństwie dla Kościoła należy znieść i rozwiązać. — Któż bowiem nie widzi, że stowarzyszenia Schizmatyków burzą kościelny porządek i psują posłuszeństwo względem rzymskiego Kościoła, który jedyny, katolickim jest? Wyznawcy katolickiego obrządku, czy to jako pachołkowie, korzystający z ich pomocy przy kształceniu się w sztuce, czy też jako towarzysze pomagając im w pracy, przebywać muszą w ich domach i tem samem już nie mogą należycie okazywać posłuszeństwa Kościołowi, a mianowicie zachowywać obrzędów, święcić Świąt i spełniać przepisów kościelnych, bo wszystko to jest u Schizmatyków zupełnie odmienne. Mając to na względzie, uznajemy za niegodne by niewolnicy i oporni cieszyli się temi samemi, co wolni swobodami i ulgami, gdyż mogłoby się zdawać, że przez wspólne pożycie i przez zażywanie wspólnej z Katolikami wolności, utwierdza się ich w ich błędzie.

Temi tedy, jakoteż innemi powodowani względami, jakie zawierają przepisy kościelne — polecamy wszem wobec i każdemu z osobna, niniejszem pismem naszem, które ma być ogłoszone w całej naszej Archidyecezji, by wszyscy bądź to Duchownego, bądź też Świeckiego stanu, którzy mają zamiar zamawiać obrazy, lub też jakiekolwiek inne przedmioty, odnoszące się do Pisma Świętego i do katolickich obrzędów pogrzebowych — dawali je malować wyłącznie tylko ludziom katolickiego wyznania i synom posłusznym Świętemu, Rzymskiemu, Apostolskiemu Tronowi. Albowiem wiemy to całkiem pewnie, że dzięki Bogu jest bardzo wiele naszych, którzy w sztuce malarskiej tak się odznaczają, iż pozostawiają Schizmatyków daleko poza sobą, a po wyznaczeniu im nagród za ich prace prześcigać ich będą czem raz bardziej.

Ponieważ nadto Świętemi Kościelnemi Uchwałami ustanowione są pewne normy odpowiadające godności i nabożeństwu, od których przy malowaniu obrazów nie należy odstępować — jakimże tedy sposobem mogą im zadość

uczynić, nieobeznani z nimi Schizmatycy, których pogańskie prace należy naszem zdaniem, choćby z tego już względu wykorzenić z przybytków Pańskich, by położyć kres szerzeniu ich błędów za pomocą obrazów.

Ażeby zaś to nasze zarządzenie było tem usilniej przestrzegane i w mocy utrzymywane i by chytrym sposobem czegokolwiek zeń nie ujęto nadajemy niniejszem pismem naszem i wspólnie z naszą Kapitułą przyznajemy po wieczne czasy Bractwom Malarzy następujące „Godło": Przedewszystkiem pieczęć kapitulną Błogosławionej Dziewicy Maryi z dziecięciem Jezus na rękach w okoleniu promieni słonecznych, następnie insignium ojczystego, naszego Jednorożca, stojącego u Jej stóp; pod Jednorożcem zaś dodajemy Godło Malarzy Katolickich nadane im przez Świętą Cesarską Mość, a mianowicie trzy pola białe w polu czerwonem, tak, jak się je tu widzi w całości namalowane i odciśnięte w laku. Niechaj po obwieszczeniu tego i unaocznieniu pieczęć tę wyciskają na każdym obrazie, ołtarzu, lub nagrobku, żeby tak nam, jakoteż w przyszłości następcom naszym łatwo było poznać, iż obraz jest rękami Katolików namalowany i wypracowany. Podaje się do wiadomości ogółu, że gdyby na jakimkolwiek obrazie, ołtarzu, nagrobku, lub chorągwi, które mają być umieszczane w jakiejkolwiek Świątyni naszej Archidyecezji nie była wyciśnięta ta pieczęć, dana przez nas Towarzystwu Katolickich Malarzy, to rzeczy tej, ani my, ani nasi następcy nie poświęcimy i Bogu nie ofiarujemy, ani też do Kościoła nie przyjmiemy, a nawet polecamy dzieło takie, jako rękami bezbożnych splamione i niegodne z domu bożego usunąć i wyrzucić. A nadto ogłaszamy, że na tych, którzyby inaczej uczynili nakładać będziemy — my, — lub ustanowiony przez nas sędzia, kary kościelne według przepisów kanonicznych. Przekraczający również zarządzenie Św. Król. Mości będą musieli płacić grzywnę dziesięciu Marek szczerego złota, a to połowę na rzecz król. skarbu, drugą zaś część samemu Stowarzyszeniu Katolickich Malarzy; kara ta jest wymieniona w Dyplomie Św. Król. Mości, którym ją nałożono. Wymienione Stowarzyszenie uznali też i zatwierdzili na polecenie Św. Król. Mości świetni konsulowie lwowscy. Wycisnąwszy dla uwierzytelnienia sprawy i przytwierdziwszy naszą pieczęć, podpisaliśmy się też dla niezbitego dowodu własnoręcznie.

Dano we Lwowie dnia 21-go Miesiąca Stycznia Roku Pańskiego 1596-go.
Jan Dymitr Solikowski, Arcybiskup Lwowski w. r.
Jan Tarnowski Arcybiskup Lwowski w. r.
Albert Perlicki Przełożony, Oficyał i Prokurator Lwowskiej Kapituły w. r.
Łukasz z Witkowic Witkowski Dziekan Lwowski w. r.

II. Przywilej Solikowskiego z r. 1596.

„W Imię Boże Amen. Ku wiecznej rzeczy pamięci. My Jan Dymitr Solikowski z łaski Boga i Apostolskiego Tronu, Arcybiskup świętego Metropolitalnego, Lwowskiego Kościoła, wiekuisty Zarządca Opactwa Wąchockiego i Apostolski Superintendant Mołdawii, ogłaszamy i oświadczamy wszystkim razem i każdemu z osobna, kogo to dotyczy, że my szerząc z obowiązku pasterskiego naszego urzędu cześć Boga, jakoteż wedle sił naszych, mając na oku dobro powierzonych nam owieczek, oraz z uwagi

na to, iż także zbożne i przyzwoite malowidła, przedstawiające w świątyniach, naszego Zbawiciela, Błogosławioną Dziewicę Marję, matkę Jego i Świętych Pańskich, wykonane według dawnego zwyczaju św. Katol. Kościoła i według postanowień Św. Przepisów przyczyniają się w wysokim stopniu do prawdziwej pobożności — postanowiliśmy w tej niepośledniej dla bożego Kościoła sprawie zaprowadzić, jako jego pasterz, pewien ład i porządek.

Albowiem wobec wzrostu skrzętności wiernych Chrystusowych około wznoszenia Kościołów i sprawiania do nich świętych obrazów należało z jednej strony zapobiedz prywatnej żądzy, jakichkolwiek ludzi, malowania obrazów wedle swego upodobania, co zdaje się wzrastać w nieskończoność, — z drugiej atoli ustanowić pewien ład i porządek, iżby to, co zarządzono dla ozdoby bożego domu, nie stało się oszpeceniem, co dla zbudowania duchowego nie zrodziło zgorszenia, co zaś ku zbawieniu, by nie otwierało drogi do zepsucia. Zwłaszcza, że przebywają pośród nas Schizmatycy, którzy dotychczas trwają z wielką zuchwałością w swoich błędach i usiłują z krzywdą i zniewagą świętego Kościoła, oraz jego przepisów i przełożonych, zanieczyścić katolickie świątynie swemi malowidłami. Przeto my pragnąc, przez to nasze wystąpienie, zapobiedz wszelkim nieprawidłowościom i zgorszeniom, uznaliśmy za stosowne ku dobremu porządkowi i chlubie powierzonego nam Kościoła — ustanowić, założyć i urządzić w tym Lwim grodzie bractwo sztuki i zawodu malarskiego, — co też w imię Boga ustanawiamy, zakładamy i zarządzamy, o ile się to odnosi do kościelnych malowideł i do katolickich obrzędów pogrzebowych.

Przy tej sposobności korzystamy z pełnomocnistwa Stowarzyszenia Św. Anny, które pozwala nam przygarnąć do chwały bożej, oraz dopuścić do korzystania z jego przywilejów, jakoteż przyjąć doń, także inne pobożne, duchowne stowarzyszenia oraz ich członków i towarzyszy. By następnie zawód ten i bractwo tem lepiej się rozwijało, ustanawiamy, mianujemy i przeznaczamy niniejszem pismem naszem, Szlachetnego i wykształconego męża, Jana Szwankowskiego, Św. Król. Mości uprzywil. malarza — Przełożonym tego bractwa, a jako jego towarzyszy, znakomitych mężów: Jana Gallusa, któregośmy do tego miasta przywieźli, Kaspra Szpanczyka, Jana Rudulta, Józefa Wolfowicza, Jana Ziarnka, Jakóba Lieszczyńskiego i Mikołaja Rużyńskiego wraz z tymi towarzyszami, których to ich bractwo wychowa, wyuczy i zatwierdzi.

Dalej nadajemy wraz z naszą czcigodną Kapitułą temu malarskiemu bractwu Błogosławioną Maryę Dziewicę okoloną słońcem, patronkę naszego Kościoła i Kapituły, trzymającą na rękach dzięcię Jezus, u jej kolan biegnącego Jednorożca, nasz ojczysty klejnot, u dołu zaś trzy tarcze białe w polu czerwonem nadane sztuce malarskiej przez rzymskich Cesarzów, jak je tu namalowane widzieć można.

Wszystkie i tylko te obrazy katolickich świątyń, które będą tym znakiem oznaczone, tak my, jak i nasi następcy, Najprzewielebniejsi Lwowscy Arcybiskupi przyjmiemy do poświęcenia i pobłogosławienia, inne zaś, bez tego znaku, odrzucimy i w katolickich kościołach umieścić nie pozwolimy. Mimo to jednak, tych obrazów, które jeszcze przed nadaniem tego przywileju umieszczono w świątyniach pańskich, nie należy, ani usuwać, ani

też podawać w wątpliwość, chyba, że będą w sobie miały, według naszego sądu, coś bezbożnego i szpetnego.

Pragnęlibyśmy bowiem z całej duszy, aby wszyscy Schizmatycy i wrogowie naszej świętej, katolickiej, rzymskiej religii w tem mieście, Dyecezyi i naszej prowincyi powrócili do prawdy i do jedności z katolickim Kościołem. Jeżeli już nie w ten doskonały sposób łączności, gdzie wszystkie części zgadzają się i odpowiadają znakomicie swej całości, całość zaś swym częściom, to przynajmniej tak, jak to się stało na Soborze Florenckim, kiedy to, uznawszy pochodzenie Ducha świętego od Ojca i Syna uzyskali oni pozwolenie odprawiania nabożeństw i czczenia Boga według własnych obrządków w posłuszeństwie dla najwyższego Pasterza i w jedności z mistycznem ciałem Chrystusa tj.: z Kościołem. To samo zaręczyli rzymskiemu, świętemu Apostolskiemu Tronowi i nasi Władykowie, błagając Boga, by pokochali wraz z nami prawdziwy spokój i przyłączyli się do tej Królowej, matki naszej świętej tj.: do Kościoła otoczonego różnowierstwami, — by byli mu posłuszni, oraz powściągnęli nieco swą pychę, a wtedy my nie tylko pokochalibyśmy ich, jak braci, lecz zgodzilibyśmy się dopuścić ich do udziału we wszystkich naszych przywilejach. Dlatego też będą mogli katoliccy nasi malarze dopuszczać i przyjmować do swego bractwa i stowarzyszenia i takich, którzy w religijnych swych obrzędach zachowywać będą z nami spokój i miłość.

Upominamy tedy świetny Magistrat miejski, jakoteż lwowski urząd grodzki, oraz wszystkie inne urzędy istniejące w całej naszej Archidyecezyi, iżby to nasze pasterskie zarządzenie i przywilej duchownej naszej władzy obwieścili wszystkim, wezwawszy ich przed swe oblicze, którzyby pragnęli mienić się i być malarzami, by następnie nikomu się nie zdawało, że pod pozorem nieświadomości może się użalać i żądać zapłaty za wyrządzone mu szkody, tak jakoby, niczego nieprzeczuwając, przyjął zamówione do katolickich świątyń prace malarskie bez poprzedniej przestrogi.

Gdyby ktokolwiek z wiernych naszej religii usiłował jakiemś nierozważnem przedsięwzięciem zdziałać coś wbrew temu naszemu postanowieniu, lub też ośmielił się malowidła, wykonane przez Schizmatyków, albo też bractwa tego nieuznających, nabywać i umieszczać w świątyniach, ten, jako sprzeciwiający się naszej jurysdykcyi i nieposłuszny syn Kościoła, tem samem popadnie natychmiast w klątwę i poniesie szkodę przez wyrzucenie jego, lekkomyślnie i nierozważnie do świątyni przyniesionych obrazów.

Dla uwierzytelnienia tego wszystkiego podpisaliśmy niniejszy dokument przywileju, ustanowienia, założenia i zarządzenia naszego własnoręcznie i poleciliśmy zaopatrzyć go pieczęcią naszą i przewielebnej naszej Kapituły.

Dano we Lwowie dnia dziesiątego, miesiąca Lipca roku Pańskiego tysięcznego pięćsetnego dziewięćdziesiątego szóstego.

Jan Dymitr Solikowski, Arcybiskup Lwowski własnoręcznie.

Albert Perlicki, Przełożony, Oficyał i prokurator Wielebnej Lwowskiej Kapituły wł. r.

Jan Tarnowski, Arcybiskup Lwowski wł. r.

Łukasz z Witkowic Witkowski, Dziekan Lwowski wł. r.

Walery Alembek, Medycyny Doktor, Prokonsul Św. Król. Mości „Państwa Lwowskiego".

III. Zygmunt III. zatwierdza I przywilej Solikowskiego z $^{21}/_{1}$ 1596 r.

„Zygmunt Trzeci z Bożej łaski Król Polski, wielki Książę Litwy, Rusi. Prus, Mazowsza, Żmudzi, Inflant i t. d. jakoteż dziedziczny Król Szwedów, Gotów i Wandalów oznajmiamy niniejszem pismem naszem wszystkim razem i każdemu z osobna, komu to wiedzieć należy. Przedłożono nam dokument pergaminowy pod tytułem Najprzewielebniejszego w Chrystusie Ojca, pana Jana Dymitra Solikowskiego, Arcybiskupa Lwowskiego i jego czcigodnej Kapituły zaopatrzony ich pieczęciami, nienaruszony, cały i bez śladu jakiegokolwiek podejrzenia, którem to pismem, tenże Najprzewielebniejszy Arcybiskup wraz z swą Przewielebną Kapitułą udzielił Cechowi (Centubernio) Lwowskich Malarzy pewnych przywilejów ku podniesieniu ich stanu oraz ku zachowaniu porządku w swej Archidyecezyi. Proszono też nas w ich własnem imieniu, byśmy uznali za godne dokument ten przyjąć oraz Królewską naszą powagą wzmocnić i zatwierdzić. Treść jego w dosłownem brzmieniu jest następująca:“ (dosłowne powtórzenie przywileju Solikowskiego z dnia 21 stycznia 1596 roku). „My tedy wyżej wymieniony Król Zygmunt Trzeci pragniemy, by przytoczony dokument we wszystkich punktach, klauzulach i artykułach przy zachowaniu szczegółowych i ogólnych warunków był Królewską naszą powagą wzmocniony i zatwierdzony i o ile zezwala na to zasadnicze prawo publiczne zatwierdzamy go wzmacniamy i uznajemy wraz z wymalowaną na oryginale pieczęcią, jakoteż chcemy, by miał on (pełną), należną mu władzę i moc, która ma być usilnie i niewzruszenie zachowana przez wszystkich kogokolwiek to dotyczyć będzie, a to pod wymienioną wyżej grzywną. Dla uwierzytelnienia sprawy podpisaliśmy pismo niniejsze własnoręcznie, oraz rozkazaliśmy wycisnąć Królewską naszą pieczęć. Dano w Warszawie dnia dziesiątego, Miesiąca Stycznia, Roku Pańskiego Tysięcznego Pięćsetnego Dziewięćdziesiątego Siódmego, Panowania naszego w Polsce Dziesiątego, w Szwecyi zaś Trzeciego. Zygmunt Król. M. Sękowski w. r.“

IV. Przywilej konsulów lwowskich z r. 1597.

„Konsulowie miasta Lwowa wszystkim razem i każdemu z osobna, którzy dowiedzieć się pragną, oznajmiamy niniejszem pismem, jak to, jawiąc się osobiście na naszem pełnem posiedzeniu wymienieni poniżej lwowscy malarze miejscy, przedstawili nam uzasadnione powody, które nas pobudziły i nakłoniły do przyzwolenia im tego, czego się słusznie domagali, a mianowicie podniesienia ich sztuki, jakoteż założenia i zatwierdzenia ich stowarzyszenia.

Ponieważ atoli Rzeczypospolitej bardzo na tem zależy, ażeby sztuki wszystkie jak najstaranniej były wykonywane, zwłaszcza te, które służą ku czci bóstwa i religii i są raczej dziełami ducha niż rąk, przeto uważaliśmy to za szczególniejszą naszą troskę, by sztuka malarska w tej Rzeczypospolitej należytym cieszyła się wzrostem i uznaniem. Zdarza się bowiem, iż skoro zejdzie ona na drogę grzechu, tedy wkradają się też błędy w życie ludzkie.

Z tej racyi sztuka malarska — której wytworność podziwiały wszystkie

wieki, która przez swe naśladownictwo natury służy kultom religijnym, a ze względu na swą trudność wykonania zawsze tylko przez najwybitniejsze talenty uprawianą być mogła — do najpierwszych należeć powinna.

Wreszcie przepojona światłem prawdy Jezusa Chrystusa do takiej wzrosła godności, iż czczone przez nas obrazy przedstawiają jako żywe czyny Jezusa Chrystusa i Jego Świętych, tudzież przyczyniają się do podniesienia kultu bóstwa i do uświetnienia blasku Kościoła.

Ale skoro dotąd była ona czemś tak nadzwyczajnem, że istniała w duszy jednego tylko, lub dwu malarzy, nie mieliśmy tedy sposobności uczczenia jej własnym cechem i ujęcia w prawa, teraz zaś, kiedy z dawej nikłości do należytej wzrosła liczby i kiedy powaga Najprzewielebniejszego w Chrystusie Ojca i Pana, Pana Jana Dymitra Solikowskiego z łaski Boga Arcybiskupa Lwowskiego i Pasterza naszego najłaskawszego ujęła się za tem,ażebyśmy lwowskich malarzy katolickich, wedle praw i przywilejów tej Rzeczypospolitej złączyli w stowarzyszenie i bractwo — rozważyliśmy to uczynić. Co też niniejszem pismem naszem, wezwawszy imienia Boga Wszechmocnego, dla okazałości Kościoła katolickiego, tudzież dla ozdoby tej Rzeczypospolitej czynimy; — tworzymy, zakładamy i urządzamy stowarzyszenie Malarzy katolickich, oraz udzielamy im pełnej władzy, jaka jest potrzebna do sztuki tej wykonywania i doprowadzenia jej do doskonałości; żeby zaś tem korzystniej i skuteczniej to spełniali nadajemy im i ustanawiamy niżej wymienione prawa i reguły.

Najpierw tedy wszystkich tych niżej wymienionych, a to Szlachetnego i Sławnego Jana Szwankowskiego, Świętej Król. Mości uprzywilejowanego malarza, Obywatela naszego lwowskiego, następnie Jana Gallusa, Kaspara Szpanczyka, Jana Rudulta, Józefa Wolphowicza, Jana Ziarnkowicza, Jakóba Lieszczyńskiego, Mikołaja Rożyńskiego, którzy spowodowali nas do założenia tego związku, ogłaszamy sprawiedliwymi i prawdziwymi Mistrzami, oraz uznajemy ich za takich razem z tymi towarzyszami, których to ich bractwo wychowa, wyuczy i zatwierdzi. Ci zaś, którzyby zapragnęli być przyjętymi do ich stowarzyszenia, będą obowiązani stosować się do wszystkich niżej przytoczonych artykułów, oraz spełniać wszystkie razem i każde z osobna, zawarte w nich postanowienia, które tak opiewają."

„Gdyby ponadto zaszło coś między nimi, co ma związek z godnością i przepisami sztuki, tudzież ich stowarzyszenia, będą mieć zupełną władzę wzajemnego rozsądzania się w tem i naprowadzania na dobrą drogę; wyroki ich zaś będą miały moc i znaczenie uchwał sądowych. Mimo to jednak nienaruszonem pozostaje prawo odwołania się kogokolwiek z tego towarzystwa do instancyi wyższej i w każdym wypadku nienaruszonym ma pozostać sąd przełożonego, tudzież konsularna nasza władza której też zastrzega się pełne prawo w zatwierdzaniu, lub unieważnianiu wyroków. Co się zaś tyczy zgromadzeń, to zezwalamy im i zgadzamy się, by w miarę konieczności, według zwyczaju przyjętego w innych stowarzyszeniach, karano czyjąkolwiek nieobecność i upór trzema groszami, jeżeli zaś zażąda ktoś przebaczenia za nieobecność, otrzyma je po uiszczeniu jednego grosza.

Ponieważ wszelkie kolegia chlubią się swym arcymistrzem, na którego polecenie odbywają swe zgromadzenia i ponieważ sami, wyżej wymienieni mistrzowie wskazali nam, na podstawie wspólnej uchwały, Szlachetnego,

Jana Szwankowskiego, malarza Świętej Król, Mości, obywatela lwowskiego, jako męża wykształconego, a prócz tego w tych zwłaszcza początkach urządzenia i rozwoju tego bractwa katolickich malarzy, zupełnie odpowiedniego, który przy jego założeniu osobliwszą wykazał działalność, tedy my, poznawszy usilne jego starania w tej sprawie wzmocnienia i tem silniejszego utrwalenia swego bractwa, — ustanawiamy i ogłaszamy z ramienia naszego konsularnego, tegoż samego wyżej nazwanego Jana Szwankowskiego, Przełożonym i kierownikiem owego kolegium na lat siedem, po których upływie, zwyczajem przyjętym w innych kolegiach wolno będzie temu stowarzyszeniu wybrać i ustanowić dwóch braci jako Starszych. Prócz tego, jeśli Przełożony i kierownik takiego kolegium, wspólnie z innymi Mistrzami postanowi coś dobrego ku podniesieniu tego towarzystwa i nam o tem doniesie, tedy my przyrzekamy odpowiednie postanowienia zatwierdzać, przyczem jednak nienaruszonem pozostaje nasze współdziałanie przez dodawanie zastrzeżeń, zmniejszanie, lub rozszerzanie wspomnianych artykułów, co do ich mocy i znaczenia — ilekroć potrzeba, lub konieczność tego wymagać będzie.

W końcu, gdyby ktoś poza tego rodzaju towarzystwem zechciał bądź to wewnątrz, bądź też poza murami miasta, na przedmieściach, na szkodę tej naszej ustawy i porządku sztukę malarską uprawiać, tedy usiłowaniem naszem będzie skarcić go i zmusić do posłuszeństwa, ażeby w kolegia założone na pożytek i wzrost miasta, niedoświadczeni zuchwalcy nie wprowadzali zamętu i by one nie stały się szkodliwemi dla publicznego dobra.

Dla uwierzytelnienia tego wszystkiego i dla wieczystej mocy wyciśnięto na niniejszym dokumencie konsularną naszą pieczęć.

Dano i działo się we Lwowie w ostatnią sobotę przed świętem Św. Agnieszki, Dziewicy i Męczennicy roku pańskiego tysięcznego pięćsetnego dziewięćdziesiątego siódmego.

Andrzej Mądrowic, notaryusz Rzeczyposp. lwowskiej w. r., Walery Alembek Medycyny Doktor, Prokonsul Św. Król. Mości Rzppltej lwowskiej w. r.

V. Zatwierdzenie przywileju konsulów przez Zygmunta III. dnia 10/III 1597 r.

„Zygmunt Trzeci Król Polski, Wielki Książę Litwy, Rusi, Prus, Mazowsza, Żmudzi, Inflant itd. jakoteż Szwedów, Gotów i Wandalów dziedziczny Król. Oznajmiamy niniejszem pismem naszem wszystkim razem i każdemu z osobna kogo to dotyczy. Przedłożono nam ten dokument pod tytułem i pieczęcią Szanownych i Sławetnych Konsulów naszego Państwa lwowskiego, bez jakiegokolwiek śladu wykroczenia i podejrzenia, którym, bractwu malarzy Katolickich w temże samem Państwie naszem lwowskiem założonem nadano pewne artykuły.

Proszono nas też imieniem wyżej wspomnianego bractwa, żebyśmy uznali za godne tenże dokument, oraz wszystkie i poszczególne jego ustępy powagą naszą Królewską zatwierdzić, uznać i wzmocnić zechcieli. Którego to dokumentu dosłowna treść jest następująca:“ (Tu następuje dosłowne powtórzenie poprzedniego dokumentu Konsulów z stycznia 1597 r.)

„My zaś Zygmunt, wyżej wymieniony Król, przychylając się łaskawie do wspomnianej prośby postanawiamy, by wyżej przytoczony dokument był we

wszystkich punktach, klauzulach i artykułach powagą naszą Królewską zatwierdzony i wzmocniony, tudzież, o ile prawo na to zezwala, uznajemy go i umacniamy niniejszem, zatwierdzającem pismem naszem, przez co ma zachować moc należytej i wieczystej trwałości. Ku uwierzytelnieniu sprawy pismo to ręką naszą podpisaliśmy i rozkazaliśmy wycisnąć Królewską naszą pieczęć.

Dano na Generalnym, Królewskim Sejmie w Warszawie dnia dziesiątego, Miesiąca Marca, Roku Pańskiego tysięcznego pięćsetnego dziewięćdziesiątego siódmego. Panowania naszego w Polsce roku dziesiątego w Szwecyi zaś trzeciego. Zygmunt Król. Pe: Cieklański".

VI. Zatwierdz. Zygm. III. z 20/III. 1597 r., 2 przywil. Solikowskiego z 10 VII. 1596 r.

„Zygmunt Trzeci z bożej łaski Król Polski, Wielki Książę Litwy, Rusi, Prus, Mazowsza, Żmudzi, Inflant itd. jakoteż Szwedów, Gotów i Wandalów dziedziczny Król. Oznajmiamy niniejszem pismem naszem wszystkim razem i każdemu z osobna komu to wiedzieć należy, iż przedłożono nam imieniem Lwowskich Malarzy Katolickich dokument pergaminowy, podpisany ręką Najprzewielebniejszego w Chrystusie Ojca, Pana Jana Dymitra Solikowskiego, Arcybiskupa Lwowskiego, zaopatrzony pieczęciami jego i Przewielebnej Kapituły Lwowskiego Kościoła, nienaruszony i niewątpliwie prawdziwy, oraz proszono nas, byśmy raczyli powagą naszą uznać go, wzmocnić i zatwierdzić; dosłowna jego treść jest następująca: (Powtórzenie drugiego całego przywileju Solikowskiego z 10 lipca 1596 r.)

„My więc Zygmunt trzeci wyżej wymieniony Król, do prośby powyższej łaskawie się przychylając, raczyliśmy przytoczony dokument we wszystkich jego punktach, postanowieniach i artykułach zatwierdzić, uznać i przyjąć, co też niniejszem uznajemy, zatwierdzamy i przyjmujemy, oraz chcemy, by jak prawo nakazuje, posiadał moc należnej mu ważności.

Dla uwierzytelnienia sprawy podpisaliśmy niniejszy dokument własnoręcznie i rozkazaliśmy opieczętować go pieczęcią naszego Królestwa. Dano w Warszawie na Sejmie Królestwa dnia dwudziestego miesiąca Marca roku Pańskiego tysięcznego pięćsetnego dziewięćdziesiątego siódmego, zaś Panowania naszego w Polsce roku dziesiątego, a w Szwecyi czwartego. Zygmunt Król w. r. Łukasz Gembicki w. r.

VII. Nuncyusz papieski zatwierdza 2 przywilej Solikowskiego z 10/VII 1596 r.

„GERMANICUS Markiz Malaspina z łaski Boga i Apostolskiego Tronu Biskup St. Severo i Szafarz obu Sygnatur, jakoteż z boskiej opatrzności Najśw. Pana Naszego, Papieża Klemensa Ósmego, oraz z polecenia Św. Tronu obdarzony władzą legata przybocznego, Nuncyusz Najjaśniejszego Zygmunta III-go, Polski i Szwecyi Króla, oraz Królestwa Polskiego. Oznajmiamy niniejszem pismem naszem wszystkim razem i każdemu z osobna, iż Najprzewielebniejszy i Najczcigodniejszy Jan Dymitr Solikowski, Arcybiskup Lwowski, powodowany pragnieniem rozszerzenia kultu Boga i rozbu-

dzenia prawdziwej pobożności w duszach ludzkich, oraz chcąc zapobiedz brzydkim błędom, niektórych zwłaszcza Schizmatyków i Heretyków, którzy starają się swemi mniej niż nieprzyzwoitemi malowidłami katolickie świątynie zanieczyścić, jakoteż pragnąc, by w przyszłości w świątyniach jego Archidyecezyi malowano obrazy, bądź Zbawiciela naszego, bądź też Błogosławionej Dziewicy Maryi oraz wszystkich Świętych Pańskich zbożnie i godnie, przedewszystkiem zaś, podług starego zwyczaju Świętego, Katolickiego Kościoła i według Świętych Przepisów — założył ustanowił i urządził w Rzeczpltej lwowskiej Bractwo sztuki i zawodu malarskiego, jak to z dokumentu tego jasno wynika, a którego dosłowna treść jest następująca:"
(tu następuje dosłowne powtórzenie drugiego przywileju Solikowskiego z 10 lipca 1596 r.)

„Nas zaś prosił, byśmy uznali za godne założenie, ustanowienie i urządzenie tegoż bractwa sztuki i zawodu malarskiego powagą Apostolską uznać i zatwierdzić. My zaś wyżej wymieniony Germanikus, — uznając słuszność tego rodzaju prośby oraz pragnąc gorąco, by cześć boska i religijność ludzka była jak najbardziej wywyższona, jakoteż, by świątynie katolickie ozdabiano zbożnemi i godnemi malowidłami — nie uchylamy się od czuwania nad tego rodzaju zawodowemi pracami oraz udzieloną nam na mocy naszego Apostolsk. pisma władzą Apostolską ustanowienie, założenie i urządzenie wymienionego bractwa sztuki i zawodu malarskiego, — uznajemy i zatwierdzamy w tym kierunku, w jak najlepszy sposób, w całości i szczegółach.

Na tem dobitniejsze świadectwo pismo niniejsze podpisaliśmy naszą ręką i zarządziliśmy wyciśnięcie pieczęci. Dano w Warszawie dnia XVIII-go miesiąca Kwietnia Roku Pańskiego 1597. Pontyfikatu Najświętszego wyżej wymienionego Pana Naszego roku siódmego.

Germanikus, Biskup Ś-tego Sewera Nuncyusz Apostolski".

VIII. Zatwierdz. poprzednich dokumentów przez Jana III.

„JAN III, Z ŁASKI BOGA KRÓL POLSKI, Wielki Książę Litwy, Rusi, Prus, Mazowsza, Żmudzi, Kijowa, Wołynia, Podola, Inflant, Smoleńska i Czernichowa. Oznajmiamy niniejszem pismem Naszem wszystkim i każdemu, kogo to dotyczy.

Chociaż podczas szczęśliwej Koronacyi naszej i objęcia królewskiej władzy, za wspólną zgodą wszystkich Stanów i Obrzędów Królestwa, wszystkie i poszczególne prawa i przywileje wszystkich i pojedynczych Obywateli, poddanych mieszkańców, Bractw i Cechów tej sławnej Rzeczypospolitej, przez Boga Naszemu Rządowi oddanych, świętą przysięgą religijną wzmocniliśmy i zatwierdziliśmy — to jednakże przedłożono Nam cztery dokumenty pergaminowe, trzy ręką Najjaśniejszego Zygmunta III, Poprzednika Naszego podpisane i zawieszonemi pieczęciami wzmocnione, dane w Warszawie na Sejmie generalnym, pierwszy: dnia 10-go Miesiąca Stycznia, drugi: 10-go, trzeci zaś 20-go miesiąca Marca Roku Pańskiego 1596, czwarty zaś dosłownie poniżej odpisany, ręką Najjaśniejszego Jana Kazimierza, Poprzednika Naszego podpisany i umocniony pieczęcią Kancelaryi Królewskiej, cały nienaruszony i bez śladu jakiegokolwiek podejrzenia, zawierający Zatwierdzenia Przywilejów, Artykułów, swobód i nadań służących Bractwu

Lwowskich Malarzy, oraz proszono Nas Imieniem Sławetnych: Stefana Jastrzembskiego i Grzegorza Bogusza, Obywateli i teraźniejszych Starszych tegoż Bractwa Malarzy Lwowskich, byśmy dokumenty te, tak co do dat i treści wyszczególnione, jakoteż poniżej dosłownie odpisane uznali za godne zatwierdzenia, wzmocnienia i uznania osobliwszą Naszą łaską i powagą. Treść dokumentów tych, a szczególnie Najjaśniejszego Jana Kazimierza, napisanego po polsku jest następująca:“ (następuje dosłowne powtórzenie znanego przywileju Jana Kazimierza z 8 listopada 1662 r.)

„My zaś Jan Król przychylając się łaskawie do wyżej wymienionej, przedstawionej nam prośby wspomnianego Bractwa Malarzy Lwowskich postanowiliśmy, że przytoczony dokument ma być we wszystkich punktach, klauzulach, artykułach i warunkach zatwierdzony, umocniony i uznany. Według tego, jeżeli i o ile nie sprzeciwia się on prawu publicznemu i o ile jest pożyteczny, zatwierdzamy go, umacniamy i uznajemy niniejszem pismem Naszem. Uznając go tak, jak gdyby były w nim zawarte w dosłownem brzmieniu, także ogólne i szczegółowe przywileje, łaskawie udzielone przez Najjaśniejszych Poprzedników Naszych, przyznajemy, że powinien mieć siłę i moc wiekuistej trwałości. Ku uwierzytelnieniu sprawy podpisawszy dokument niniejszy naszą ręką rozkazaliśmy umocnić go pieczęcią Królestwa. Dano we Lwowie dnia 3-go Miesiąca Lutego Roku Pańskiego 1685-go Panowania Naszego Roku 12-go. Jan Król. Zatwierdzenie Przywilejów, służące Bractwu Malarzy Lwowskich. Andrzej Rębowski, Św. Król. Mości Sekretarz“.

Przełożył i podał do druku Józef Piotrowski.

Judaeo-Polonica.

Garść zwiędłych kwiatów i zaschłych liści chcę tutaj odświeżyć; kwiaty te niegdyś cudowną wydawały woń, liście swą zielenią bawiły oko widza. Nie wiele poezyi było wśród żydów polskich; kraj między morzem Bałtyckiem a Czarnem nie wydał ni Judy Halevy'ego, ni Salomona Gabirola! Czy niebo polskie nie sprzyjało hebrajskiej harfie? Czy interes tak umysłem i sercem owładnął, że nie zostało miejsca na struny Dawidowej gęśli? Czy może suchy talmud, który się rozpanoszył w domach i szkołach żydowskich, odebrał polskiemu żydowi zupełnie zmysł poetycki?

Nie ma wśród żydów polskich poetów ni hebrajskich, ni polskich, ani nawet żargonowych! Dopiero w najnowszych czasach na nowo zabrzmiała harfa hebrajska! Pogrom w ziemiach białego cara rozplątał struny dawno umilkłe!

Taki też pogrom — tysiąckroć straszniejszy — i w Polsce niepodległej wcisnął śpiewakom harfę w dłoń żebraczą i z tą harfą w ręku śpiewali światu Polski świetność i chwałę nim Chmiel z swą bandą „obrócił tę ziemię w perzynę“ i „moc wielkich miast i wsi rzucił na pastwę ognia i zagłady!“

„Chmiel, oby było wymazane imię jego“ [1]), nie znał litości, a gdy przebiegł Polskę ze swą hordą zniszczył ją tak, „że stała się podobna do Jerozolimy“, a na jej gruzach niby drugi Jeremiasz siadł Abraham ben (syn) Samuel, Aszkenazy zwan i na wzór Trenów Jeremiaszowych tak nad tą śpiewał ziemią:

„Jakżeś samotną Ty ziemio polska i ruska — Ty droga, Ty któraś wielką była swą wiedzą, spadło na Ciebie nieszczęście tak wielkie, że nie było większego od lat bardzo dawnych, od czasu wygnania „nieszczęsnej owieczki“ [2]).

„Pobożni i prawi, którzy prostą szli drogą, padli wśród niej zabici kamieniem lub mieczem, śmierć i wygnanie i cięgi okropne, mnóstwo rodzin

---

[1]) Zwykły dodatek do imienia Chmielnickiego w kronice z lat 1648-9 „Jawan Mezuba“ Natana Hannowera.

[2]) Izraela.

dotknęły i moc żon i dzieci! Dwa narody obrzydłe i nizkie[1]) które wzajem nienawiść k'sobie w sercu niosły od kiedy świat stworzony, złączyły się z sobą, na nieszczęście Twe ziemio suto krwią zroszona..." [2])

Żale te wywodzi Abraham ben Samuel, a w każdem jego słowie drga ból i rozpacz. Lecz nie jest on sam. Nieszczęście Rpltej obudziło więcej harf. I tak Mojżesz z Narola, który w swej tułaczce oparł się aż o Metz, śpiewa:

Polsko, Ty która byłaś rajem
Pierwszą byłaś dla nauki i wiedzy
Od dni, w których odpadł od Judy Efraim,
Ty któraś słynęła wiedzą umiejętną
Teraz jesteś wygnaną i samotną wdową
Opuszczoną jesteś przez swe własne syny.

Gdzie jest lwów schronisko, gdzie mędrcy nauki?
Gdzie mocarze co łaską szczodrzy są bez miary?
Gdzie pisarze miast polskich i nogi nadzorcy?
Gdzie jest Bóg, który sądzi i krew krwią odpłaca?

Zlituj się nad swym ludem, z rąk nas wybaw zbójców!
Wdziej na się szatę zemsty, za dusze niewinne,
Które jak ofiarne barany porżnięto
Całe gminy zniszczono, jak jednego męża.

Udziel Panie pokoju tym duszom nieszczęsnym
W wiecznem życiu, gdzie ptaki śpiewają niebieskie,
Gdzie owoc palmy kwitnie i woń swą rozsiewa
Tam wysoko u Ciebie na Abarim[3]) szczycie![4])

Inny wygnaniec — Jakób Kopel Margulies — również dłuższą napisał „Elegię na śmierć mędrców Polonii". Śpiewa on:

Nad nimi ja płaczę
Gorzkie łzy wylewam
Nad duszami prawych i uczciwych mężów
Których krew przelana, jak wody z gór rwące.

Zabici i zarżnięci na ćwierci pocięci
Uczeni i rabini, młodzieńcy i starcy!
Serce męża zdrętwiałe, dusza drży z boleści
Płacze, płacze bez końca, nikt jej nie ukoi.

---

[1]) Kozacy i Tatarzy. W terminologii hebrajszczyzny średniowiecznej zwą się wszyscy wyznawcy kościoła wschodniego: Jonomi t. j. Grekami, Tatarów zaś zwie się nazwą biblijną „namioty Kedaru"; tak zwano w biblii Arabów; tutaj Muzułmanów.

[2]) Gurland: L'korot nagzejrot al Izrael (Do dziejów nieszczęść nad Izraelem). Zeszyt II str. 11.

[3]) Góra na której Mojżesz umarł. V ks. Mojż. cap. XXXII w. 49.

[4]) Gurland l. c. Zeszyt III str. 15—17 zwrotka 11, 18, 22.

Bo głos żalu woła, bólu i złamania
Wór przywdziej żałobny, i posyp popiołem!
Płaczki wezwij nieszczęsny, zwołaj żałobnice!
Biada, biada tu ludziom, jutro już są w grobie.

Dziewice bezczeszczono wśród hańby i wstydu
Na piersiach je wieszano, pomnij ból i grozę!
Stawiano za cel strzale, co niezna litości,
Aż skonały wśród męczarń, Pan je wziął do siebie.

Cóż Ci powiem Polsko i z czem Cię porównam?
Niemasz miejsca u Ciebie, gdzieby przenocować!
Wszystko leży zabite w gruzie i kamieniu,
Ołtarz — duszy wesele — jest również zburzony [1]).

Lecz zostawmy te łzy i płacze, których całość tom wielki by dała i pójdźmy naprzód o półtora wieku.

Od sejmu konwokacyjnego przed elekcyą Stanisława Augusta, rozpoczęto się baczniej przypatrywać sprawie żydowskiej. Już samo rozwiązanie sejmów i sejmików żydowskich (1764) i zniszczenie tej autonomicznej hierarchii niby państwa w państwie, stanowi pierwszy krok do nadania praw żydom. Literatura i prace przed sejmem wielkim drugi krok naprzód oznaczają, a konstytucya trzeciego maja tej drogi częściowem jest zakończeniem.

Uczeni są niezgodni czy konstytucya dotyczyła żydów — ileże sprawa żydowska pod obrady plenum sejmowego nie przyszła — że jednak ówcześni żydzi wielką do niej przywiązywali wagę, świadczy nabożeństwo odprawione w synagodze warszawskiej i w synagogach prowincyonalnych w pierwszą rocznicę konstytucyi t. j. dnia trzeciego maja 1792 r. oraz hymn podczas tego nabożeństwa śpiewany. Hymn ten jest wydany w czterech językach t. j. w hebrajskim, polskim, niemieckim i francuzkim, z których oryginalnym jest hebrajski. Ten bowiem tekst odśpiewano przypuszczalnie w synagogach. Całość hymnu przedrukowano w setną rocznicę konstytucyi, lecz tak pierwszy druk [5552 rok według rachuby synagogi] jakoteż i przedruk [Stryj 1891] są prawie że nie znane.

Tytuł hebrajski brzmi: Szira chadasza, szibehu hajhudim, l'melech gadol chochma u wina, chasid w tow lakol i t. d. [Pieśń nową zaśpiewali żydzi królowi wielkiemu mądrością i rozsądkiem, pobożnemu i dobremu dla wszystkich i t. d.] „Rzecz drukowa w królewskiej stolicy, Warszawie, znanej w bramach, r. 5552“.

Tytuł polski: „Hymn przy obchodzie uroczystości, dnia 3 maja 1792 r., na pamiątkę nowej rządowej ustawy na sejmie roku 1791 od najjaśniejszej Rzepltej stanów uchwalony (sic!). Śpiewany w Warszawie i w innych Rzeczypospolitej Miastach od wszystkich Narodu Żydowskiego Zgromadzenia,

---

[1]) ibidem, zeszyt VI str. 83—6 zwrotka 1, 2, 3, 7, 9. — Wszystkie powyższe wiersze są pisane po hebrajsku, językiem biblijnym. Zwroty, a nawet całe zdania są wyjęte z biblii, a często z talmudu. Tłómaczyłem dość niewolniczo tych kilka zwrotek, starając się zachować o ile możności rytm i kolor wschodni. W oryginale są nadto rymowane.

na okazanie ich czułości powszechną radość dzielącej; ofiarowany od Deputowanych Zgromadzenia Żydowskiego Warszaw. W Warszawie w Drukarni Piotra Dufour, Konsyliarza Nadwornego J. K. Mci i Dyrektora Drukarni Korpusu Kadetów (!)".

Dank-Lied am Tage der Feuer (sic!) der von dem Allerdurchlauchtigsten König Stanislaus August und der erlauchten Republique entworfene(!) neue (!) Constitution in das (!) Königreich Polen am dritten may (!) 1792. Gesungen in Warschau und in allen übrigen Städten des Kōnigreich von sämtliche (!) Judenschaft, zur Bezeugung ihrer theilnehmenden Freude und Treue. Gewidmet von denen (!) Deputirten der Jüdischen Gemeinde zu Warschau. Gedruckt bei P. Dafour, Königlicher Hofrath".

„Hymne pour l'anniversaire de la nouvelle constitution decretée par sa majesté le roi Stanislas Auguste et la serenissime republique. Chantée à Varsovie le 3 Mai 1792 et dans toutes les autres Villes du Royaume, par les Communautes des Juifs, qui tous prenant part à la joie, jurent fidelité. Presentée par les Deputes des Communes des Juifs à Varsovie. De l'imprimerie de P. Dufour, Cons. Aul. de Sa Majesté".

Tekst hebrajski jest rytmowany i rymowany. Cały pisany językiem biblii, zawiera mnóstwo frazesów i całych zdań żywcem z biblii wyjętych. Tłómaczenie polskie jest rytmiczne, a niewolnicze trzymanie się tekstu zabija wszelki polot i niszczy naiwną piękność biblii. Tłómaczenia: niemieckie i francuskie jeszcze marniejsze. Tu podajemy tylko tekst polski:

Zniknął smutek ponury, a radość panuje;
Zbawiony Naród słodkiej używa swobody,
Szczęśliwych żadne jarzmo nie tłoczy Polaków.
Tak rzekł Bóg dobrotliwy: „wybrałem Wam Króla,
Wlałem mu dzielną mądrość, w świetle Stanisława
Znajdziesz Narodzie szczęście i zbawienie twoje".

Sława Tobie o Królu! sława dobry Panie:
Ust Twych słodka wymowa porywa umysły.
Jak luba Niebios rosa na spragnioną ziemię,
Tak przekonanie z prawdą z Twych warg w dusze płynie;
Byleś przemówił, wszyscy twego będą zdania.
Znać po cudach, co czynisz, że masz dar języka.

Przeto Sława stousta w Świątyni pamięci,
Wyryła wiekopomne Imię Stanisława,
Króla, którego cnoty uwieńcza Korona,
Lecz chlubniejsza niż złota, tej siła nie wydrze
Tak ludzio-lubny Królu! wiecznych Twych cnót wieniec,
Szczęściem ludu nabyty Twe ozdobi skronie.

Skruszyłeś razem jarzmo hańbiące człowieka,
W wieczór jęczał w niewoli, rano był w swobodzie.
Twoje to wielkie dzieło, Mądry Stanisławie,
Zasadziłeś ustawę, którą świat uwielbia,

Na zacności człowieka, nie na ślepym losie!
Już więcej możno-władny słabego nie zgnębi.

Nie krwią ludzką zbroczony, tej nabyłeś sławy,
Ni na miast rozwalinach Tron Twój umocniłeś;
Na opoce niezłomnej rozumu i prawdy,
Na niezaprzecznym wzniosłeś go prawie człowieka.
Przedwieczne Bóstwa światło! tyś Mu przyświecało,
Tchnąc w usta Jego słowa Niebieskiej mądrości.

Cóż są zwycięstw okrzyki i ich huczne trąby?
Głuszą je nieszczęśliwych jęki i szlochania;
Sierota płacze ojca, czuła żona męża!
Nie tej natury pieśni dziś Naród Ci śpiewa
Czyn głosi, który zrządził szczęśliwość ogólną
Bez ucisku żadnego, więc każdy się cieszy.

Mieszczanin się z radości dla swobód rozpływa,
Wieśniak w słodkiej nadziei pieśń nuci i pląsa,
Syn z ojcem, córa z matką wspólną radość dzielą,
I przychodniów powszechne rozrzewnia wesele.
Bo go nieład niezmierza, ani gwałt nie struje,
Więc wszyscy zgodne czynią radości okrzyki.

O! nader szczęsna Polsko, takżeś to raptownie
Do celu pomyślności doszła odrodzona!
I bez boleści synów wydała wolności!
Lud ten najoddaleńsze zadziwia narody.
Któż sprawcą, pytają się, tak wielkiego dzieła?
Stanisław, który cnotą panuje Polakom.

Poważni starce, którzy przodkują w Narodzie,
Wyrocznym w obecności ludu rzekną tonem:
Bóg, Ojciec wszystkich ludzi, uwieńczy to dzieło,
Rzekł, niech się stanie światło, a światło się stało,
Rzekł znowu, stań się światło, Stanisław się zjawił,
Co Naród oświeceniem od zguby wybawił.

Jako gwiazd niezliczonych iskrzące orszaki,
Otaczać zwykły księżyc co w nocy przyświeca,
Tak Ciebie Wielki Królu zbiór mądrych otacza,
Cnotliwy Małachowski, wymowny Sapieha,
Światłe Ministry, ważne radą Senatory,
Składają świetne grono z wybiorem Narodu.

Bóg Ci na ziemi rozkosz najsłodszą gotuje.
Oto Ci błogosławią milionowe usta.
Syt wieku poważnego, przy sile i zdrowiu,

Nieznacznie do schronienia zmierzasz Nieśmiertelnych
Z wieńcem, który Ci ludzkość włożyła na skronie,
Ta Cię Królu nagroda, po Twym czeka zgonie.

I my, jak Twemu Berłu słodkiemu poddani,
Przeniknieni radością szczęśliwego ludu,
Pokornie się do Twego przybliżamy Tronu;
Rzuć okiem litościwym na plemię Jakuba,
Tak długo uciśnione; przyjmij Panie luby!
Tę piosnkę na wzór Bóstwa, co niewzgardza śluby.

Panie! coś nam Ojcowską dał uczuć opiekę,
I Twoją nas powagą zasłaniał w ucisku,
Poznajesz swą mądrością naszą smutną dolę,
Słodzić los nieszczęśliwych, jest Twoim żywiołem;
Jako Anioł powszechne uleczyłeś rany,
Ulecz i nasze, Zbawco! Podnieś ród zdeptany.

Byliśmy w ciemnych wiekach, jak proch pod nogami,
Niestety! zapomnieli ludzie, żeśmy ludzie
Ty człeka cenić umiesz, w Tobie ufność kładziem.
Bóg, co Cię światłem natchnął i poświęcił Królem,
Byś nieodzowne jego wykonał wyroki,
Wesprze wszechmocną ręką Twe ludzkości kroki.

Niech cząstkę w tym obszernym posiadamy Państwie,
(Wszakże Pan świata naszym jest powszechnym Ojcem)
Niech, jak inne mieszkańce, los w nim jaki mamy;
A Ojczyznie i Tobie wierność przysięgamy;
Dzwignij nas Twoją łaską, Królu dobrotliwy!
Bądź nam miłościw, jak Ci Bóg jest litościwy.

* * *

Nie przydała się konstytucya, Polskę rozdarto na trzy części! Chciał zapobiedz tej klęsce Tadeusz Kościuszko, lecz próżnym był trud jego i bez skutku praca. A gdy za granicą zamknął powieki Naczelnik, odczuła zgon jego cała Polska i dzwon żałobny bił na smutną nutę na całym obszarze Rzeczypospolitej. Żal dotarł do serc żydowskich i oto dnia 10 grudnia 1817 roku zbiera się cała gmina Wileńska w starej synagodze i tutaj przy kirem obitym ołtarzu odprawia się żałobne nabożeństwo za zmarłego wodza. Kantor z chórem i szesnastu muzykantami odprawił żałobne modły, poczem odśpiewano hebrajską elegię, umyślnie na tę okoliczność napisaną. Elegia ta stylem biblijnym napisana nie przechowała się — o ile się zdaje — w oryginale do naszych czasów. Dosłowne współczesne tłómaczenie dochowane w „Zbiorze mów w różnych miejscach mianych, oraz opisów obchodu żałobnego nabożeństwa po zgonie św. p. Tadeusza Kościuszki“, Wilno u Alexandra Żółkiewskiego, w drukarni XX. Pijarów, 1818.

[Przedruk w „Jewrejskiej Starinie", St. Petersburg, tom I, str. 115—116, wydany przez S. Goldszteina]. Tłómaczenie liche bez rytmu i rymu, niewolniczo idzie za oryginałem, nie uwzględniając zupełnie właściwości biblijnego stylu. Ztąd niezrozumiałości, które sam tłómacz w uwagach chce wyjaśnić. Podajemy niżej całą elegię wraz z uwagami tłómacza:

Przeważny mąż dzielności na wyniosłe wstąpił wyżyny
Przeważnością opasywał Swą dzielność i róg[1]) swój wzniósł nad nami
Głowa domu swych ojców[2]), co był naszą podporą
Miecza swego ręka jego niedobywała gdy gniew ich nas pałał[3])
Włóczni i dzidy nie ciskał w granicach kraju naszego
Potem, jak się utwierdziło bezpieczeństwo jego ze strony zwierzchności naszej ziemi.

Prawość jego aż do niebios, a łaskawość w mężnem ramieniu.
Przemożność, męztwo i heroizm walczyły o granice kraju jego.
Świetnością imienia, sławą swoją wszystką napełnił ziemię,
Wszyscy się sławą jego uweselają od człowieka do robaka.

To też nie w ciemnej pomroce dziedzictwo jego,
Chociaż gdy się zestarzał, do swej się ziemi nie wrócił
Powróć się, powróć do nas i z nami bądź jeszcze
Rozpostrzyj pokój twych skrzydeł, tak jakeś był z nami.

Jak ptaszyna samotna w klatce swej, gdy wyłamuje zaporę drzwiczek,
Tak Tadeusz Kościuszko wstąpił na wyżynę i opuścił dom ojców swoich.
I mieszka u sądu tronu (Bożego), w niebieskiego miasta wysokościach
A wielbieniem jego jest sława imienia i świetna chwała.

Wzbudź duszę twoją i podnieś twe stopy,
A nakrycie piasku odrzuć od siebie
Okryj się sławy obłokami, a przyleć do kraju swych ojców
Wznieś twoje oczy, a przypatrz się wielkości sławy twojej.

Ten upominek miłości i ofiarę pamiątki,
Racz przyjąć, a spojrzyj na wielkie trzodki,
Wspólne ich jest wszędzie względem Ciebie uniesienie się;
A jeżeli za mała nasza ofiara, racz przebaczyć
Ludowi Hebrajczyków, dających wieniec uwielbień.
Przyjmij za przedwieczny owoc przed latem (rodzący się)[4]) tę dani ich ozdobę!

MAJER BALABAN.

---

[1]) Obrona mocna.
[2]) Ojczyzna.
[3]) ich męczyć zdaje się Polaków, nas: Żydów.
[4]) Który jest tem milszy, że wczesny (ranny).